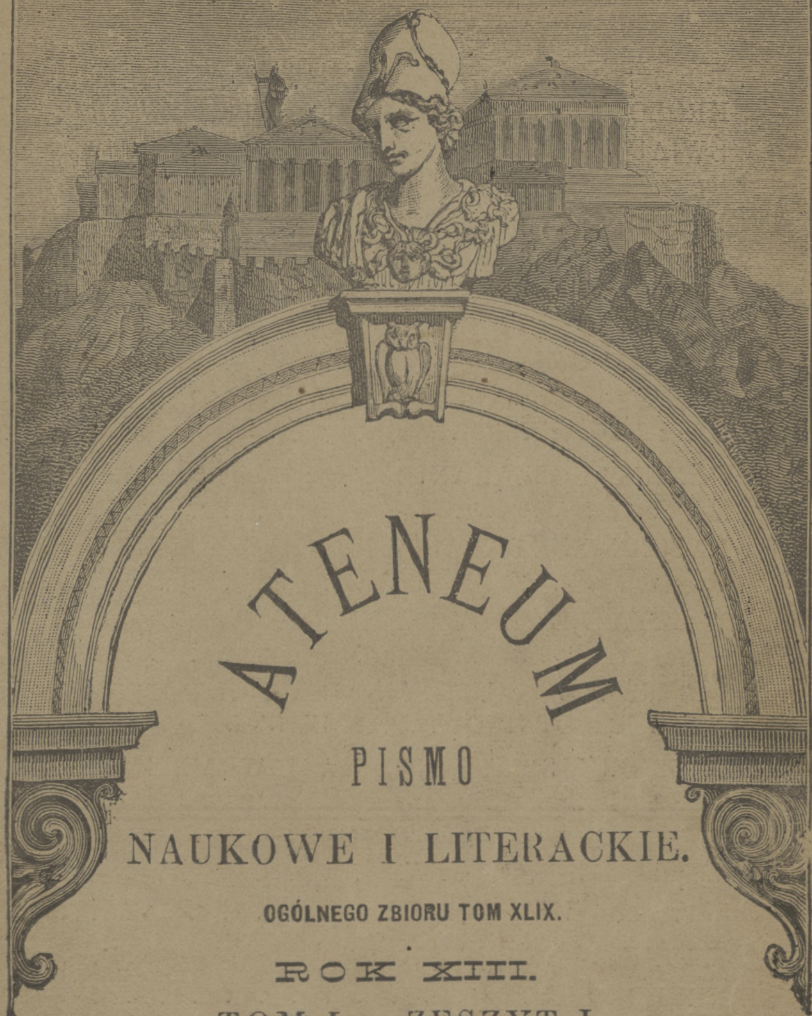


ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLIX.

ROK XIII.

TOM I. — ZESZYT I.

Styczeń.

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1888.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 5 Stycznia 1888 r.



PROTEKCYONIZM.

Czytając w dziennikach spółczesnych, tak swojskich jak i zagranicznych, ciągłe nawoływanie do opieki nad rozmaitemi gałęziami przemysłu krajowego; czytając sprawozdania z posiedzeń chociażby tylko naszego oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, na których producenci domagają się podwyższenia ceł na swoje wyroby, ażeby je zabezpieczyć od konkurencyi zagranicznéj: mimowolnie przychodzi na myśl zapytanie, czy się narody chcą odgraniczyć chińskim murem, i czy takie żądanie specyalnéj dla siebie opieki rządu zgodne jest z zasadami dobréj polityki ekonomicznéj?

Gdy te dążenia porównamy z tém, co się działo nie daléj jak przed ćwiercią wieku, przekonamy się, że społeczeństwa dzisiejsze stoją na wprost przeciwnym biegunie z ówczesnemi pragnieniami, kiedy to wolna wymiana była hasłem wszystkich stronnictw i teoretyków postępowych. Zastanawiając się nad przyczynami téj zmiany w dążeniach ludów i rządów, postawilibyśmy na pierwszém miejscu panujące w całym niemal świecie przesilenie ekonomiczne, grożące upadkiem w wielu krajach rolnictwu, przemysłowi fabrycznemu i rękodzielniczemu. Jeżeli znów zapytamy, jakie przyczyny spowodowały owo powszechne przesilenie, odpowiedzą nam, że między innemi główną przyczyną tego stanu jest nadprodukcya.

Widzimy tedy w świecie ekonomicznym zjawisko dziwne: mianowicie, że gdy w jednych punktach przemysłowych znajdują się magazyny napełnione wielką ilością rozmaitych towarów, w drugich ludzie nie mają co jeść, czém się odziewać i zaspakajać najprostszych potrzeb życia. Jest to niewątpliwie objaw patologiczny dzisiejszéj organizacyi pracy; trudno wszakże uwierzyć, ażeby głów-

ną przyczyną tego zła społecznego była nadprodukcya dóbr materyalnych. Przyczyny każdego faktu są zwykle bardzo liczne, jedne na wierzchu leżące i dla wszystkich widome, inne głębiéj ukryte i zaledwie gruntowniéj myślącym zrozumiałe. Otóż przyczyny obecnego przesilenia ekonomicznego należałoby może szukać nie tyle w nadprodukcyi dóbr ekonomicznych, co w nieprodukcyjnéj konsumcyi dóbr już wytworzonych, w olbrzymich wydatkach na uzbrojenia kolosalnych sił lądowych i morskich, w niszczących wojnach i wynikającéj z nich następnie chęci odwetu, w marnowaniu żywych sił ludzkich, spożywających bezczynnie owoce pracy gromadzone przez rąk miliony, nareszcie w długach państwowych, zastraszających najbujniejszą wyobraźnię swoją potworną olbrzymiością. Gospodarz, który pożycza na rachunek i odpowiedzialność już nietylko dzieci, ale wnuków i prawnuków, musi zginąć; państwa i narody, gospodarujące taką metodą, mogą nie zginąć zaraz, w drugiém lub trzeciém pokoleniu, jednakże gotują sobie niechybny rozkład i upadek w odleglejszéj przyszłości. Uwagi na ten temat przychodzą niejednemu teoretykowi lub statyście, ale nie widzą oni sposobu powstrzymania swoich społeczeństw od coraz szybszego posuwania się ich w jakąś przepaść, w któréj teraźniejsze organizacye polityczne, ekonomiczne i społeczne mają utonąć. Jest-to, mówią, fatalizm; są to przekleństwa złych czynów, żadna ludzka mądrość nie zdoła odwrócić wyniku, jaki z nagromadzonych premis nastąpić musi. Tymczasem, nim się to pesymistyczne proroctwo ziści, dajcie pieniędzy na opłatę procentów, na zwiększenie sił zbrojnych, na przeróbkę karabinów, na proch, który nigdy nie zamaka, a posiada pięć razy większą siłę wybuchową i pięć razy mniéj kosztuje od dotychczasowego. Co się stanie z rolnictwem, z drogami i mostami, ze sprawiedliwością i oświatą—wszystko to są fraszki wobec grożącéj i zapowiadanéj jakiejś katastrofy powszechnéj, do któréj każdy chce się zaopatrzyć jedynie w najlepszy proch i najdaléj niosące karabiny. Szkoda tylko, że nie ma pieniędzy; ale pieniądze być muszą. Wprawdzie źródła podatkowe już prawie do dna wyczerpane, wszakże póki kontrybuenci jeszcze płacą—nie ma obawy. Zresztą, od czegóż pomysłowość skarbników? Opłaty i cła, cła i opłaty od światła, które przez szyby zagląda, od ogniska, na którém jeść gotujesz, od tego, żeś się urodził, i od tego, że umrzesz. Byle dobrze szukać, jeszcze się znajdą źródła.

Kontrybuenci chcąc zadość uczynić coraz więcéj wzrastającym wymaganiom skarbu, wołają do rządów: protegujcież nasze zboże, nasz spirytus, nasz cukier, nasze żelazo; nałóżcie wysokie cła na te produkta przychodzące z zagranicy, bo nas konkurencya zabije

i podatków wam nie damy. Więc zaraz parlamenta uchwalają zmianę taryfy celnéj, powiększa się armia celników, obliczają spodziewane ztąd wpływy, a potém znów to samo, i tak bez końca. Oto błędne koło, z którego nie masz wyjścia.

Kładąc w nagłówku tytuł „Protekcyonizm“, nie miałem zamiaru ograniczyć jego znaczenia do sfery stosunków ekonomicznych i nudzić czytelnika powtarzaniem zarzutów przeciw systemowi protekcyjnemu, jaki obecnie zapanował w wymianie międzynarodowéj. Wiadomości o rozmaitych cłach, premiach, patentach na wynalazki dawno wynalezione znajdzie ciekawy w pierwszéj lepszéj encyklopedyi ekonomicznéj. Zamiarem moim jest uogólnić znaczenie protekcyonizmu i rozciągnąć go do wielu innych objawów życia społecznego, wykazując zgubne jego następstwa, zwłaszcza gdy opieka zbyt długo nad pupilem się przeciąga.

Nie chcę bynajmniéj oskarżać spółczesnego pokolenia, jakoby ono dopiéro wynalazło system opiekuńczy; ale zdaje mi się, że nigdy przedtém nie widziano w nim takiego lekarstwa na niemoce wszelkiego rodzaju i stopnia, jak dzisiaj. Kto potrzebuje paska lub szczudeł, ażeby się mógł ruszać, ten oczywiście jest albo dzieckiem, albo chromym. Kto się ciągle ogląda na opiekunów, i ani sobą, ani swojém mieniem rozporządzać nie może, ten jest nieletnim. Kto pragnie, ażeby rząd był Opatrznością, którаby mu kazała i latarnie na schodach w nocy zapalać, i ulice zamiatać, i podwórze ze śmieci oczyszczać i niemal nos obcierać, ten oczywiście jest małoletnim. Oto, w czém leży źródło serwilizmu i słuszne jego skutki, protekcya, opieka. Z jednéj strony wieczne niemowlęctwo, z drugiéj nieustająca opieka.

Nadmieniłem, że protekcyonizm pojmuję nietylko jako pewien system ekonomiczny w wymianie międzynarodowéj i wewnętrznéj; lecz jako zjawisko ogólne, przejawiające się na rozmaitych polach pracy społecznéj. Przyjrzyjmy mu się zatém lepiéj.

Oto p. dyrektor, p. naczelnik téj lub owéj instytucyi mają mianować lub awansować urzędnika. Jakie pobudki będą kierowały tą nominacyą lub awansem? Może zdolność, punktualność w robocie, prawość charakteru? Nie; najczęściéj, jeżeli nie zawsze, decydują wpływy uboczne. Możny lub zażyły protektor téj lub owéj płci, serwilizm ze strony podwładnego, czasami jego czapkowanie lub gładka powierzchowność, a zdarza się nieraz i datek: takie bywają pobudki nominacyi i awansów. Że zwierzchnik potrzebuje mieć powolne narzędzia, pasujące do pewnych celów, do pewnego systematu, to łatwo rozumiéć a nawet poniekąd usprawiedliwić. Ile na tém ucierpią interesa publiczności, dobro saméj instytucyi

i charakter powoływanych tą drogą wykonawców, tego się nie bierze w rachubę. Narzędzia muszą pasować do systemu; w przeciwnym razie cel nie będzie osiągnięty. Więc muszą być takiéj lub innéj religii, pochodzenia, przekonań i t. d. Narzędzia te nieraz zawodzą majstra, cel bywa chybiony lub osiągnięty inny i wprost przeciwny spodziewanemu, ale to nie kłopocze protegujących i protegowanych. Co większa, mamy na usprawiedliwienie takiego protekcyonizmu sofistyczną moralność: mówimy, alboż mi niewolno posługiwać się ludźmi wedle moich, lub nakazanych widoków? Czyliż nie daję im chleba? A przecież oddawna wiadomo, że służba wolność traci.

Tym sposobem tworzą się te chwiejne administracye rozmaitéj nazwy, na których nikt polegać nie może: zmiana zwierzchników, wstrząśnienie jakieś, odrazu zmieniają dekoracyą; republikanie stają się monarchistami lub odwrotnie, ludzie gwałtowni i bezwzględni liberalnymi o miodowém wejrzeniu i najwyszukańszych formach. Powiał inny wiatr i kogutki zwróciły się w inną stronę. Zmiana frontu usprawiedliwia się sześciorgiem dzieci, długą już służbą, niemożnością znalezienia na razie odpowiedniéj pracy, a sumienie, jeżeli jeszcze pukało, zasypia. Druga strona zupełnie rozumié położenie, wié o bezsilności narzędzi, ale o nic więcéj téż nie chodziło; hasłem tu jest krótkie i węzłowate: nie rezonować, tylko spełniać! *Ordonanzen, Ordonanzen!*..........

Ujemne strony protekcyonizmu w téj sferze powiększa jeszcze n e p o t y z m. Jest to tylko pewna odmiana protekcyonizmu administracyjnego, polegająca na tém, że naczelnicy otaczają się na rozmaitych podległych sobie urzędach swoimi krewnymi i powinowatymi. Nikt się temu nie może dziwić, że związek krwi naturalnie, jak mówimy, pociąga za sobą awansowanie na wakujące urzędy swoich krewnych. Moralnie obowiązani jesteśmy dopomagać swoim, a gdy się inaczéj dzieje, razi nas taka obojętność. Przypuszcza się jednak w tym razie, że z dwu lub więcéj konkurujących o urząd, krewny nasz daje największe rękojmie co do swojéj zdatności i charakteru: w przeciwnym wypadku, forytowąnie krewniaka dlatego tylko, że krewny, musi wyjść na szkodę instytucyi. Otóż przyjrzawszy się wielu instytucyom, szczególniéj prywatnym, zarówno u nas jak i gdzieindziéj, przekonalibyśmy się jak wielkie mnóstwo bliższych i dalszych krewnych zajmuje najzyskowniejsze urzędy, jak tam ręka rękę myje, jak trudno rozerwać ten łańcuch nepotyzmem spojony. Ale jak tylko głównemu naczelnikowi noga się powinie, krewniaki spadają jak zwiędłe owoce, a w rozmaitych wydziałach administracyi wychodzą na jaw rzeczy nieraz bardzo szpetne. Za-

czyna się puryfikacya, redukcya, pozorowane oszczędnością; poczém w rok, lub mało co więcéj, wraca stan poprzedni, o tyle zmieniony, że owe najzyskowniejsze posady zajęli inni ludzie, mający krewnych protektorów. Tym sposobem siły najlepsze, mogące instytucyą ożywić, rozwinąć, udoskonalić, muszą szukać zajęcia w innych, mniéj dla siebie odpowiednich gałęziach pracy, albo bezużytecznie marnieją.

Najniebezpieczniejszym jednakże i brzemiennym w groźne następstwa jest protekcyonizm w zakresie pracy, na polu socyalném. Utrwala się w ostatnich czasach, osobliwie wśród narodów z dawna pod protekcyą polityczną wychowywanych, mniemanie, że państwo jest wszechmocnym czarodziejem i lekarzem wszelkich niemocy społecznych. Do państwa téż, czyli do rządów odwołują się teoretycy i pracownicy—pierwsi, ażeby wzięły w swoje ręce rozwiązanie drogą prawodawczą sprawy socyalnéj, drudzy, ażeby im dały forszus na warsztaty i narzędzia oraz zabezpieczyły na starość, chorobę jako-tako znośne życie. Prąd w tym kierunku wzbiera coraz bardziéj, groza położenia znagla rządy do wydawania praw wszelkiego rodzaju i nazwy, ażeby tylko zażegnać ukazujące się w niedalekiéj przyszłości radykalne wstrząśnienie całéj budowy społecznéj. Stan czwarty, robotniczy domaga się chleba od państwa. Pochlebia to zapewne rządom, ale czy zdołają rozwiązać tak złożone zadanie, to zaledwie przyszłość okaże. Faktem jest prawie powszechne żądanie takiéj protekcyi i wiara w jéj skuteczność.

Wiadomo mniéj więcéj wszystkim, jaką drogą powstał i jak liczebnie wzrósł, osobliwie w naszym wieku, stan czwarty zwany proletaryatem. Stworzył go wielki przemysł fabryczny, a szeregi jego zwiększa corazbardziéj przemysł rolny i lichwa. W krajach przemysłowych zachodniéj Europy liczą obecnie już miliony robotników, których dola bardzo smutna słusznie porusza serca do spółczucia, a głowy myślących do radzenia złemu. Lekarstwo na chorobę wszyscy niemal widzą w opiece państwa. Objaw to nie nowy w dziejach pracy; nowość leży jedynie w tém, że gdy w wiekach poprzednich rządy protegowały kapitalistę, przedsiębiorcę, właściciela ziemskiego, zmuszając w potrzebie ludność robotniczą do pracy, regulując prawem zarobki, liczbę czeladzi i terminatorów, zakazując zmowy; w naszym wieku, za przykładem Anglii postępują w odwrotnym kierunku.

Szczery filantrop może tylko przyklasnąć téj zmianie w kierunku protekcyonizmu na rzecz wielkich mas robotniczych. Jakoż, widząc jak od początku bieżącego stulecia, najprzód w Anglii a na-

stępnie i w innych krajach, prawodawstwo bierze w opiekę pracę nieletnich i kobiet, jak znosi dawniejsze prawa zabraniające zmowy, jak reguluje dzień roboczy, ustanawia inspektorów fabrycznych, czuwa nad sanitarnym stanem gmachów fabrycznych, nad posyłaniem dzieci, zatrudnionych po fabrykach, do szkółek: widząc to wszystko, można się cieszyć, iż ci którzy niosą największy ciężar, spotykają nietylko spółczujących widzów, lecz i ulgę rzeczywistą. Jest-to wszakże jedna strona medalu; druga wygląda trochę inaczéj.

Jeżeli państwo wzięło w opiekę pracowników, chociaż i kapitalistów nie zostawiło sierotami; pytanie, jak daleko ma sięgnąć ta opieka? Czy chcąc gruntownie przeciąć wyzyskiwanie pracy przez kapitał, ma wziąć na siebie produkcyą pewnych, a z czasem wszystkich jéj gałęzi? Tak mu doradzają niektórzy teoretycy, profesorowie ekonomii. Przecież, mówią, poczty, telegrafy, koleje, kopalnie itd. są już dzisiaj przez państwo eksploatowane; czemużby tedy powoli nie miało ogarnąć i reszty? Zyskałaby na tém i publiczność i pracownicy i samo państwo, straciliby jedynie kapitaliści—a tych jest nie wielu w porównaniu z wielką masą robotników. Do tego dąży tak zwany socyalizm państwowy; ufa on we wszechmoc państwa i od niego oczekuje rozwiązania sprawy socyalnéj.

Już nieraz i bardzo gruntownie zbijano te rady teoretyków, przywodząc jako argumenta małą wydajność produkcyi przez państwo prowadzonéj, brak inicyatywy w administratorach, opieszałość urzędników niepobudzanych osobistym zyskiem do czujności itp. Nic to nie znaczy; wiara w państwo, jego mądrość i uzdolnienie do prac wszelkiego rodzaju, w jego protekcyą, ciągle się potęguje.

Niedość na tém; chcą, ażeby państwo nie tylko w swoich warsztatach zatrudniło wszystkich żądających pracy; lecz nadto, by im zabezpieczyło los na starość i w razie choroby, by ich jako bezsilnych, wyzyskiwanych przez kapitalistów, protegowało od urodzenia do grobu. Widmo wstrząśnień socyalnych skłania nawet tak wytrawnych statystów jak ks. Bismarck do prób na tém polu; chcąc nieprzyjaciela pobić, usiłuje złamać go częściowo. Może ta próba zawiedzie; zawsze jednak będzie to doświadczenie dla innych państw, ażeby je ustrzedz, lub zachęcić do prób podobnych.

Tak więc teoretycy chcą wykierować państwo na uniwersalnego protektora; ażeby to osiągnąć, muszą je wprzód uczynić uniwersalnym producentem, który za pomocą cuchthauzu i nieodpowiedzialnych dozorców uszczęśliwiać ma ludzkość w nadchodzącym XX wieku. Dawnemi czasy, a i dziś jeszcze filantropowie powołują się na ewangelią, która zaleca bogaczom, by się mieli za

szafarzów majątku swojego i wspierali uboższych bliźnich; lecz chociaż ewangelią opowiadają już dziewiętnaście wieków, nie widać, żeby egoizm bogaczów zmiękł cokolwiek: trzeba ich zatém zmusić do wykonania rad ewangelicznych i drogą podatku ulżyć nędzy wydziedziczonych. Ta przymusowa miłość bliźniego wcale się nie podoba opodatkowanym, a co większa stanowi niebezpieczny prejudykat dla indywidualnéj wolności i paraliżuje indywidualną energią człowieka, łudząc go nadzieją nieustającéj protekcyi ze strony państwa. Pochyłość, na jaką teoretycy wabią państwo, może je zaprzepaścić, jak tego bywały przykłady i w starożytności i w naszych czasach.

Gorszém od przewidywanych następstw, wynikających z protekcyonizmu państwowego, w téj sferze spraw społecznych jest odstrychnięcie się zarówno teoretyków przespołeczniaczy jak i warstw pracujących nietylko od opieki państwowéj, lecz i od samego państwa. I teoretycy socyalistyczni i warstwy ich słuchające nie chcą nic wiedzieć o dzisiejszém państwie. Jeżeli zaś mówią jeszcze o państwie, to tylko wtenczas, gdy mają nadzieję pochwycenia władzy, ażeby mogli urzeczywistnić swoje plany. Władza zaś ma, według ich życzenia „przejść w ręce proletaryatu, który środki produkcyi uczyni własnością państwa“ (*Engels*). Ale wtedy i proletaryat zniknie, ustaną wszelkie różnice i przeciwieństwa klasowe, a tém samém i państwo stanie się niepotrzebném. Państwo nie będzie zniesione, lecz obumrze. Ale jak się to stanie? Oto w krótkości tak:

Społeczeństwo dotychczasowe, rozwijające się drogą przeciwieństw klasowych, potrzebowało państwa, tj. organizacyi pozwalającéj klasie wyzyskiwaczy na utrzymanie w swoich ręku środków produkcyi i gwałtowne spętanie klasy wyzyskiwanéj za pomocą niewolnictwa, poddaństwa i pracy zarobnéj. Państwo było oficyalnym przedstawicielem całego społeczeństwa, albo raczéj téj klasy, która całe społeczeństwo reprezentowała. W starożytności państwo było przedstawicielem obywateli mających niewolników; w wiekach średnich przedstawicielem szlachty feudalnéj; w naszych czasach jest przedstawicielem mieszczaństwa (burżuazyi). Ale gdy państwo zostanie faktycznie przedstawicielem całego społeczeństwa, stanie się zbytecznem. Jak tylko nie będzie żadnéj już klasy społecznéj, któraby trzeba na wędzidle trzymać, jak tylko panowanie jednéj klasy nad drugą ustanie i walka o byt powstająca z anarchicznéj dotychczasowéj produkcyi zniknie; już wówczas i represya stanie się zbyteczną, a tém samém i władza represyjna, to jest państwo, nie będzie potrzebna. Pierwszy akt, w którym państwo wystąpi jako rzeczywisty przedstawiciel całego społeczeństwa, zagarniając w imie-

niu tegoż środki produkcyi w swoje ręce—pierwszy ten akt, będzie i ostatnim samodzielnym jego aktem, jako państwa. Wdawanie się państwa w stosunki społeczne będzie kolejno na wszystkich polach stopniowo ustawało, aż nareszcie zupełnie zniknie. Zamiast rządu nad osobami nastąpi zarząd rzeczami i dozór produkcyi. *Der Staat wird nich abgeschafft, er stirbt ab.*

Takie nadzieje żywią nie-ewangeliczni i nie-państwowi przespołeczniacze; nie chcą oni od państwa podarunków na zakładanie towarzystw produkcyjnych, nie chcą protekcyi ani od państwa, ani od bogaczów: hasłem ich nie miłość, lecz nienawiść i groźba. „Jesteśmy stronnikami siły, ażeby dojść do swobody, tak samo jak się posiłkujemy kaftanem w pewnych przypadkach patologicznych, by uleczyć chorego“ (*Deville*).

Inaczéj nieco deklamował nieżyjący już poeta, z którego wyżéj parę wierszy przytoczono, ale sens zawarł podobny jak i prozaik:

Die Liebe kann erlösen nicht,
Die Liebe nicht erreten.
Halt' du, o Hass, dein jüngst Gericht...

Czy protekcyonizm państwowy zdoła tę nienawiść rozbroić, czy będzie mógł zatrzymać się na téj pochyłości, na jaką wszedł w Anglii, Włoszech, a szczególniéj w Niemczech, o tém wróżyć nie śmiemy; tém mniéj o następstwach, jakieby musiały wyniknąć z powrotu do dawnych czasów.

Przejdźmy na inne pole i przyjrzyjmy się protekcyonizmowi w zakresie pracy umysłowéj.

Wiadomo, z jakiém utęsknieniem do dziś dnia niektórzy literaci, uczeni i artyści wspominają wiek Augusta w Rzymie, Medyceuszów we Włoszech, Ludwika XIV we Francyi, St. Poniatowskiego u nas. Mecenasów, począwszy od rzymskiego, także nie brakło: duchowni i świeccy na wyścigi zakładali uniwersytety, bursy, wieńczyli poetów, łożyli na druk książek, dawali chléb respektowy i przytułek adeptom Minerwy i Apollina, słowem literatura, nauka i sztuka były protegowane. Ufność w protekcyą była tak wielka, że jeszcze w naszym wieku klasycy francuscy prosili Karola X, żeby ich protegował przeciw romantykom (1829).

Ani się temu dziwimy, ani ich potępiamy: rośliny wątłe potrzebują cieplarni, a organizmy niedokrwiste—opieki. Świat literacki, naukowy i artystyczny bywał niegdyś, z małym wyjątkiem, niedokrwisty, tj. ubogi; dzisiaj ta sama trapi go choroba. Nastąpiła wszakże zmiana pod względem protekcyi, i to zmiana korzystna dla

umysłu ludzkiego: zamiast jednostek wystąpiły masy i partye, jako protektorki literatury i sztuki, które dzięki téj zmianie stały się mniéj zależne od wielkopańskiéj klamki. Przekonano się, że dawna protekcya nakładała pęta na każdą myśl dzielniejszą, że owe sławione wieki złote, pełne mecenasów, były tylko pozłacane; a gdy pozłotę odskrobała krytyka, ujrzano robaczywe drewno. Protekcya wydała pieczeniarstwo i serwilizm; niemniéj przecież i dzisiaj jeszcze niebrakłoby biorących, gdyby byli dający. Znikła stara forma protekcyonizmu, ale nastała nowa: dzisiaj protegują literatów i artystów wzrastające szeregi czytającéj publiczności i partye, koterye rozmaitéj nazwy.

Bądź-co-bądź, nowa forma protekcyonizmu pozwala pracy umysłowéj na większą niezależność; publiczność i koterye nie stykają się tak bezpośrednio z uczonymi i artystami, jak dawni mecenasi, a témsamém nie dławią ich wymaganiami hołdu i wdzięczności za udzielone łaski. Dzieła naukowe i artystyczne stały się towarem, podobnym do innych towarów; pieniądz pośredniczy między producentem i konsumentem. Stosunek obu stron interesowanych jest lepszy i pożyteczniejszy: znikli protektorowie i protegowani, została rzecz, t. j. nauka lub sztuka, jako wynik potrzeb umysłowych i objaw swobodny talentu, czasami geniuszu.

Z drugiéj strony, przy pozornéj niezależności pracy umysłowéj, istnieje niewola wynikająca niby z obrony zasad. Ażeby zostać profesorem, potrzeba wyznawać takie a takie zasady polityczne, ekonomiczne, filozoficzne i t. d. Człowiek innych zasad, chociażby był najzdolniejszym, a przez to i najpożyteczniejszym dla młodzieży, nie dostanie się do katedry. Ażeby zostać członkiem jakiegoś ciała uczonego, jakiéjś akademii, trzeba również być zaprotegowanym jako wyznawca panujących w tém towarzystwie opinii, wstrętów lub sympatyi. Umysł niezależny z pewnością tam nie trafi, a jeżeli trafi, wnet go wyrzucą. Tu jak i gdzieindziéj odbywa się dobór naturalny, selekcya, ale nie Darwinowska; nieśmiertelni czują pociąg do nieśmiertelnych. Dlatego niesłusznie, jak sądzimy, oburzał się pewien głośny pisarz niemiecki i deklamował:

Ich bin nie, wie ein Vieh
In der Akademie auf der Mast gestanden.

Protekcya w imie zasad dotyka nietylko katedr profesorskich i foteli akademickich, lecz także skromnego zydla dziennikarskiego. W zakresie prasy to samo się dzieje. Trzeba koniecznie trącić stęchlizną, lub pachnąć olejkiem postępu, ażeby was czytano i protegowano, ażeby raczono przyjąć waszą pracę do druku. Argumentacya, forma, ład i porządek. wszystko to nic nie znaczy; grunt w tém, żeby szlachta była zgniłą, klerykalni intrygantami, a sankiu-

loci bohaterami. To się nazywają zasady, a po niemiecku *Prinzipienreiterei.*

Koroną tego protekcyonizmu na polu pracy umysłowéj jest coraz powszechniejsze żądanie opieki międzynarodowéj nad własnością literacką i artystyczną. Kongresy literackie nie tyle radzą nad podniesieniem wewnętrznéj wartości wyrobów swojego cechu, ile nad wyciągnięciem kordonów, ażeby przypadkiem myśl jaka nie dostała się bezpłatnie z kraju do kraju. Protekcyonizm zdaje się być w naszych czasach jedyném lekarstwem na wszelkie niedomagania kieszeni i głowy. Żądają go rolnicy, fabrykanci, literaci, uczeni, artyści, aktorowie, słowem wszystkie niemal stany społeczeństwa.

Obejrzeliśmy niektóre pola pracy społecznéj i na wszystkich znaleźliśmy protekcyonizm. Zjawisko to nie nowe, ale obecnie bardzo ogólne, jeżeli nie powszechne. Dla dodania siły argumentom należałoby je poprzéć liczbami i przykładami: rzecz niełatwa, a przytém dotykająca osób i instytucyi; dlatego dobranie przykładów zostawiamy własnemu każdego doświadczeniu. Faktem jest, że wiatr polityki wewnętrznéj dmie w całéj Europie w kierunku protekcyonizmu, pomimo doświadczenia przeszłości, które mu wydało niepochlebne świadectwo. Jeszcze na polu przemysłowém, w stosunkach handlowych, można w pewnéj mierze i do pewnego czasu rozumiéć protekcyą, gdy chodzi o rozwój jakiéjś gałęzi pracy, zanim na nogi stanie; ale protekcya osób w zakresie administracyi, nauki, literatury i sztuki nie daje się racyonalnie usprawiedliwić, albowiem paraliżuje instytucye, szkodzi interesom publiczności i tworzy mierność, jeżeli nie coś gorszego. Działa ona demoralizująco na indywidua i ubezwładnia przyrodzoną energią człowieka; skoro bowiem stało się powszechną wiarą, że przez protekcyą wszystko można zrobić, i urząd pozyskać, i katedrę posiąść i rozgłosu nabyć: zamiera chęć do wyścigów, do konkurencyi i wydobywania najdzielniejszych sił ze społeczeństwa.

Cokolwiek złego mogła sprawić indywidualna konkurencya, była ona i będzie zawsze najskuteczniejszą sprężyną postępu materyalnego i umysłowego. Możemy pragnąć, by ją miarkowały względy obyczajowe, humanitarne; ale nie potrafimy wynaleść innego bodźca, któryby tak energicznie popychał leniwą naturę ludzką do potu i znoju i czynów. Oglądanie się na protektorów, gwarantów i gwarantki wychodzi zwykle na szkodę jednostek i społeczeństw; należy pragnąć, by każdy nosił swoję protekcyą sam w sobie i czuł odpowiedzialność za swoje postępowanie. *K.*





KRÓLOWA.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH.

Boć nie pod miarą Bóg dawa ducha.
Św. Jan. III. 34.

Albowiemeście zapłatą wielką kupieni.
Św. Paweł. Do Koryntyan. I. 6. 20.

Cieniom
niewygasłéj nigdy pamięci
JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO,
ukochanego mego Mistrza.

OSOBY DRAMATU.

Jadwiga.
Dymitr z Goraja.
Dobiesław z Kurozwęk.
Gniewosz z Dalewic.
Jaśko z Tęczyna.
Jędrek Toporczyk.
Dowojna.
Pieś — trefniś królowéj.
Wilhelm Rakuszanin.
Suchenwirth — jego lutnista.
Nawojka — żona Dowojny.
Ofka — córka Dymitra.

Rzecz w Krakowie 1385 roku.

AKT PIERWSZY.

PIEŚ.

OSOBY AKTU.

Jadwiga, Dymitr, Nawojka, Ofka, Pieś.

Krakowski Rynek pełen przekupniów i straganiarzy. W głębi budująca się kaplica Świętéj Barbary. Od strony lewéj kruchta boczna kościoła Najświętszéj Panny.

Nawojka *(pokazując w tę stronę)*.
Tam weszła.

Dymitr.
Z oka spuścić jéj nie można.

Samopas biega, płocha, nic nie trwożna,
Ciekawa wrażeń, chciwa życia.

NAWOJKA.

Wszystko
Bawi ją, wzrusza, cieszy i zachwyca.
W poranku owym wiosną tchnącym, sama
Wiośnianym będąc rankiem, w światłach, w barwach
Pławi się, niby z gniazda gdzieś, w błękity
Skowronek wczesnym szybujący lotem.
Tak i dziś oto, z zamku nam przebrana
Z waszmości córką pierzchła w świat. Na szczęście,
Pieś, dopatrzywszy, chyłkiem pomknął za nią,
A ja w te tropy tuż.

DYMITR.

Nie mała biéda
Z tą jejmościanką, co chce być, nie tylko
Naszą, lecz także samé
j siebie panią.
Już nam ją Semko porwać chciał — a teraz
Niemieckie wszędzie spotkasz tu przywłoki —
Coś to Wilhelmem trąci.

NAWOJKA.

Krążą wieści,
Że on, w moc dawnych praw swych, po jéj rękę
Umyślił sięgnąć.

DYMITR.

Co? Że tam, gdzieś, kiedyś,
Urwany biczyk i stłuczoną lalkę
Rzuciwszy znagła w kąt, dzieciaków dwoje
W męża i w żonę się bawiło, mamyż
W tém prawo jakie znać?

NAWOJKA.

A jeśli ona
Wilhelma kocha?

DYMITR.

Cóż mię to obchodzi?
Narodu swego matka, nie macocha,
Nas — niechaj nawet po nad siebie kocha.
W miłostki wietrzne że tam grają młodzi,
Bronić nie myślę — nawet — przez Bóg żywy
Bronićbym nie mógł — są przeciwne wpływy.
Mimo to, kiedyś, mądrym w siebie zwrotem,
Litwę nam ona musi dać. — Dość o tém,

Ten kusy Niemczyk, co się czas już jakiś
Skrada w koło nas, bodaj czy przypadkiem
Nie podsłuchuje.

NAWOJKA.

Ach! nie. Znam się na tém.
Dworski to dzieciuch. Byle od zachodu
W pióra i wstęgi powiał wiatr zalotny,
Natychmiast przed nim trefnéj krotochwili
Kwiatowe lecą wonie. Jestem pewna,
Do mnie miłosne jakieś ma pisanie
Ten paź rycerski.

DYMITR *(do pazia)*.

Czego chcesz, mosanie?

PAŹ *(do Nawojki)*.

Dostojna pani! Mam ci wręczyć pismo,
Które racz przyjąć.

NAWOJKA.

Cóżeś ty za jeden?

PAŹ.

Niezrównanego i najsławniejszego
W muzyce, w rymie, w śpiewie Arcymistrza,
Któremu wieńcem jasną skroń oplata
Cześć królów oraz uwielbienie świata,
Jak bądź zazdrości wszystkich godny — jestem
Niegodnym sługą.

NAWOJKA.

Jakże on się zowie?

PAŹ.

Suchenwirth.

DYMITR.

Proszę. O nim tu w Krakowie
Nie słychać.

PAŹ,

Z królów najpotężniejszego,
Z niezwyciężonych najwaleczniejszego,
Najświetniejszego, najszlachetniejszego
Pana i władcy — Pan mój być ma zaszczyt
Minnezingerem.

DYMITR.

Krótko mówiąc: czyim?

PAŹ.

Księcia Wilhelma.

NAWOJKA.

Więc że pacholiku —
Cóż mi zwiastować masz?

PAŹ.

Mój pan, od chwili
Kiedy cię ujrzał, nie zna snu, ni wczasu,
Ani spokoju, tak, że stał się cieniem
Samego siebie, i jedynie marzy:
By mu u stóp twych dozwoloném było
Z miłości umrzéć, o królowo wdzięków!
O ty świetlana! o najurodziwsza
Z dziewic!

DYMITR.

Ta pani męża ma.

PAŹ.

Cóż z tego?
Uczucie nie zna ziemskich żądz podziału —
Niebiańską tylko żyjąc czcią.

DYMITR.

To szczęście,
Bo ten jegomość, trzeba waści wiedziéć,
Ma pięść niedźwiedzią.

NAWOJKA.

Czegóż tedy żąda
Twój pan odemnie, w zamian za swe czyste
Westchnienia w moją stronę?

PAŹ.

Tylko tyle
Byś duszy jego panią być, i jego
Lutnię przystroić w barwy swe raczyła.

DYMITR.

No — to znów nie tak wiele.

NAWOJKA.

Wprzód rozpatrzę
Jego zasługi — tak mu powiédz, proszę.
A teraz — odejdź. *(Paź odchodzi).*

DYMITR.

Niechże gęś go kopnie!
Ucieszny pędrak, zręczny i układny.
Cóż to być musi pan takiego sługi!
Ja tam na dworach obcych nie bywawszy,
Ze słychu tylko pląsy i popisy
Pieśniarzy biegłych w gębie znam—bo u nas

Jedyny popis z tęgą szablą w garści.
A no! Twarzyczki gładkość dank dziś bierze,
I z powłóczystych rąbków rym szeleści,
I drobna rączka, jak chce, ku swéj cześci,
Na nitce wodzi srogich cnót rycerze.
Więc białogłowskie skoro królowanie
Ma się nam święcić — tedy piękne panie,
Królujcie sobie, byleście mi tylko
Nie panowały.

NAWOJKA.

Puszczam precz to słowo.
Jam nawet pana mego jest królową,
I, jak waść widzisz, stać mię jeszcze na to,
Bym, bez wysiłku, byle śnieżną szatą
Wionąwszy w przestrzeń, mnogich serc tęsknoty
Chłodziła dumnie. A cóż mówić o téj,
Która skarb ręki swojéj sprzedać tanio
Ni chce, ni może. Więc się waść zastanów:
Że ta, co godna być królową panów,
Tém jest godniejsza być monarchów panią.

DYMITR.

Nie myślę przeczyć. Jednak, z królów owych
Jednego wybrać, nasza rzecz — gdyż trzeba,
Byśmy jéj rękę mogli jak najdrożéj
Sprzedać najwięcéj mającemu. Przeto
Litwę musimy za nią wziąść!

NAWOJKA.

Koniecznie
Litwę nam ona musi dać. Koniecznie!
Ale po pańsku — z własnéj woli!

DYMITR.

Przecięż,
Nie w innym celu wspólnie zabiegamy,
By się to stało. — Dość. Ja pójdę baczyć:
Czy zamek rygle ma, by Rakuskiego
Do naszéj panny mógł nie puścić szpaka,—
Ty pani jéj tu strzeż. A moje słowa,
Oby rymowe w piśmie tém gruchanie
Zagłuszyć mogło. — Tedy, bądź mi zdrowa
Królowo panów.

NAWOJKA.

Żegnaj, królów panie. (*Dymitr odchodzi*).

Ci, którym życie w dziwny traf się klei,
W poczuciu sił swych jędrne męstwo biorą.
Przywiodłam sobie męża z leśnéj kniei—
Ten nie przemocą wziął mię—lecz pokorą.
Bywało, kniaź mu ledwie karku nagnie—
Dziki był—jam go wnet zmieniła w jagnię.
Kożuchem owczym cuchnął i rogożą—
Dziś kwitnie wonny swą dziarskością hożą
Z mojéj naprawy. Odtąd, męzkie żądze
Tam wieść na pasku zwykłam, gdzie jest, sądzę,
Korzyść, i takim, ku rycerskiéj chwale,
Nic nie kosztownych łask nie szczędzę—ale
Wara od mego serca! (*rozwija pismo*).
Cóż nowego
Prawi mi wreszcie ten hołdownik nowy?

(*czyta*): „Spojrzałaś w moje oczy utęsknione"...

(*mówi:*) Zarozumialec! Chybabym spojrzała
Sobie pod stopy, gdzie on klęczał w pyle.

(*czyta daléj:*) „Spojrzałaś w moje oczy utęsknione—
„A ja, gdy w blaskach wzroku twego tonę,
„Zda mi się, czuję z rozkoszą:
„Że mam na czole koronę"...

(W téj chwili, spostrzegłszy Jadwigę wychodzącą z kruchty kościelnéj w towarzystwie Ofki — obie są w strojach mieszczek z wysokiém na głowach upięciem z kalétkami u pasa—chowa pismo w zanadrze).

Wygląda inna całkiem, niż tam weszła.
Poważna, cicha, zadumana, trwożna.
W takich to chwilach, trzeba ją, gdy można,
Zostawić saméj sobie. To orlątko,
Z błysków słonecznych, nieraz w siebie wchłania
Poczucie dumne swego panowania!

(Znika w tłumie).

JADWIGA.

Królowéj Niebios godny to zaiste
Przybytek chwały! Szyby te wzorzyste,
W których dumają święci rozmodleni—
Te wzniosłe łuki, w Niebios gdzieś przestrzeni
Ginące razem z duszą, któréj ciało
Leżące krzyżem w prochu pozostało—
Wszystko to, skoro wspomnę, że mię zową
Zazdrości godną ziemi téj królową,
Zda mi się mówić: ilem ja jest małą!

I patrz—ta wieża ukoronowana,
U szczytu którój, pod jaskrawą gwiazdą,
Lechicki orzeł godzien słać swe gniazdo—
I patrz—to miasto, być wielkiego pana
Godne stolicą, w którém podziwiamy
Przybytków Bożych dwakroć po dwanaście—
Te zewsząd gmachy, te bogate kramy,
Ten gród potężny, w Niebo nad przepaście
Smocze dźwignięty—słowem, owa cała
Dziada mojego Kazimierza chwała—
Niby możebna owych dóbr utrata,
Ciężarem troski duszę mą przygniata...
Boże! Ty widzisz. Oto drżąca stoję
W dumania mego ciszy jak noc głuchéj,
Zachwiana w wierze—bo mi brak otuchy
Na pierwszym wstępie w to królestwo moje...

(słychać przegrywkę ślepego Lirnika).

OFKA.

O! słuchaj Pani. Cóż za wróżba błoga!
Ten starzec zda się dmuchać tchnieniem Boga
W zwątpienia twoje. Pieśń to pełna chwały,
Którą praojca twego niegdyś z drogi
Witano tłumnie, gdy w rodzinne progi
Wrócił odnawiać w chacie ład zmurszały.

LIRNIK.

(śpiewa, przeplatając strofy przegrywkami)

A witajże nam miły Hospodynie
W bezpańskiéj naszéj gospodzie!
Gdzieśmy na ciebie zdawna aż do ninie
Czekali w chłodzie i w głodzie!

JADWIGA.

Ach! Na mnie także, wielcy tu i mali,
Nie z mojéj winy, długi czas czekali.

LIRNIK.

Bóg ci dał imię iście szczerozłote
Między ludzkiemi imiony,
Że cobądź kazi—mierzi twoją cnotę—
Więcże nam bądź pozdrowiony!

JADWIGA.

Mnie zaś Bóg jakie imie dał? Jadwiga;
Snadź chcąc: by we mnie było ja, co dźwiga.

LIRNIK.

Bierz silną dłonią za wezwaniem Bożem
Królewskie twoje zaszczyty.
Chudobą naszą my ci dopomożem—
Lecz i ty bądź pracowity.

JADWIGA.

Będę. I tylko, przez wysiłków znoje,
Z pomocą Bożą, przyjdź królestwo moje!

LIRNIK.

Masz zrobić całym i wykupić z trwogi
Twój kraj zszarpany w kawały,
Z domu i z zewnątrz precz przepędzić wrogi,
I lud przywabić zdziczały.

JADWIGA.

Zrobię to. Toćże, krew jest nie daremnie
Łokietka oraz Chłopów Króla we mnie!

LIRNIK.

I godziwości dać mu dobre słowo
I zdarzyć ład pożądany,
By u zwycięskich Krzyża stóp na nowo
Sprośne powalił bałwany.

JADWIGA *(zasmucona)*.

Jagiełło? Myśl ta przykrém brzmieniem dzwoni...
Boże mój? Serce moje miéj w Twéj dłoni!

LIRNIK.

Pókiś ty z nami w pełni cnót i siły,
Lechia nam nasza nie zginie—
Więcże nam witaj Hospodynie miły!
Święć się nam, święć Hospodynie!—

JADWIGA *(budząc się z zamyślenia)*.

Tak. Przez was dla was, i przezemnie z wami—
Ni ja samotna—ni wy z sobą sami!...—
O! ten poranek, tak po pańsku w złoto
Słoneczne zdobny, w błękit i w wesołą
Zieloność wiosny! — ten mój lud w około,
Szumiący gwarem niby pszczół robotą,—
Wszystko to piękne jest. I jak tumany
Na widok brzasku, skoro w kraj nieznany
Przepłynąć dążą potarganą zgrają—
Tak oto z duszy mojéj precz pierzchają
Przeczucia chwiejne i obawy próżne.....
O! jakżeś mi jest, niewidomy piewcze,

Widzącym i w otuchę hojnym! Dziewczę,
Starcowi temu szczodrą daj jałmużnę.

(Ofka rzuca mu w skorupkę żółwią pieniądz złoty.)

PRZEKUPKA (*do sąsiadki*).

Błysnęło i uczciwie brzękło. To chyba córka Wójtowa.
Ale nie. Niemcy nie takie rozrzutne.

KWIACIARKA.

A do domu, panieneczki — do swego własnego — tu oto—do mnie. Patrzcie no—fijołki, hyacynty, narcyzy, laki,—różyczki wczesne, jak bliźniaki do was podobne! Proszę wybierać! W pęczkach, w wiankach, w wiązkach, w równiankach—jak sobie życzycie!

JADWIGA.

Wszystkie i więcéj, jeśli jest gdzie w mieście,
Co najpiękniejsze kwiaty wnet mi znieście,
I z nich pokotem niechaj w tym kościele
Najświętszéj Pannie pomost się uściele!

(Ofka rzuca garściami pieniądze).

GŁOSY Z TŁUMU.

Aj—ależ to jakieś bardzo wielkie panie!

STARUSZKA O KIJU (*podchodząc do Jadwigi*).

Jasnotko moja, pokaż no mi rączkę. Nie bój się—nie wezmę jéj—zaraz ci ją oddam. Tylko niech zobaczę : jak ci się téż Matka Boska odwdzięczy? (*z cicha*). Śliczna rączka!—Takiéj jeszcze u nas nie bywało. To téż popisana w nadzwyczajne rzeczy. (*jeszcze ciszej*) Panienko, Panienko.

Daj mi w twe uszko ciche szepnąć słowo:
Ty albo będziesz—alboś jest królową.

Nie wyrywaj mi jéj—zaraz skończę. W tak małéj rączusi, jak tu ciężkie berło dźwigać? co? nie prawda? Więc ci koniecznie towarzysz potrzebny—czy nie? Cóż z tego—kiedy—

W serduszku twojém płonne tkwi orędzie!
Nie ten co twój, lecz ten co nasz, twój będzie.

JADWIGA (*zakłopotana*).

Moja dobra kobieto, idź już, idź—(*szuka w kalétce*).

STARUSZKA.

Nie płać mi proszę—jam już z góry zapłacona. Niech cię nam Bóg w pociesze chowa—ma On więcéj, niż rozdał. Jam nie żadna żebraczka — (*znika w tłumie*).

ŻAK (*z garnuszkiem*).

Sławetni, więcéj odemnie możni!—dajcie co łaska w pusty brzuch przyszłego kronikarza a może i biskupa! (*przekupki nakładają mu w garnczek*).

JADWIGA.

(szuka w kalétce i nic nie znalazłszy, łańcuch sobie z szyi, zrywa).

Weźcie to. Dajcie wszystkim im odemnie
Dostatek jadła. Weźcie to. Daremnie
W świecidła strojną nie chcę być—dopóki
Ten lud nie syty chleba i nauki!

PRZEKUPKA.

O! o! Także się to odzywasz moje dziecko? Naprzód, schowaj twój łańcuszek—my tu u Pana Boga w służbie. Nie tobie być karmicielką—jeszcześ na to za młoda. Chybabyś była jałmużniczką królowéj.

MULARZ (*odgarniając przechodniów*).

Ustąpcie się—bo mi popsujecie. Patrzcie no—ta tu oto stopka w glinie—widział kto drugą taką w tém królestwie?

GŁOSY.

Co? gdzie? A! prawda. Czysto dziecięca — w dłoni się zmieści.

MULARZ.

Jasiek! Lećno duchem po gips. Niech ją na podziw odleję.

GŁOSY.

Ależ to chyba sama nasza pani.

PIEŚ.

(wypadając z tłumu, z cicha do Jadwigi.)

Bierz nogi za pas ciotusiu—bo oni, widzę, nad potrzebę ciekawi. Ja ich tu czém innném zabawię. (*krzyczy:*) Héj! trzymajcie! łapcie!

GŁOSY.

Co? kogo? gdzie? jak? (*Jadwiga tymczasem znika*)—

PIEŚ.

Tylko co tu był. O! jeszcze mu się ogon mignął. Myk — już po nim!

GŁOSY.

Po kim?

PIEŚ.

Ba—nie widzieliście? Szczur z rogami.

PRZEKUPKA.

Idź ty niezdarzony—głupiemu gadaj.

PIEŚ.

Ach! Matulu — któż wypowie,
Co są warci nasi młodzi,
Skoro w starym tym Krakowie,
Nawet szczur w dzień biały chodzi
Z rogami na głowie!

ŻACY (*nadbiegając*).

Wesołek! Wesołek! Powiedz nam co śmiesznego.

PIEŚ.

A do łaciny smarkacze! Naprzód się nudzić nauczcie, a potém się bawić będziecie—jeśli wam tak znaczono.

GŁOSY (*w tłumie*).

Bodajś pękł—bodajś kark skręcił—bodaj cię zabito! Toćże tu tylko co była nasza pani.

PIEŚ.

Wasza? Zważcież miłe sługi,
Że zmysł krótki, gdzie włos długi.
Cóż z głupiemi jak wy zrobię?
Bo czy rzecz to zdrowa:
Że was pod spódnicą sobie
Jedna dziewka chowa?

KTOŚ Z TŁUMU.

Bredzisz błaźnie. Możesz pójść w dyby. Przecież to królowa.

PIEŚ.

Królowa—to dopiero żona takiego co jest królem.

KTOŚ.

Bo i prawda.

PIEŚ.

Więc jak ją za mąż wydamy—a no, to wtedy—nie mówię.

KTOŚ.

Albo to my ją mamy wydawać? Są drudzy, mądrzejsi.

PIEŚ.

Pewnie, że was się nikt nie poradzi. Ale, swoją drogą, jednemu możecie się ucieszyć, a drugiego przyjąć z nosem spuszczonym.

KTOŚ.

A juści prawda.

PIEŚ (*włażąc na stół*).

Więc dobrze wam choćby wiedzieć: co was czeka. Jest tam tych przyszłych królów naszych kupa.

GŁOSY.

Ejże? A jacy to?

PIEŚ.

No! Opolczyk. Cóż mówicie?
Piast—a razem kum Cesarski.
Lach—a razem Ruski książę.
Szlązak—i Węgierski razem
Wojewoda. Jednóm słowem—
Całą gębą wielki pan!

GŁOSY.

Takiego nam właśnie potrzeba. Niech żyje!

PIEŚ.

Co? Ten warchoł, zmiennik, matacz,
Kusy szwab, krzyżacki ciura,
Szołdra pół i pół szlachetka?—
Jako niegdyś za Łokietka
Wara Albertusie Wójcie—
Tak dziś przy tym stać się bójcie,
By wnet, mimo pełnéj kiecki,
Nie szedł precz on gość Niemiecki!

GŁOSY.

A! to go nie chcemy. Niech idzie do czarta. Innego dawaj.

PIEŚ.

Rakuszanin. Ten już chociaż
Nie przechera—jedno Niemiec
Wskróś od głowy aż do pięty.
Człek stateczny—choć nadęty.
Choć gołowąs—pan dostojny.
Mąż rycerski—choć nie z wojny.

GŁOSY.

Ha! ha! cóż nam z takiego?

PIEŚ.

Ten, nie zasięgając naszéj
Rady, gdy koszulę, jeszcze
W zębach nosił, już się wczesnym
Ślubem z naszą sprzągł królewną.

GŁOSY.

O! zaś! A to śmiałek. I cóż? Dać mu ją teraz, czy nie dać?

PIEŚ.

Ze swych zamków, górą, dołem,
Przez gawiedzie, jedzie, jedzie,
Z trąb rozdźwiękiem, z ostróg brzękiem,
Konno, dworno, z psem, z sokołem,
W aksamitach, w gronostajach,
W pióropuszach, błyskach, wstęgach,
W srebrze, w złocie...

GŁOSY.

Tak że nam gadaj. Taki niech się święci!

PIEŚ.

Aleź, gapie!
Złoto z niego ani skapie,

Bo je umić trzymać w łapie.
Kutwa i łapigrosz duży,
Byle naszéj panny wiano
Z nią czy bez niéj mu oddano,
To się za nim aż zakurzy,
A wy, wiatr ten gdzieś po świecie
Próżno potém gnać będziecie.

GŁOSY.

A to go nie chcemy. Słyszysz? Nawet o nim dłużéj nie gadaj.

PIEŚ.

Godzien rządzić swe psubraty,
Lisa i wilczycy synek,
Pludrak, mydłek, smyk, papinek,
Czart opięty, pies kudłaty!

GŁOSY.

Prawda święta! Dawaj go tu — obszarpiemy go, co się zowie. O! patrzcie. Królewny mu się zachciało — Kazimierzowéj wnuki. Nie doczekanie jego—o innym gadaj.

PIEŚ.

Semko—to już nasz! Piast prawy,
Junak setny i król kmiecy.
Z magdeburskiéj nie rad Ławy,
Nieraz Niemcom sprażył plecy,
Lub Krzyżakom kruszył gnaty.
Szlachcic butny i wąsaty.
Z Bożéj Łaski dzierży piaski,
Pod swe zboże szablą orze,
Pan wesoły — cóż, gdy goły.

GŁOSY.

Wyposażymy go naszéj panny wianem. Z chudopachołka wyjdzie na sobie-pana.

PIEŚ.

Czémbądź by go obdarzono,
Wprzód, nim on to palcem ruszy,
Żydzi porwą—gdyż po uszy
Wlazł w ich kieszeń zatłuszczoną.

GŁOSY.

Żydom poobrywamy pejsy. Chodźmy ich bić. Za mną bracia. Nie damy im naszego króla.

PIEŚ.

Kiedy to z pod ciemnéj gwiazdy
Mazur ślepy, zbytnik, raptus!

Toćże oto, w pewne rano,
Nim królewnę nam przysłano,
On, ze zgrają swych junaków,
Co się również światła boją,
Naprzód chciał nam zdmuchnąć Kraków,
A gdy to się nie udało,
W drodze, naszą pannę białą
Obskoczywszy, wziąść jak swoją.

GŁOSY.

A niechże go! Alež to gwałtownik. W takim razie, nie ma co gadać. Nie damy mu naszéj Piastówny. Niech idzie na złamanie karku w swoje sypkie piaski i w lichą sośninę!

PIEŚ.

No, a teraz, małowiele
Pogadajmy o Jagielle.

(W dali słychać rozgłośną muzykę. Robi się zgiełk ogólny. Jedni biegną w głąb—drudzy co tchu zbierają kramy.)

WSZYSCY.

Co to takiego? Co to takiego?

KTOŚ PRZECHODZĄCY.

Rakuszanin słyszę od Podgórza wali. Ludu moc okrutna. Chodźmy patrzéć. (*Wszyscy się zrywają—nawet dziady—*)

PIEŚ (*krzycząc*).

Głupcy! obwiesie! Cóż wam dadzą za to?

RZEŹNICZKA.

Idź ty na złamanie karku—bo cię tu jeszcze przywitam.

PIEŚ (*oglądając się*).

Jakby ich rozniósł miotłą kostropatą! (*złazi ze stołu*)—
Bodaj was wszystkich przez najgęstsze sito
Prześrutowano—owszem i zabito—
Owszem i żywcem pogrzebano—potém
Pod płot rzucono i zmieszano z błotem!—

KILKA PRZEKUPEK (*do straganiarki*).

Moja kumciu serdeczna—miéjcie tu oko na nasze tobołki.

STRAGANIARKA.

A! a! Sparły was kolki?

(Wszyscy wybiegają, zostaje tylko dziad pod kościołem i straganiarka).

PIEŚ (*do niéj*).

Ten dziadek tam, to chyba ślepy?

STRAGANIARKA.

Rzepy? Ja nie sprzedaję rzepy.

PIEŚ.

Ale ja nie mówię o rzepie.

STRAGANIARKA.

W sklepie? to może i jest. Ale u mnie nie ma.

PIEŚ.

Pytała gęś prosięcia o sadzawkę, i trafiła do kałuży pod mostkiem.

Jedzie Józwowa na łopacie,
Ku Łyséj Górze. — Jak się macie?
Cóż słychać tam w chałupie? —
A na to babsko głupie:
— W karczmie od ucha rznie muzyka,
A mnie coś w prawém biedrze strzyka,
I pod kolanem łupie.
(do dziada:) Dziadku, a wy nie idziecie?

DZIAD.

Kiej nic nie widzę mój jegomość *(muzyka ustaje)*.

PIEŚ *(do siebie)*.

Widocznie widać niewidomy — bo inaczéj nie widziałby we mnie jegomościa. *(Głośno:)* Chcecie — to was podprowadzę.

DZIAD.

Nie ma tam już po co iść. Kto inny połapał groszaki.

PIEŚ.

Ten już nie rzepę, ale sprzedaje swoje kaléctwo.

Otóż przykład, jak dalece
Szły nam w korzyść stare wiece!
Szlachtę, mieszczan weź, czy kmieci,
Kto żyw, z pierwszym wiatrem leci.—
Ledwie widzi cię i słucha
Ślepy dziad i baba głucha!

Choć i ta baba poprostu tylko nie słyszała grania, a dziad omackiem by do niego nie trafił. *(Wracają tłumnie ci, co byli poszli)*.

A! co widzę. Teraz, ktoby
Chciał wymowy swéj zasoby
Dźwięczącemu zwierzyć słowu,
Toby sejm zerwany znowu
Mógł zagaić — czyli raczéj
Miałby widzów i słuchaczy.
(do nadchodzących)
Miła siostro, miły bracie,
Cóż to? Z niczém powracacie?

MIESZCZANIN.

Walili, aż grzmiało. Ale już na Stradomiu utknęli. Kurozwęcki zaparł wrota zamkowe i kazał podnieść bronę.

PIEŚ.

O! o! Taki niegościnny! Ktoby się spodziéwał?
Toż ja widzę, nie na żarty
Niemiec nos ma szkłem utarty!

MIESZCZANIN.

Nic mu to nie szkodzi. Stanął gospodą u Dalewickiego.

PIEŚ.

Byle kiedyś, o czém nie wie,
Z tym Gniewoszem nie był w gniewie.

MIESZCZANIN.

A to czemu? Pan od złota i najdroższych kamieni. A jakie pióra miał na głowie!

PIEŚ.

Mówisz, miał na głowie pierze?
Niech mu czart je garścią zbierze!

PRZEKUPKA.

Wynoś się ty wcześnie, bo ja mam pazury, które tylko co piątek obcinam, a dziś chwalić Boga czwartek dopiéro.

RZEMIEŚLNIK.

Ej ty! Jak ja cię tu zamaluję, to w rodzoném zwierciedle nie poznasz: czy to ty, czy twój nieprzyjaciel.

PIEŚ.

Hej wy drudzy! gdy wam chętka
W pięści zagrać — niechaj z prędka
Ze mną zeprze się plecyma,
Kto tu z Kurozwęckim trzyma!

KTOŚ Z TŁUMU.

Ty sam pokaż plecy — bo nam już dość twojéj opieprzonéj gęby. Wynoś się pókiś cały.

INNY.

Daj się powiesić i jeszcze podziękuj oprawcy. A nie gadałeś to sam: że oni już zrękowani?

INNY.

Panna Rakuszaninowi się należy — nie ma gadania. Idź ty z twoim Kurozwęckim gdzie was nie posiano.

PIEŚ.

Pal was czarci! Niech tam sobie
Niemiec łeb kudłaty skrobie,
Oraz mury nosem bodzie,
W które mądry wlazł obrońca —
Ty się zdrowiem ciesz, narodzie
Od szarego twego końca! *(wychodzi)*.

AKT DRUGI.

GNIEWOSZ.

OSOBY AKTU.

Jadwiga, Nawojka, Ofka, Dymitr, Dobiesław, Gniewosz, Pieś.

Komnata w zamku na Wawelu.

Jadwiga, Nawojka, Ofka, Pieś.

Jadwiga *(do Nawojki)*.

Wielka rzecz! Naprzód, wiersz to wcale lichy,
Tak, że nie warto szukać z niego pychy —
A co do pisma, to je niesłychanie
Szpeci niesmaczne głosek malowanie.
(*czyta:*) „Spójrzałaś w oczy moje utęsknione,
„A ja, gdy w blaskach wzroku twego tonę,
„Zda mi się, czuję z rozkoszą,
„Że mam na czole koronę.
(mówi) Toś mu patrzała w oczy?

Nawojka.

Nawet nigdy
Nie przypuszczałam, że on gdzieś istnieje.

Jadwiga *(czytając)*.

„Jeśli jest prawdą, co śpiewacy głoszą:
„Że po nad naszą dolą gdzieś macoszą,
„W obłokach, zkąd ziemska kula
„Pyłem się staje z olbrzyma,
„Bóstwo, z jasnemi tak jak ty oczyma,
„Królewskie serca w dłoniach swych przytula—
„Toś mi jest Bóstwem, które serce króla
„W swéj dłoni trzyma."
(*Gniecie w garści pismo*).

Nie masz bynajmniéj z czego szukać chluby,
Bo wiedz, że ten tam twój Suchenwirt luby
Jest, mimo wszystkie rymów swych popisy,
Nieznośny, brzydki....

Pieś.

Głupi, stary, łysy,
Garbaty, chromy, ślepy i tam daléj.
Lecz nadewszystko to mu się nie chwali,
Że się wprzód wyrwał od swojego pana,
I że jest sługą sługi — zamiast pani.

JADWIGA.

Idź precz! Czy chcesz ty słuchać kiedy mówię?
Idź — bo na głowę rzucę ci obuwie,
I w kark ci pięścią dam i kopnę nogą.
Zła jestem. Boże! i to ludzie mogą
Żyć w nudach takich!

PIEŚ.

Pewnie, że trudno—ale cóż robić. Nie zawsze królowanie rzeczą zabawną bywa. Sam doświadczyłem tego na sobie. Oto naprzykład ów na Rynku sejm walny, zwołany przezemnie ku twéj korzyści. Cóż? Sromotnie został zerwany, z przyczyny przybycia nie w porę Rakuskiego twego gagatka.

Pchając się, depcząc, biegli tam ludkowie,
Blask jego chwały witać czcią łakomą —
Wiadomo — pełno pierza miał na głowie,
Ale co w głowie miał? — to nie wiadomo.

JADWIGA *(z gniewem)*.

Miéj go w twéj opiece!
Chciałabym, żeby wiedział, jak dalece
O niego nie dbam!

PIEŚ.

Ale czy nadługo?
Dotąd, co prawda, takby się zdawało:
Jakby o ciebie *on* dbał dosyć mało —
Bo gdyby nie chciał panem być, lecz sługą,
To cię kornemi winien był pokłony
Uczcić.

JADWIGA.

Śmiertelnie został obrażony.

PIEŚ.

No juściż, jak komu drzwi przed nosem zatrzasną —

JADWIGA *(chodząc gorączkowo)*.

To jawny rokosz! to gardłowa sprawa!
Natychmiast słałam przyzwać Dobiesława —
Dotąd się śmie ociągać!

PIEŚ.

Od czegożeś królowa? Każ mu łeb uciąć. Ja sam tego dopełnię; a że mam oręż drewniany—więc mu długo mogę gardło piłować, ku tém zawziętszéj twéj uciesze.

OFKA.

Ach! na mieście
Cóż za ruch! co za zgiełk!

PIEŚ.

To tak, niestety,
Fruwają czułe zdala ztąd sonety,
Oraz canzony wiatrem westchnień gnane!

JADWIGA *(w złości).*

Idźcie precz wszyscy — sama niech zostanę!
Boże mój! co za nudy!

POKOJOWIEC *(wchodząc).*

Pan dostojny
Gniewosz z Dalewic!

JADWIGA.

Ach! zostańcie proszę.
Od niego pewnie do mnie wielce miłym
Jest posłannikiem *(wchodzi Gniewosz).*

GNIEWOSZ.

Od Wilhelma księcia,
Ozdoby królów i rycerstwa chluby,
Kolano zgiąwszy, korną ci pośpieszam
U stóp twych, pani, złożyć czołobitność.
Lecz wzniosłą cześć jéj czyż wysłowić zdołam?
Wątpię — niech za mnie wymowniejszą będzie
Tych kwiatów mowa — ale nadewszystko
Woń uczuć serca prześwietnego pana,
Która w tém piśmie z pośród nich wykwita.

JADWIGA *(biorąc bukiet z listem).*

Bądź pozdrowiony, pośle dobréj wieści!
Dar twego pana dobrze się umieści.
Miłą mym oczom jest tych kwiatów mowa —
Lecz serce w sobie myśli woń zachowa. *(siada)*
Cóż? gość dostojny czy wypoczął z drogi?

GNIEWOSZ.

Zrobił mi zaszczyt, w moje nizkie progi
Gospodą wstąpić.

JADWIGA.

Czy się cieszy zdrowiem?

GNIEWOSZ.

Doprawdy, strach mię, godnie czy wypowiem
Blask, jakim wszędzie młodzian ten uroczy
Podbija serca i olśniéwa oczy.
Pan to nad wyraz dzielny i wspaniały!
Zda się, w nim wszystkie naraz się zebrały
Doskonałości, w jeden wieniec chwały!

W postaci wdzięku i w piękności twarzy
By mu kto zrównał, niechaj ani marzy
Słoneczne nasze w krajach tych podniebie...

JADWIGA.

Dość. Niech on wreszcie mówi sam za siebie.

(*Rozwija pismo i czyta:*)

DO MOJÉJ LAURY.

„Choćbym i nie chciał — tkwi w mém sercu strzała.
„Choćbym i nie mógł — z Niebios mam zachęty.
„Choćbym i nie śmiał — jam w twą stronę pchnięty.
„Choćbym nie umiał — rwie duch więzy ciała.

„Umiałbym nie chcieć — gdybyś tak żądała.
„Nie śmiałbym nie módz — alem wściągnion pęty.
„Nie chciałbym nie śmieć — alem czcią przejęty.
„Mógłbym nie umieć — lecz tyś za mnie śmiała.

„W tobie jest wszystko co nad życie cenię:
„Tyś moja wola, możność, ośmielenie,
„I umiejętność mądra nieskończenie.

„Z twych ust niech w serce spłyną mi słodycze,
„A z oczu błyski rzuć mi czarownicze.
„Od których umrzéć, bym zmartwychwstał, życzę!

PIEŚ *(do Nawojki)*.

Pociesz się pani. Te wiersze ani się umywały do twoich—choć je ten sam pisał.

Że zaś dla siebie lepsze, a dla pana
Gorsze przeznaczył, rzecz to w świecie znana:
Koszula bliższa ciała, niż sukmana.

GNIEWOSZ.

Prześliczne rymy! Dźwięczne, szeleszczące
Wyznaniem trwożnem, i w zagadki uczuć
Spowite słodko w sposób tak misterny,
Jakby je z duszy wysnuł sam Petrarka!

PIEŚ.

Ach! dajże pokój! bo się wstydem spłonię.
Petrarka, człek duchowny, w cudzéj żonie
Kochał się, słyszę.

JADWIGA.

Jam nie cudzą żoną
Lecz tą, co w sercu ślubną wiarę chowa.

PIEŚ *(do Nawojki)*.

Jawnogrzesznico! bij się w pierś skruszoną—
Bo to do ciebie, nie zaś do mnie mowa.

NAWOJKA.

Ci, co mi niosą swéj miłości słowa,
Tyleż witani są, co i żegnani.

POKOJOWIEC *(wchodząc).*

Wielkiego Mistrza giermek pragnie pani
Dar cenny złożyć u twych stóp.

JADWIGA.

Niech wejdzie.

PIEŚ.

Czy i ten z wierszami? *(wchodzi giermek).*

GIERMEK.

Najświętszéj Panny i Pogromcy smoka
Pokorny sługa i bojownik dzielny,
Mój pan, prześwietna pani, pozdrowienie
Raczy ci przysłać— a z niém, ku uciesze
Twych łowów, tego tu sokoła, który
Wraz z sokolnikiem swoim niech ci służy.

GNIEWOSZ.

Przepyszny raróg! Pewnie z puszcz Baltyckich
Szlachetnie rodem?

GIERMEK.

Tak; z tych ziem odwiecznie
Naszych.

NAWOJKA.

Odwiecznie?

GIERMEK.

Boskiéj woli prawem!

PIEŚ.

Zgodnie z pobożną pięścią.

GNIEWOSZ.

Zwinny, krzepki.
I pewnie tyleż sprawny. Podobnemu
Niczém w powietrzu czaple brać. Drugiego
Takiego rzadko spotkasz.

GIERMEK.

Bardzo wierzę.
Kształcony w naszéj szkole — dość powiedzieć!

PIEŚ.

I ztąd nawet jak dwie krople do Zolnera podobny. Jego ma nos krzywy i łapy szponami zdobne. W jednéj zdaje się trzymać Pomorze, w drugiéj ziemię Dobrzyńską.

NAWOJKA.

Cicho. Królowa mówi.

JADWIGA.

Mości giermku —
Twojemu panu chciéj powiedzieć proszę:
Że z jego daru być zadowoloną
Zarówno *raczę*, jak on, gdy się z niego
Dla mnie wyzuwał.

(Daje mu ręką skinienie — ten nie odchodzi.)

Czy co jeszcze więcéj
Do powiedzenia masz?

GIERMEK

Dostojna pani!
Mój pan niepłonną żywić chce nadzieję:
Że, jako godna Loisowa córa,
A dziś, małżonka Niemieckiego władcy,
Skłonnaś, jak oni dwaj, Zakonu wierną
Być sojuszniczką.

JADWIGA *(wstając gwałtownie)*.

Jak ty śmiész zuchwalcze?
(do Picsia) Ty się z nim rozmów. Powiédz mu, że chyba
Mistrz jego mistrzem jest w przewrotnéj sztuce.
Więc, gdy z pogardą jego dar odrzucę,
Chcę, by odpowiedź wziął zarazem, która
Da z nas każdemu odpowiednie prawa —
Gdy on sam u mnie przez pachołka stawa,
Niech mi sokoła przyśle przez komtura!

PIEŚ.

Słyszałeś, własne są to moje słowa.
Ta pani, nie dla takich jest królowa
Jak ty — lecz nie bądź smutny z téj zamiany:
Jam królem głupich—więc tyś mój poddany.

GIERMEK.

Prześwietna pani! patrz—ja w pierś się pięścią
Pokornie biję. Ach! zgrzeszyłem — przebacz.
Jam jest pokoju z powołania sługą —
Zakonnik cichy.

PIEŚ.

Wiem. Zakrystyan, w komży
Z żelaznych oczek, dzwonnik w szable, klecha
Szumiącym w czubie pióropuszem zdobny,
Na trąbach w pychę dmących organista.

GIERMEK.

Jeszczem nie skończył. Pani—chciéj rozkazać,
Aby on milczał.

JADWIGA.

Dalej mów. Cóż więcéj?

GIERMEK.

Wyznaję tedy w skrusze, że jedynie,
Z chwalebnéj żądzy usłużenia tobie,
Nie to, co Mistrz mi zlecił, ale własne
Życzenia serca wyraziłem. Otóż,
Niewczesne słowa moje puść w niepamięć,
I proszę, daru mego nieprzyjęciem
Nie chciéj mię karać—bowiem wiédz, że skoro
W Malborgu naszym ztąd z powrotem stanę,
Ostrogi złote oraz pas rycerski
Mam w świetnym zysku odnieść—tak dalece
Zaszczytną rzeczą w pośród nas uznano
Moje poselstwo.

JADWIGA.

Dość już. Możesz odejść.
Wasz dar z pokornym hołdem twym przyjęłam.

PIEŚ.

W prawicy dzierżąc żerdź z kapturkiem długą,
Idź gasić świéce, mości księży sługo.
Te Deum laudamus. (*giermek wychodzi*)
Ztąd wychodząc
Zębami zgrzytał dosyć niełaskawie.
Ale za drzwiami radość go przenika,
Że zrobił swoje. Bo w téj całéj sprawie
Sokół przydatkiem jest do sokolnika,
Który to ptasznik, z ptakiem wysłan w darze,
Sam się nie lada ptaszkiem być okaże,
(*śpiewa:*) Taki samiec po nad samce,
Biegły w sztuce swéj krzyżowéj,
Świątobliwie, tuż przy klamce,
Rad spowiadać ludzkie mowy.
Rozgrzeszenie tam, wysoko!
Byleś z równą żądz otuchą,
Miał przy każdéj dziurce oko,
I u każdéj szpary ucho.

GNIEWOSZ.

Chytrzy są, dumni i nie pewni w wierze.
Szkoda. Zkądinąd dzielni z nich rycerze.

JADWIGA.

Najeźdźców raczéj zgraja!

GNIEWOSZ.

Przecięż do nas
Nie sami przyszli. Konrad, przez nich, zyskał
Mazowsza swego miedze.

JADWIGA.

Od choroby
Lekarstwo gorszém było. Już mój pradziad,
Jakbądź praszczura szczerbiec miał, w ich karki
Siekł z trudem. Syn zaś jego, gdy ów nagi
Miecz, dla pilniejszéj w domu gospodarki,
Chciał wziąść do boku,—z ujmą swéj powagi—
On—Pan—z przybłędy tymi, jakby z równym,
Szukając miru—w zamian był zmuszony
Odkruszyć cenny odłam swéj korony.
Gdy myślę o tém, to się nie daremnie
Odwetu żądzą wszystko wstrząsa we mnie!

GNIEWOSZ.

Tak. Nie wygodni to sąsiedzi. Jednak
Czy lepsi byli dawni?

JADWIGA.

Od obcego
Lepszy najgorszy sąsiad pobratymy!

GNIEWOSZ.

Podobno nie tak prawił Floryan Szary.
Gdzie niegdyś zgrzyty klęsk i łun pożary
Gościły wiecznie—tam dziś ład widzimy.

JADWIGA.

Ład? Chyba szydzisz waszmość. Wśród cmentarza
Ład się podobny nieraz widzieć zdarza,
Który grobową ciszą swą przestrasza
Bliźnięce serca. Bowiem w te mogiły
Krwi się potoki oraz łez wsączyły—
A łzy te bratnie są—a krew to nasza!

GNIEWOSZ.

Zakon żelazną pięść ma—nikt nie przeczy.

JADWIGA.

Do tego, powiesz: z licznéj książąt rzeszy

Nie jeden warchoł pomoc dać mu śpieszy,
I sam go Rzymski cesarz ma w swéj pieczy?
Lecz my, nie mamyż bliższych, niźli oni,
Współtowarzyszy doli?—Któż nam wzbroni
Z Litwą się związać?

GNIEWOSZ.

Pani—rozważ, proszę—
Czy ci się godzi sprzęgać z swoją chwałą
Ćmy bałwochwalcze? Ten od Krzyża zginie,
Kto z Krzyżem walczy!

NAWOJKA (*wybuchając*).

Mości karmazynie—
Waść z niemi trzymasz!

PIEŚ.

Dobrze. Daléj. Śmiało!
Mimo zarzutów, jakie jéj zrobiono,
Czyż ta tu pani nie jest wierną żoną?

NAWOJKA.

O walce z Krzyżem waszmość prawisz? Pewnie
Z tym, co to na nim Zbawiciela Ciało
Wśród Odkupienia krwawych Mąk wisiało?
Lecz Moc jest Boża w tém Najświętszém drewnie—
Więc nie możebna walka z takim, skoro,
Zbrojny miłością tylko i pokorą,
Do boju stawa.

GNIEWOSZ.

Właśnie tak.

NAWOJKA.

Więc jeśli
Tak jest, to nie ten wcale—przyznasz przecię—
Na białym płaszczu czarnym znakiem kreśli
Grobowe znamię. Po szerokim świecie,
Z tamtym, Wybranych Pańskich zastęp cichy,
Niósł Słowo Dobre. Ten zaś, zbrojne mnichy,
Sługi doczesnych żądz i czarnéj pychy,
Na kark wtłaczają bliźnim dłonią krwawą,
W któréj: miecz, ogień, pęto i katusza,
Bluźnierczo Boskie wykrzywiając prawo,
Wierzyć, nadzieję mieć, i kochać *zmusza*!
Więc owi, których takim nawiedzono
Krzyżem, co nie jest zbawczy lecz przeklęty,
Dziwnoż to komu, gdy krnąbrnemi wstręty
Za przemoc płacą?

GNIEWOSZ.

Pani, twą obroną
Już ich potępiasz.

NAWOJKA.

Nie skończyłam jeszcze.
Tych ludów jednak Bogi, trwogą blade,
W boleści mierzchną; gdyż ich właśni wieszcze
W swych pieśniach bliską głoszą im zagładę...
Więc kraj ten cały aż po Żmudzkie tonie,
W Kazimierzowéj niegdyś już Aldonie
Przez pół zjednany Chrystusowéj Chwale,
Nie żadnym obcym skądś przywłokom, ale
Nam się należy.

GNIEWOSZ.

Gdy go podbijemy.

NAWOJKA.

Lecz mieczem, który zwie się dobrą wiarą!

GNIEWOSZ.

Dziki to naród oraz przeniewierczy.
Któż im zaufa? Witołd już trzy razy
Wracał bałwany swoje czcić.

NAWOJKA.

Tak musiał!
Skoro w zakonie, który zgubnéj waśni
Jest mistrzem wielkim, chciano, by go właśni
Podejrzewali bracia i poddani,
Że ich wrogowi sprzedał.

GNIEWOSZ.

A więc, pani—
Ty z Litwą trzymasz.

NAWOJKA.

Tak. I wiem, co czynię.
Kiedym porwana, z musu tam w gościnie
Będąc, rzecz każdą oglądała pilnie,
W wielkoksiążęcym grodzie, w możném Wilnie,
Zastałam rojne współwyznawców mrowie.
Kupiectwem bawią się, i nikt nie powie
By im się krzywda działa. Z dawnéj pory
Kościoły wzniosłe mają i klasztory,
I cześć ołtarzy swoich zapewnioną.
A kiedy z Nieba było mi zdarzono,
Żem, pod opieką Pańskiéj Rodzicielki,

Z Łysicy wzięte Boskie Krzyża Szczęty,
W mój kraj rodzinny niosła—sam kniaź wielki,
Z odkrytą głową, wiódł nasz orszak święty
W pielgrzymią drogę, czerń zaś trwogą blada,
Bywało, z drżeniem na kolana pada!
Więc, iż się Witołd wdał ponownie z czarty,
W tém go potępić niech się nikt nie sili—
Gdyż był chrzest jego zgoła tyleż warty,
Ile i wiara tych, co go ochrzcili.

GNIEWOSZ.

Milcz pani. Bluźnisz!

NAWOJKA.

Milcz sam. Przez Bóg żywy,
Z świętokradcami trzymasz!

GNIEWOSZ.

Twemi słowy
Do złego pani kusisz!

NAWOJKA.

Od królowéj
Z podszeptów zdradą precz doradco krzywy!

PIEŚ (*śpiewając dla ich zagłuszenia*).

Nie wierz Matulu, gdy kto gada,
Że nas jest słychać u sąsiada,
Bo świat ma język smoczy.
W serdecznéj zgodzie z sobą żyjem—
On mię sumiennie łoi kijem,
Ja mu podbijam oczy. (*wchodzi Dymitr*).
A! Bywaj w porę mości nasz podskarbi!
Wkrótce się zakon skurczy i tak zgarbi
Jak bywa silnie w grzbiet kropiona zdrada.
Idziemy na nich z Litwą.

DYMITR.

Co on gada?

JADWIGA.

Milczenie! (*do Dymitra*) Waszmość z czém przychodzisz [proszę?

DYMITR.

Pani—twój stryjec, książe na Gniewkowie,
Władysław Biały, słyszę, zmarł.

JADWIGA.

Ach szkoda!
Szczerze mi żal jest dziada Lancelota.
Na rękach niegdyś nosił mię maleńką.

PIEŚ.

Nie tak to dawno.

JADWIGA.

Władca i pokutnik,
Trubadur, pątnik, opat, rycerz błędny—

PIEŚ.

Słowem—że wszystkiém chcąc być, niczém nie był.

JADWIGA.

Zazdrosna dola cierń mu wbiła w serce!
Od kiedy żonę stracił ubóstwianą,
Sam siebie pozbył, bo jak uważano
Z sobą i z światem całym był w rozterce.
Tak to on kochał!—

PIEŚ.

Lecz nie kraj swój chyba.
Gdyż snadź praojców zbrzydła mu sadyba,
Skoro ją sprzedał. Wprawdzie, wziąwszy grosze,
Wypędził kupców, aby znów po trosze
Był nie u siebie. Ztąd w nim tylko znamy
Nieproszonego gościa.

DYMITR.

W rzeczy samej,
Ten pan niesforny, przez swe liczne zmiany,
Raz wraz nam w państwie broił niesłychanie.
Aż wreszcie przezeń w ostry bój wyzwany
Bartosz z Więcborka, snadź na pożegnanie,
W Złotorji spornéj goniąc z nim, przy bramie,
Raz mu na zawsze strzaskał krnąbrne ramię,
Z czém tamten odszedł, by nie wrócił więcéj.
O! był szkodliwym warchoł ten książęcy!
Semka nam burzył! Ten zaś, od téj chwili
Gdy sojusznika w nim postradał, ani
Myśli już sięgać po twą rękę pani,
Tylko pokornie do twych stóp się chyli,

JADWIGA (*wstając*).

Czemuś mi czekać dał na wieść tak miłą?
O! co za radość! Temu lat nie wiele—
W Haimburgu—pomnę, jakby wczora było—
Kiedym z Wilhelmem szła, by z nim w kościele
Wymienić słodki ślub dozgonnéj wiary,
Semkowy rodzic, książe Semko stary
Swadziebnym był mi druhem oraz świadkiem.

PIEŚ.

Co słyszę? Semko sam, zdarzeniem rzadkiem,
Po kosz swój sięga? Toż tu jaki taki
Śle nam od serca wiersze, kwiaty, ptaki;
Nie mógłże w droższe niżli te podarki
Spowić swych uczuć ów jegomość jarki?—
Cóż? pewnie znowu goły jest niezgorzéj?—
Ha! więc gdy biorą, rozdawajmy kosze. (*wchodzi Dobiesław*).
Milczenie. Waszmość z czém przychodzisz proszę?

JADWIGA (*porywczo*).

Ach! jesteś przecię, mości kasztelanie!
Mów : jakiém prawem, Rakuskiego księcia.
Królowéj waszéj pana i małżonka,
Tu, w obecności mojéj, wejść na zamek
Nie dopuszczono?

DOBIESŁAW.

Miłościwa pani—
Zamek to królów naszych.

JADWIGA.

On jest królem!

DOBIESŁAW.

Ale nie naszym.

JADWIGA.

Będzie nim!

DOBIESŁAW.

Być może.
Lecz dotąd jeszcze nie jest.

JADWIGA.

Wielki Boże!
Możecież myśléć, że się stać inaczéj
Musi, niż tak jak ja chcę?

DOBIESŁAW.

Tyś jest matka
Twojego ludu. Bóg cię natchnąć raczy
Nas wszystkich szczęściem.

JADWIGA.

Niebo mam za świadka,
Żem czystéj chęci!

DOBIESŁAW.

Któż się wątpić waży?
Lecz zanim Bóg cię dał nam, byś koroną
Chrobrych jaśniała, wcześnie mi zlecono,

Abym u grodu tego był na straży,
Z którego serca nasze tak się szczycą,
Że aż stolicy sam się stał stolicą.

JADWIGA *(porywczo).*

Więc cóż? Na mieście mam, i gdzieś w skrytości
Przyjmować tego, który jak najraniéj
Związany ze mną, w domu własnym gości,
Gdy u mnie?

DOBIESŁAW.

Wolna wola twoja pani!

JADWIGA.

Grzeszysz zuchwalstwem nigdy niesłychanem!
Jednak w niepamięć puszczę twoje słowo—
Byleś je tylko cofnął.

DOBIESŁAW.

Tyś królowo
W królestwie panią — a jam w zamku panem.

JADWIGA.

A! Tak? Już spełna lat piętnaście żyję,
A jeszcze dotąd usta mi niczyje
W twarz, niepomszczonéj, tak jak ta, zniewagi
Nie śmiały rzucić! Próżno miecz bym nagi
W dłoń pochwyciła — skoro mię przestrasza
Myśl o przyszłości — bowiem, w méj potędze
Bezbronna, widzę, smutny żywot spędzę!—
Idźcie odemnie! Precz ztąd! Jam nie wasza!—

DYMITR *(zginając kolano).*

O pani! błagam — nie mów tak. My twoi —
Tyś nasza — równie w złéj, jak w dobréj doli—
I przyszłość krew nam naszych serc zespoli
Z twém szczęściem — tylko, niech cię Bóg uzbroi
W cierpliwość słodką. Wierz mi — najzupełniéj
Z nas każdy tylko swą powinność pełni.
Błagam cię — niech się mir nasz nie rozluźni—
Sama racz nie chcieć tego, czego późniéj
Żałować możesz.

JADWIGA *(mięknąc).*

Dość. Powiédzcie sami;
Czy jest zazdrości godne moje życie?
Chcieliście niegdyś, bym rządziła wami—
Dziś — nie ja wami — lecz wy mną rządzicie.—
Odejdźcie oba. Każdy spełni swoje.

Ja tak przy moich obowiązkach stoję,
Jak wy przy waszych.

(Dymitr i Dobiesław odchodzą).

PIEŚ *(wołając za nimi)*.

Bo pomnijcie waście,
Że pani wasza ma lat aż piętnaście!

JADWIGA *(do Gniewosza)*.

Mości starosto — musisz mi koniecznie
Opatrzyć miejsce, gdziebym—gdy nie mogę
W swym własnym domu—jawnie, okazale,
Dworno, i kiedy zechcę, mego pana
Widywać mogła.

GNIEWOSZ.

Miłościwa pani,
Jest tu w pobliżu klasztor Bosych Braci,
Z Żebrzących rzeszy.

JADWIGA.

Hojnie ich obdarzę.

GNIEWOSZ.

Krużganki mają, chłodne wirydarze,
A nadewszystko serca, w całéj sile
Oddane tobie.

PIEŚ.

Jeśli się nie mylę,
Strzeż się królowo! Klasztor to bosacki —
Łatwo bez butów można wyjść z téj schadzki.

JADWIGA.

Milcz. *(Do Gniew.)* Więc wydatków nie chciéj waszmość [szczędzić,
I niech mi wprędce, będzie tam przyjęcie
Nas dwojga godne, składnie zgotowane.

GNIEWOSZ.

Nie łatwo godnie uczcić tak dostojną
Wybranych parę. Jednak, wielce mile
Przed wolą twoją, pani, skroń mą chylę.
Co? gdyby orszak lekkich Muz skrzydlaty:
Uśmiechy, blaski, dźwięki gędźby, kwiaty?...
Przystały godom skromne krotochwile.

JADWIGA.

Tak właśnie pragnę.

GNIEWOSZ.

Dość tu czarodziejstwa
Téj cudnéj rączki, która, będąc naszą,

Własnością oraz jest najświetniejszego
Z chrześciańskich książąt.

JADWIGA.

Więc śpiesz waszmość, proszę,

GNIEWOSZ.

O niezrównane zleceń tych rozkosze!
Chciej wierzyć pani, że jest dla mnie prawem
Twój rozkaz każdy.

JADWIGA.

W sercu mém łaskawém
Usługi twoje wdzięczność już zyskały.

GNIEWOSZ.

Błagam cię — nie mów pani o zasłudze,
Bo się tu tylko własném szczęściem trudzę,
Powinność słodką pełniąc z duszy całéj.

PIEŚ.

No — idź już pełen zasług i słodyczy —
My tak życzymy i królowa życzy. *(Gniewosz wychodzi).*

JADWIGA.

Odejdźcie wszyscy. — *(Zostaje sama).*
Mieć coś Gniewoszowi
Do zawdzięczenia, niezbyt jestem rada.
Ten człek usłużny, równie jak i owi,
Powinność swoją pełni — tak powiada.
Z tych dwóch więc tedy któraż jest prawdziwa:
Czy nie ta czasem, co trudniejszą bywa?...

Tamci, nie pomni własnych swych korzyści,
Przy cudzém twardo stoją i są czyści —
Ten zaś sam z sobą trzyma, jak się zdaje —
Mamże z nim trzymać? —
Lecz cóż, kiedy oni
Wilhelma nie chcą!...
Tam krzyżaków zgraje
Broją, tu z puszczy róg litewski dzwoni....

Boże! dopomódz twojéj racz Jadwidze!
Gdyż ja rozstajne drogi tylko widzę....

Knecht, jakby Niemce, w twarz, grubemi słowy,
Sojusz mi rzucić śmiał obowiązkowy,
Miałżeby prawo? Tak. Ten zakon srogi
Swą niemieckością trwa, i w nasze wrogi,

Krwi polskiéj kosztem, twardo się rozrasta.
Już się nam Niemcy bujnie wdarli w miasta.
Toćże w stołecznym nawet tu Krakowie
Bój z mym pradziadem toczył wójt zuchwały!
Toćże wyrodni sprawą ich Piastowie
Odwieczne swoje oderwali działy
Od macierzystéj miedzy — i jeżeli
Samém sąsiedztwem z niemi w nich wsiąknęli,
To cóż krwi związki z tą nawałą wrażą?...

Boże mych ojców, racz mię mieć pod strażą,
Gdyż, zagrążając wzrok w te mgły złowieszcze,
Niestrojnych myśli czuję w sobie dreszcze!...—

Tylko co dzieckiem bywszy, kiedym jeszcze
Czasu nie miała wziąć w młodzieńczą duszę
Méj kobiecości wiedzę—stać się muszę
Świadomą celów matką i królową!...
Czy nie za wiele chmurna przyszłość liczy
Na moje siły?...
O! tu — na dziewiczéj
Piersi, obrączkę noszę tę godową,
Z którą mi Wilhelm dał swe ślubne słowo.
Kocham go — jegom jest — a coś mi szepce:
Czy ja nie kocham siebie w nim? O! gdyby
Módz go nie kochać!...
Nibym, w snów kolebce,
Wiejąca w światłach przez błękitów szyby—
Razem i rozkosz ze mną jest i męka,
Bo się duch we mnie przebudzenia lęka....

Boże! Ty twojéj bądź miłościw słudze—
Niech się czas jakiś choć nadzieją łudzę....
(Wychodzi zamyślona).

Felicyan.





ŚWIADOMOŚĆ I NIEŚWIADOMOŚĆ.

SZKIC PSYCHOLOGICZNY.

Chaque état de conscience ne représente qu'une portion très faible de notre vie psychique, parcequ'il est à chaque instant soutenu et pour ainsi dire poussé par des états inconscients.

Chaque état de conscience n'est en lui-même qu'une lumière sans efficacité, que la simple révélation d'un travail inconscient.

Th. Ribot. (Maladies de la personalité).

I.

Wszelka czynność psychiczna dokonywa się w pierwiastkach nerwowych. Prawo zachowania energii, nie przedstawiające żadnych wyjątków w całéj naturze, każe nam przypuszczać, iż czynność ta jest ruchem molekularnym i że ruch ten nie może zniknąć, nie może ustać inaczéj, jak tylko dając początek innemu ruchowi. Maszyna, pracując, pochłania wprawdzie część swego ciepła, lecz zjawisko to skonstatowaném być może tylko przez kalorymetryą. Tą drogą jednak możemy się dowiedzieć jedynie o chwilowym stanie ciepłoty jakiegoś przedmiotu, ale nie o sposobie, w jaki stan ten wytworzony w nim został. Termometr ujawnić nam może do pewnego stopnia tylko chwilowy stan mózgu.

A. Gautier utrzymuje, iż świadomość nie jest formą energii, lecz percepcyą stanów wewnętrznych i ich stosunków, percepcyą formy danego stanu wrażeń otrzymanych i przekształconych w mózgu. Zwierzę w stanie myślenia jest organizmem spostrzegającym swe modyfikacye i ich stosunki. Zjawiska psychiczne są więc, z punktu widzenia obiektywnego, formami i stosunkami; z punktu zaś widzenia subiektywnego—percepcyami, obserwacyami wewnętrznemi. Świadomość jest zatém tylko odczuwaniem wrażeniowém, czyli widzeniem organizacyi wewnętrznéj, ujawniającéj swój po-

rządek i swe formy, gdy energie wewnętrzne uczynią je wrażliwemi (1).

Takie atoli określenie świadomości nie jest zgodném z dzisiejszemi wynikami nauki. Czém jest właściwie świadomość, nie wiemy; możemy tylko poznać warunki, w jakich się ona ujawnia. Umysłowość, w właściwém znaczeniu tego wyrazu, ma swe siedlisko w szaréj substancyi mózgowéj. Zaburzenia dezorganizacyjne, występujące w téj części mózgu, przejawiają się w zaburzeniach umysłowości o tyle głębszych, o ile dezorganizacya bywa szerszą. Jeżeli pierwiastki percepcyjne zostaną zniszczone, jeżeli brak substancyi mogącéj stać się znowu siedliskiem pojęć straconych, wówczas znikną także objawy umysłowości. Ślepota, głuchota, paraliże psychiczne, wzięte pojedynczo wywołują pewien rozstrój umysłowości. Im więcéj wystąpi ich razem, tém mniéjszą staje się rozciągłość umysłowości, tém więcéj zwęża się koło możliwych pojęć.

Komórki nerwowe nie są, zdaje się, siedliskiem aktów właściwie psychicznych; są one zapewne tylko akumulatorami energii nerwowéj. Świadomość wypływa prawdopodobnie, jak to wykazują dotychczasowe badania, z drobnych pierwiastków nerwowych, oznaczonych jako takie po raz pierwszy przez Karola Robin'a, który je nazwał myelocytami (2). Właściwe zdolności człowieka genialnego gnieżdżą się w małéj ilości komórkowéj substancyi nerwowéj. „Zasady" Newton'a i „Piekło" Dante'go wytworzyły się zapewne—powiada Pouchet—w jednym zaledwie milimetrze sześciennym żyjącéj substancyi nerwowéj (3). Mierzenie geniuszu na milimetry jest dość ryzykowném wprawdzie i wyda się niejednemu zbyt materyalistyczném, daje nam jednak pojęcie o tém, jak małą stosunkowo jest ilość uświadamiającéj substancyi w porównaniu z ilością nieświadoméj. Pewna część tylko wewnętrznéj pracy molekularnéj w mózgu ujawnia się w postaci myśli, reszta zaś jéj wytwarza rozmaite modyfikacye w częściach nieświadomych. Jeżeli zaś akty świadome są tylko pewnemi formami ruchu, to równoważnikami ich są zapewne akty nieświadome.

Lecz jeżeli świadomość rzeczywiście jest ruchem, to dlaczego ruch ten poznaje samego siebie nie jako ruch, lecz tylko jako coś zupełnie odmiennego? Wiedza nowoczesna konstatuje coraz więcéj analogii pomiędzy rozwojem ducha i ciała, lecz nigdy nie wykaże tożsamości ducha i ciała. Tożsamość taka jest dalekiém marze-

---

(1) A. Gautier. La Pensée. Revue scientifique 1887. I Semestre. N. 1.

(2) G. Pouchet. La Nature de la Pensée. Revue Scientifique. 1887. I Semestre. N. 6.

(3) G. Pouchet, ibid. p. 173.

niem metafizyki. Dualizm ducha i ciała występuje zawsze w nauce pomimo naszych teoryi apriorystycznych.

Mózg, dopóki krew nie przestaje w nim krążyć, nie może nie odczuwać, nie może przestać funkcyonować ani na chwilę. Jeżeli przestajemy odczuwać świadomie, to nie dowodzi to bynajmniéj, że wszystkie pierwiastki umysłowości naszéj zostały zawieszone, że wszelka czuciowość przestała istniéć. Życie umysłowe nie znika tam, gdzie istnieje życie fizyologiczne, nie opuszcza ciała, choć się nam nie ujawnia, „istnieje prawdopodobnie jak ogień pokryty popiołem", jak mówi Fouillée. Życie umysłowe trwa ciągle, pomimo snu i stanów patologicznych.

Gdy prądy nerwowe zostają powstrzymywane lub zwalniane w mózgu, wytwarzają wówczas stan świadomości. Świadomość jest więc powstrzymaną czynnością odruchową (Sieczenow). Przy powstrzymaniu szybkich prądów nerwowych świadomość bywa intensywniejszą, przy powstrzymaniu prądów zwolnionych—słabszą.

„Czynność odruchowa—mówi Spencer—jest najniższą formą życia umysłowego." Najskomplikowańsze atoli ruchy nie wyjaśnią najprostszego nawet ze stanów świadomości.

Ribot, Maudsley i inni utrzymują, iż świadomość jest czémś dodatkowém, nie koniecznie niezbędném. Lecz zwrócić należy uwagę na to, że normalna nawet czynność nerwowa nie jest pozbawioną zupełnie świadomości. Czyż bowiem komórka nerwowa może być całkiem wolną od świadomości? Tam, gdzie istnieje wrażliwość, wzruszenie, odczuwanie, musi być także świadomość. Świadomość nie jest zjawiskiem przypadkowém, lecz potrzebném i korzystném dla zachowania całości organizmu. Zwierzę szuka pokarmu, ponieważ odczuwa apetyt; ucieka przed nieprzyjacielem, ponieważ się go boi. Słabość i bezbronność w walce o byt zmusiły człowieka do wytworzenia w sobie obszernéj świadomości, dzięki któréj mógł zachować swoje istnienie.

Świadomość istnieje w każdéj komórce żyjącéj, a nawet istnieje zapewne w każdéj naturalnéj formie określonéj ciał, tak zwanych, nieorganicznych (1). Jest ona cechą i wynikiem braku równowagi zupełnéj w układzie wszelkiego bytu, cechą i wynikiem przystosowywania się stosunków wewnętrznych do zewnętrznych.

Lecz, jeżeli świadomość wszędzie istnieje we wszechświecie, to czémże jest nieświadomość i gdzie się poczyna?

---

(1) Zob. artykuł mój: *Biologia mineralna.* Przegląd Tygodniowy. 1886. N. 12. Str. 178.

II.

Komórka nerwowa posiada zdolność zachowywania w sobie śladów funkcyi w niéj się dokonywających, śladów falowań fizyologicznych, innemi słowy, posiada zdolność pamiętania tych śladów. Komórka przypomina sobie świadomie lub nieświadomie wrażenia, jakich doświadczała, podobnie jak ciało fosforescencyujące przypomina sobie światło słoneczne. Komórka jest aparatem notującym odczuwane przez siebie wrażenia. Każdy stan świadomości—mówi Maudsley—każde wrażenie zmysłowe, każdy prąd molekularny przechodzący z jednéj okolicy mózgu do drugiéj, każda reakcya mózgowa odpływająca przez nerwy ruchowe pozostawia po sobie pewną modyfikacyą pierwiastków nerwowych w grze będących, pewien rodzaj wspomnienia, odtwarzającego się tém łatwiéj, im częściéj się wznawia" (1)

„Wyładowanie nerwowe, dokonane raz w pewnym kierunku—powiada Romanes—pozostawia po sobie zmianę molekularną, mniéj lub więcéj stałą, tak, iż jeżeli następne wyładowanie po téj saméj pójdzie drodze, spotka się wówczas ze śladem poprzedzającego" (2).

W ośrodkach nerwowych człowieka jak i w rdzeniu kręgowym żaby, pozbawionéj głowy, znajdują się ślady zarejestrowane i tak ściśle z sobą połączone, iż odtworzenie się jednego budzi koniecznie inne. Żaba taka wykonywa ruchy automatycznie, nieświadomie. Człowiek posiadający obie półkule mózgowe działa także często nieświadomie, jak np. w stanie hypnotycznym.

„We wnętrzu komórek nerwowych—powiada Letourneau—istnieje pewien całokształt umysłowy, pewne urządzenie, pewien specyalny rytm molekularny, będący wynikiem niezliczonych doświadczeń dokonanych przez przodków, pewną edukacyą odziedziczoną, która w zetknięciu ze światem zewnętrznym dyktuje jednostce takie lub inne postępowanie" (3).

Zdolność subiektywnego odtwarzania się obrazów przedstawiających nam pewne przedmioty widziane poprzednio, lecz w danéj chwili nie oddziaływające na zmysł wzroku, nazywamy wyobraźnią. Każdy zmysł wejść może w stan czynny pod wpływem podniety wewnętrznéj. Wyobraźnia gromadzi wrażenia odczuwane, odtwarza je i łączy z wrażeniami nowemi, świeżemi. Zwró-

---

(1) Maudsley. Physiologie de l'Esprit. p. 27.
(2) Romanes G. J. L'Évolution mentale chez les animaux. Paris. 1884. p. 23.
(3) Letourneau Ch. L'Évolution de la morale. Paris 1887. p. 34.

cona w kierunku tego, co przypomina lub obiecuje zaspokojenie czynności życiowéj, wyrażającéj się w pewnéj dążności, wywołuje wzruszenie. Każdy organ może się stać przyczyną wzruszenia; lecz ponieważ wszystkie części ciała przyjmują udział w dążeniu do zaspokojenia potrzeb innych części, wytwarzają się więc dążenia ogólne, określone, nadające jednostce kierunek działalności,

Zwiększenie się czynności życiowéj wyraża się zawsze w rozszerzaniu się, w ruchach odśrodkowych; zmniejszenie się téjże czynności—w kurczeniu się, w ruchach dośrodkowych. Pierwsze ujawnia się w odczuwaniu przyjemności, ostatnie w odczuwaniu cierpienia. Ruch skurczowy przechodzi w ruch masowy zmiany przestrzeni—w ruch wstrętu i ucieczki. Ruch rozciągły, zbliżający ciało ku przedmiotowi dostarczającemu przyjemności, staje się ruchem pożądania i gonienia. Uczucia, wypływające ze wstrętu, połączone zatém z cierpieniem, są dośrodkowemi, egoistycznemi; płynące z pożądania, a więc przyjemne, są odśrodkowemi, altruistycznemi.

Przyjemność i cierpienie, pożądanie i wstręt dają się sprowadzić do ogólnego ruchu *woli* nieświadoméj lub świadoméj, do *chcenia życia*, chcenia zachowania całości organizmu.

Każda cząstka organizmu posiada chcenie życia. Podrażnienie jednéj cząstki wywołuje opozycyą rozlanego w całym organizmie chcenia życia, wywołuje reakcyą ruchową całego ciała. Wszystkie komórki żyjące organizmu we wzajemnéj znajdują się z sobą łączności, człowiek cierpiący cierpi więc całém ciałem. Wszystkie komórki jego czują się zagrożone w swéj egzystencyi. Wzruszenie przebiega organizm, a nawet i tłum cały, jak wiatr, wprawiający w drżenie wszystkie listki drzewa i drzew obok stojacych. Ciało nasze można porównać z masą wody: rozchodzące się na jéj powierzchni koła wskutek wpadających w nią kamieni widzialne są tylko dla blizkiego widza, prądy jednak głębokie niewidzialne są dla nikogo.

Wzruszenia bolesne głębszemi są niż przyjemne, wywołują bowiem w organizmie zaburzenia rozstrajające, naruszające równowagę organizacyi. Rozstrój daléj jest idącym niż harmonia, w wązkich wahająca się granicach. Przyjemność nigdy nie może dosięgnąć takiéj intensywności jak cierpienie, organizm bowiem częściéj znajdować się może w stanie wycieńczenia, wyczerpania i dezorganizacyi niż w stanie dobrego odżywienia i dłuższego wypoczynku od wpływu zwykłych podniet. Cierpienia są przejawami zmian organicznych, szkodliwych dla organizmu; przyjemności—zmian zbawiennych dla organizmu lub gatunku. Przyjemności pożyteczne i cierpienia szkodliwe wytwarzały się drogą doboru naturalnego.

III.

Każde wrażenie może się zapisać w organizmie, a zapisanie takie tém jest łatwiejsze i trwalsze, im organizm jest mniéj skomplikowany, im pamięć mniéj szeroką i bogatą. Dziecko i zwierzę łatwo zapamiętywa to, co raz powiedziało lub zrobiło, łatwo się przyzwyczaja. Dziecko i zwierzę powtarzają same siebie, naśladują siebie i innych. Wszystko przejść u nich może w pewien rodzaj manii. Idyoci mogą powtórzyć całe czytane wobec nich stronice. Dziecko, raz kołysane, chce być kołysaném zawsze. Jeżeli raz spróbowało piersi swéj matki, z trudnością przyzwyczaja się do smoczka.

Pewne przyzwyczajenia specyalne, połączone z pewną przyjemnością, przechodzą w skłonność dziedziczną. Przypadkowe nawet czynności stać się mogą przyzwyczajeniami dziedzicznemi. Pewien człowiek, leżąc na wznak w śnie głębokim, podnosił prawą rękę po nad twarz do wysokości czoła i opuszczał ją bezwładnie na nos. Przyzwyczajanie to przeszło dziedzicznie na syna i wnuczkę (Galton).

Dziedziczna, popędowa skłonność do pewnych czynności utrwala się coraz więcéj i czyni dany gatunek mniéj zdolnym do wykonywania innych czynności. Narody wojownicze np. stają się w pewnym stopniu niezdolnemi do prac pokojowych. Niektóre zwierzęta doszły do nadzwyczajnéj doskonałości w jednym kierunku, tak, iż możnaby nawet sądzić, że nigdy niczego się nie uczyły, gdyż nie mogą się niczego więcéj nauczyć. Inteligencya ich stała się stereotypową, nieruchomą.

Świadomość, specyalizująca się coraz więcéj, staje się automatyczną, unieświadamia się. Cmentarzyska mrówek np. tłómaczy Fouillée tém, iż pierwotnie pewne mrówki z więcéj rozwiniętém powonieniem przenosiły rozkładające się trupy swych towarzyszek do miejsca oddalonego od mrowiska. Akt indywidualny z początku stał się następnie przyzwyczajeniem gatunku dziedziczném, pamięcią automatyczną — instynktem.

Przyzwyczajenia, utrwalone dziedzicznie, pozostają często nawet pomimo zmiany warunków życiowych, jakim odpowiadały, do jakich były przystosowane. Pewne instytucye społeczne, pożyteczne początkowo, stały się z czasem niewzruszonemi, opierającemi się wszelkiemu postępowi.

Młode prosięta — mówi Darwin — przysiadają gdy są przestraszone, jak gdyby chciały się schować przed nieprzyjacielem, a czynią to zawsze, nawet na miejscu pustém, równém, jak to czynili ich

przodkowie wśród pól szerokich. Młode indyki uciekają na krzyk alarmujący matki, jak to czynią młode kuropatwy i bażanty, ażeby mogła ona ulecieć, chociaż już oddawna utraciła zdolność do lotu. Pies, dobrze nawet karmiony, zagrzebuje często, jak to czynią lisy, pozostające pożywienie. Zanim się położy na równéj i gładkiéj powierzchni, zakręci się kilka razy na jedném miejscu, jak gdyby chciał przygnieść trawę, by zrobić sobie z niéj posłanie. Młode barany i konie przejawiają dziś jeszcze ślady dawnych swych przyzwyczajeń alpejskich, kiedy się gromadziły i skakały po skałach najbardziéj stromych.

Bojaźń instynktywna, jaką odczuwają zwierzęta domowe przed zwierzętami dzikiemi, których nigdy nie widziały, dowodzi, z jaką uporczywością i dokładnością przekazują się dziedzicznie pewne ślady umysłowe.

Romanes utrzymuje, iż kształtowanie się instynktów możliwém jest do wytłomaczenia bez udziału pierwiastku psychologicznego. Według Wundt'a, instynkt jest nieodłącznym od materyi i stanowi jéj życie wewnętrzne. Tak rozumiany instynkt jest dążnością do zachowania całości swego bytu, jest tém, cośmy nazwali wyżéj — *chceniem życia*. Dla Lewes'a instynkt jest zdegradowaną umysłowością. Fouillée uważa umysłowość za zbyt wysoki objaw rozwoju, ażeby wyprowadzać z niéj pochodzenie instynktu. Za źródło instynktu uważa on pożądanie. Instynkt przejawia się z początku w postaci pożądania, następnie może wystąpić świadomie i wyrazić się w postaci zadowolenia i przyjemności. Lecz, jeżeli instynkt wyłania się z pożądania, skierowanego ku zaspokojeniu potrzeby, to potrzeba ta musiała być kiedyś odczutą, a więc świadomą.

Początku instynktu szukać należy w dążności, mniéj lub więcéj świadoméj, ku zaspokojeniu potrzeby, ku zachowaniu bytu. Dążność ta przejawia się pierwotnie w pożądaniu połączoném z przyjemnością. W miarę powtarzania się znajdującéj zaspokojenie dążności, przyjemność znika stopniowo, znikają także kontrasty świadomości i poczyna się automatyzm.

Istotą każdego instynktu jest potrzeba domagająca się zaspokojenia. Dziecko, jedząc, nie myśli o odżywianiu się, posiada jednak świadomość przykrości głodu i przyjemności jedzenia. Młody ptak wędrowny odlatuje na zimę do ciepłych krajów, nie z obawy przed zimném, którego nie zna wcale, lecz dlatego by zaspokoić potrzebę, któréj nie może nie zaspokoić bez doznania przykrości świadoméj. Młoda wiewiórka, nie znająca zimy, gromadzi zapas orzechów dlatego tylko, iż czynność ta sprawia jéj świadomą przyjemność.

Instynkt jest więc tém, co pobudza wszystkie jednostki danego gatunku do czynności korzystnéj w rezultacie dla tegoż gatunku, lecz nieświadoméj właściwego celu. Świadomie czynność taka przedstawia się jako akt, mający na celu zaspokojenie danéj potrzeby lub pożądania.

Lecz czémże jest właściwie nieświadoma potrzeba lub pożądanie, zaspokojenie których jest w rezultacie korzystném wogóle dla danego gatunku? Czy szeregiem wrodzonych wyobrażeń unieświadomionych, budzących się w właściwym czasie i pobudzających nieświadomie organizm do korzystéj dlań czynności?

O ile nam wiadomo, wyobrażenia jako takie nie są dziedzicznemi; dziedziczną jest tylko zdolność wytwarzania ich przy zjawieniu się ku temu sposobności. Pewne skojarzenia i stosunki odtwarzają się w systemie nerwowym noworozwijającego się organizmu do pewnego stopnia. Pierwsza percepcya nowonarodzonego organizmu znajduje już w mózgu drogi nakreślone w pewnych kierunkach, znajduje cały mechanizm gotowy do pełnienia właściwych mu funkcyi. Każda podnieta wprowadza w ruch odpowiednią grupę skojarzeń, wytwarza stan wzruszenia i wywołuje wyobrażenie, biorące stopniowo górę nad innemi i zmuszające daną istotę do wykonania pewnego czynu. Młoda kaczka np. nie ma wrodzonego wyobrażenia o wodzie; pierwsza jednak percepcya wody znajduje w jéj mózgu drogi nakreślone ku organom ruchowym pływania i budzi potrzebę zbliżenia się ku wodzie i zetknięcia się z nią, potrzebę łączącą się z pewném wzruszeniem i przyjemnością odpowiednią. Zetknięcie z wodą wystarcza do wprowadzenia w ruch całego mechanizmu pływania.

Kurczę w dwa do sześciu dni po wylężeniu drapie już ziemię, lecz wtedy tylko, gdy czuje piasek pod łapkami (Darwin). Nie drapie np. dywanu, drapie go jednak wtedy, gdy tenże piaskiem jest posypany.

Dla rozwinięcia się całego szeregu aktów odpowiednich potrzebném jest więc wrażenie początkowe. Wyobrażenie, zjawiające się w danéj chwili, zagłusza inne wyobrażenia i zmusza jednostkę do wykonania danéj potrzeby. Jest-to stan monoideizmu. Wrażenie głodu budzi instynkt poszukiwania pożywienia. Wrażenie odczuwane przez organy płciowe budzi instynkt płciowy, instynkt reprodukcyi. Człowiek nie rodzi się z wyobrażeniem całkowitem o płci odmiennéj. Dojrzewanie płciowe budzi wyobraźnię i podniętę nieświadomą w kierunku aktu miłości. Instynkt wędrowny ptaka potrzebuje pewnéj pory, ażeby się ujawnić. Gdy zbliży się pora odlotu, ptak musi wędrować. Owady przekształca-

jące się muszą prowadzić rozmaite rodzaje życia, w ścisłym znajdujące się związku z każdą z form przez nie przyjmowanych.

Ptak budujący gniazdo nie ma wyobrażenia o niém gotowego, wrodzonego. Wyobrażenie *staje się* w jego wyobraźni w miarę jego urzeczywistniania się. Świadomość tego, co ma dokonać, rodzi się dopiéro przy robocie. Natchnienie poety, artysty jest także rodzajem instynktu. Cała różnica polega na tém, że skłonności dziedziczne komórek czuciowych i ruchowych w zwierzęciu skojarzone są stale i dlatego wywołują skojarzenia obrazów określone. Zwierzę tworzy zatém dzieło formy określonéj. Człowiek, którego skojarzenia psychiczne są liczniejsze, mniéj stałe i mniéj zrównoważone, jest mniéj określony, jest więcéj rozmaity.

Cechy instynktu nie wykluczają jednak pewnéj jego zmienności, pewnéj plastyczności. Bóbr europejski nie różni się niczém od amerykańskiego; lecz gdy tamten buduje na wodzie swe mieszkanie, ten, mieszkaniec dopływów Rodanu i Dunaju, buduje długie galerye w ziemi dla uchronienia się przed ludźmi. Łatwiéj mu było zmienić instynkt niż swą formę.

Hodowla sztuczna, praktykowana przez człowieka, zmienia najstalsze instynkty pewnych zwierząt i szczepi nowe. Pies, dzięki wspólnemu przebywaniu z człowiekiem, nauczył się szczekać. Wycie jest pierwotnym jego instynktem, szczekanie—nabytym. Kaczki swojskie straciły prawie instynkt do lotu. Na Ceylonie straciły nawet instynkt do wody. Człowiek wyrabia w zwierzętach rozmaite skłonności specyalne, dla niego tylko korzystne, przekazywane dziedzicznie tak samo jak instynkty naturalne.

Oprócz instynktów ludzkościowych, rasowych, narodowościowych, istnieje w ludzkości instynkt, zmuszający każdą jednostkę do wytwarzania sobie osobowości—mówi Fouillé. Jest-to punkt, w którym instynkt zwraca się przeciw sobie, redukuje się coraz więcéj i absorbuje w potędze intelektualnéj, ruchoméj i postępowéj. Inteligencya staje się instynktem wyższym, wyższém przystosowaniem się do otoczenia szerszego, powszechnego.

IV.

Każda cząstka człowieka przejawia dążność do organizowania się, do układania się w pewien system; cały więc człowiek jest grupą rozmaitych, powiązanych z sobą mniéj lub więcéj ściśle, systemów. Gdyby organizacya systemów tych była zupełną, gdyby pomiędzy organizmem czyli jego częściami a ich warunkami egzy-

stencyi zupełna panowała harmonia, wszelkie wówczas niczém nietamowane dążności oddzielnych części znajdywałyby ujście w stałych i niezmiennych procesach życiowych całości. Organizm nasz jednak nie jest doskonałym, dążności zatém jego nie znajdują swobodnego odpływu, bywają często powstrzymywane. We wszystkich potrzebach organicznych, świadomie odczuwanych, widzimy powstrzymanie rozmaitych dążności. Wszelka przeszkoda w systematyzacyi pierwiastków psychicznych lub fizycznych, jak np. głód, pragnienie, potrzeba wydzielania moczu i kału, spółkowania i t. d. wytwarza zjawisko uczuciowe. Wzruszenia wywoływane bywają zawsze przez powstrzymanie pewnych dążności. Jako dowód tego służyć może np. przyzwyczajenie, które ułatwia percepcye i zmniejsza zjawiska uczuciowe.

Funkcye, dokonywające się swobodnie w naszym organizmie, są dla nas nieświadome; jeżeli bywają tamowane, wywołują w nas wtedy wzruszenie. Krążenie krwi, jako zupełnie doskonale dokonywające się, nie wymaga naszéj świadomości. Oddychanie mniéj jest doskonałém. Oddychając, nie odczuwamy żadnego wzruszenia, jeżeli czynność odruchowa wprowadzająca w ruch płuca, żebra, dyafragmę i t. d. nie spotyka żadnéj przeszkody. Jeżeli zaś sprobujemy powstrzymać oddychanie, lub jeżeli jakaś przeszkoda krępuje nasze ruchy, wówczas powstrzymana dążność odruchowa wywoła wrażenie duszności i przestrachu. Co się zaś tyczy odżywiania i reprodukcyi, to organizm nasz nie jest dostatecznie udoskonalony, ażeby się mógł sam żywić i sam reprodukować. Potrzebne są pewne wrażenia żywo odczuwane, ażeby zbudzić odpowiednie instynkty w człowieku, dopełniające niedoskonałości organizmu.

Żądza płciowa podniecaną bywa normalnie przez pewien szczególny stan organizmu, warunkujący dążność ku wykonaniu pewnych czynów. Powstrzymanie téj dążności, niemożliwość jéj zadowolenia dają początek zjawiskom uczuciowym. Znudzenie w okresie dojrzewania płciowego—powiada Esquirol — jest wynikiem potrzeby niewyraźnéj, przedmiot któréj nieznanym jest doświadczającéj go osobie. Potrzeba ta rodzi niepokój pogrążający w smutku, ten zaś doprowadza do znudzenia (1). Niezaspokojenie potrzeb płciowych doprowadza często, szczególniéj kobiéty, do obłąkania, nadając mu pewną cechę specyalną, zwykle *delirium* miłosnego i płciowego, idealnego lub zmysłowego (Griesinger).

Im częściéj dokonywanym bywa akt jakiś, tém łatwiéj staje się wykonalnym i tém silniejszą staje się dążność do wykonania go,

(1) Esquirol. Maladies mentales. I. 553.

tém łatwiéj i częściéj się budząca. Jeżeli dążność ta bywa zupełnie zaspokojoną, pozostaje ona dla nas wówczas prawie nieświadomą, instynktowną. Powstrzymanie jéj wystarcza jednak dla silnego mniéj lub więcéj odczucia odpowiednich potrzeb i mniejszéj lub większéj przyjemności przy ich zadowoleniu. Gdy dążność bywa za silną w porównaniu z możnością jéj zadowolenia, gdy zatém napotyka opór powstrzymujący ją wyraźniéj, wówczas występują uczucia takie, jak żal, boleść i t. p. trwające dotąd, dopóki trwa opór, albo dopóki dążność nie zniknie zupełnie.

Świadomość, tak samo jak uczucie i wzruszenie, jest wynikiem powstrzymania odpowiednich dążności. Akt świadomości ujawnia się wtedy tylko, gdy dążności te nie są o tyle zaspokojone, ażeby mogły nie tamować przebiegu danéj podniety, lub gdy inne jakieś warunki, jak ilość i złożoność systemów psychicznych, znajdujących się w stanie czynnym, interwencya innych dążności i wynikający ztąd zatarg, staną na przeszkodzie. Wykonywając machinalnie jakąś czynność, zaczynamy o niéj myśléć i uświadamiać ją sobie wtedy dopiéro, gdy czynność ta z jakiegoś powodu zostanie przerwaną. Czynność automatyczna staje się świadomą wtedy tylko, gdy napotka jakąś przeszkodę, gdy zostanie powstrzymaną.

Przyzwyczajenie, ułatwiając proces oddziaływania organizmu na podnietę, osłabia wrażenie i uczucie. Zapach przyjemny przestaje być odczuwanym w krótkim czasie. Przyjemność, jakiéj doświadcza oko na widok harmonijnéj kombinacyi barw żywych, zaciera się dość łatwo. To samo stosuje się do przyjemności wywołanéj przez pewną kombinacyą dźwięków, niezmiennie czas jakiś powtarzaną.

W miarę zmniejszania się podniety, czyli w miarę znikania przeszkód tamujących daną dążność, słabnie lub znika nawet zupełnie odpowiadające jéj uczucie. Największa miłość słabnie lub znika wskutek przyzwyczajenia, wskutek większego zorganizowania się dążności i zmniejszenia się tamujących je przeszkód. Mąż i żona, zakochani z początku w sobie, przestają się z czasem kochać, pozostaje w nich tylko wzajemne przyzwyczajenie się do siebie.

Gdy kochamy jakąś osobę, to znaczy, iż obraz jéj i wszystko co się jéj tyczy, związało się silnie z naszém życiem umysłowém. Miłość tém jest silniejszą, im osoba kochana, większe zajmuje miejsce w naszém życiu, im czyny jéj, uczucia i poglądy większą odgrywają rolę w organizacyi duchowych naszych przyzwyczajeń. Tworzą się wówczas nowe systemy wyobrażeń, dążności i podniet, organizujace się coraz więcéj. Śmierć osoby ukochanéj jest w takich warunkach prawdziwą dezorganizacyą osoby kochającéj, roz-

darciem jaźni, powstrzymaniem wielu systemów wyobrażeń, dążności i wynikających z nich zjawisk. Ztąd to pochodzi ta wielka siła wzruszenia, jakie wówczas ma miejsce. Łagodne i powolne powstrzymywanie dążności słabsze wywołuje wzruszenie. Tém się różni wzruszenie od uczucia. Gdy śmierć następuje po długiéj chorobie, wzruszenie bywa wówczas słabszém, pomimo, iż boleść równie silną pozostaje. Wiadomość o chorobie przygotowuje już bowiem dezorganizacyą dążności i daje początek rozmaitym nowym dążnościom; powstrzymanie ostateczne nie może być więc wskutek tego zbyt gwałtownném. Wszelkie gwałtowne i nieoczekiwane zwiększenie się podniety, czyli powstrzymanie dążności, wywołuje w nas wzruszenie. Miłość bardzo jest obfitą we wzruszenia. Wszystko, co grozi jéj lub sprzyja, wszystko, co powstrzymuje jéj dążności lub potęguje je przez poczynające się zadowolenie, wywołuje wzruszenie. Widok osoby kochanéj, głos jéj, rozmowa o niéj, jedném słowem, wszystko jéj się tyczące sprowadza gwałtowne wyładowywanie się siły nerwowéj, przejawiające się w postaci wzruszenia.

Powstrzymanie podniety nie wystarcza jednak samo do wywołania wzruszenia; potrzeba jeszcze oprócz tego, ażeby podnieta ta była dość silną. Wzruszenie wzrasta i uwydatnia się w miarę wzrastania powstrzymanéj lecz trwającéj wciąż podniety. Możemy zwalczyć słabą podnietę, nie wywołując w sobie żadnego wzruszenia; lecz jeżeli występuje ona coraz żywiéj, jeżeli wynika z potrzeby organizmu, wówczas nastąpi chwila, w któréj powstrzymanie jéj wytworzy wzruszenie lub uczucie. Przy stopniowém zmienianiu się naszych poglądów nie odczuwamy wzruszenia. Lecz gwałtownie dokonywająca się zmiana pojęć połączoną bywa zwykle z wytwarzaniem się uczuć i wzruszeń. Wszelkim naszym planom i zamiarom towarzyszą wogóle wzruszenia dość wyraźne, żywsze niekiedy nawet niż ich urzeczywistnieniu. Najsilniejszém atoli jest wzruszenie w chwili urzeczywistnienia się zamiaru; podnieta dochodzi bowiem wtedy do najwyższéj siły, podczas gdy powstrzymujące ją przeszkody nie utraciły jeszcze swéj skuteczności.

Wzruszenie nie trwa nigdy długo; najwyraźniejszą jego cechą jest gwałtowne wystąpienie zjawisk, których ono jest tylko wyrazem. Może się ono jednak wznawiać. Wzruszenie głębsze i więcéj skomplikowane posiada warunki powstawania i w więcéj pośrednim pozostaje związku z wywołującą je podnietą niż uczucie. Wyobrażenie nieoczekiwane, połączone ze zbudzeniem się pewnéj dążności, powstrzymywanéj lub dążącéj do powstrzymania innych dążności, może, tak samo jak i wrażenie uczuciowe, żywe wywołać wzruszenie.

Wzruszenia towarzyszą zawsze innym zjawiskom uczuciowym. Miłość, nienawiść, zazdrość itp. połączone bywają ze wzruszeniem, gdy znajdą się w przyjaznych lub niekorzystnych warunkach.

Wzruszenie wytwarza rodzaj inhibicyi psychicznéj: umysł traci zdolność rozumowania i wrażliwość na wszystko, co nie ma ścisłego związku z samém wzruszeniem. Owładnąć ono może całą świadomością. Jedno wrażenie wystarcza dla wytworzenia takiego stanu. Kontemplacya jakiegoś uczucia wytwarza stan podobny, wytwarza rodzaj mniéj lub więcéj trwałego oczarowania.

Miłości towarzyszy wogóle pewne wyobrażenie mniéj lub więcéj wyraźne, mniéj lub więcéj żywe osoby kochanéj. Wyobrażenie to przedstawiać się może w rozmaitéj formie, zmienia się zupełnie stosownie do tego, czy w lepszém czy w gorszém znajdujemy się usposobieniu, stosownie do tego, co robimy, co czytamy, o czém mówimy, z kim się spotykamy, stosownie do natury zbudzonego obrazu, czy to wesołego, czy smutnego, czułego czy téż zimnego itd. i kombinacyi tegoż obrazu z innemi, również zbudzonemi obrazami. W miarę budzenia się nowych obrazów nowe powstają wzruszenia. Osoba, posiadająca umysł żywy i skomplikowany, odczuwa miłość w tysiącznych sposobach, lecz uczucie to pomimo swéj złożoności przedstawia się jako jedno. Wszelka namiętność, wszelkie uczucie silniejsze budzi wogóle cały system dążności warunkujących wytwarzanie się zjawisk uczuciowych dopełniających, zlewających się z wrażeniem głównem.

Jedność uczucia niknie i złożoność jego uwidocznia się w miarę dysharmonizowania się jego pierwiastków i wzmagania się w nich dążności ku wytworzeniu kilku systemów oddzielnych, niezkoordynowanych. Subiektywna jedność uczucia znika równocześnie z jednością w koordynacyi. Miłość wytworzyć może uczucie zazdrości; budzące się w takim razie dążności nowe mogą się zorganizować i wytworzyć nowy system psychiczny, wyrażający się w podejrzéwaniu, w śledzeniu badawczém itd. Miłość może się stać zazdrosną, może następnie iść w parze z zazdrością i zniknąć nawet wreszcie, ustępując miejsca wyłącznie zazdrości; dwa te uczucia bowiem nie zawsze godzą się z sobą.

Wszelkie zjawisko psychiczne usystematyzowane nie jest sumą składających je pierwiastków. Przyjemne wrażenie jedzenia dobréj jakiejś potrawy nie jest sumą wrażeń otrzymywanych przy jedzeniu każdego z osobna pierwiastków, wchodzących w skład téj potrawy. Podziw na widok jakiejś piękności nie jest sumą podziwów, jakie wywołują w nas jéj części wzięte oddzielnie. Uczucie usystematyzowane jest jednością złożoną, jest kombinacyą uczuć

rozmaitych. Przyśpieszone bicie serca, przyśpieszone lub zwolnione oddychanie, obrazy, wyobrażenia itd. wzięte razem nie stanowią jeszcze wzruszenia. Wzruszenie jest wrażeniem psychiczném stosunków wszystkich zjawisk oddzielnych pomiędzy sobą i dążnościami zorganizowanemi, spotykającemi opór w danéj chwili. Wszelkie zatém zjawisko psychiczne jest rodzajem syntezy psychologicznéj pojedynczych jego pierwiastków.

Wszystko, co wpływa na zmianę warunków wytwarzania się uczucia, wpływa również na zmianę samego uczucia. Kojarzenie się zjawisk psychicznych dokonywa się przytém bardzo rozmaicie w jednéj nawet osobie w chwilach rozmaitych; wszystko bowiem zmienne jest w człowieku, tak natura psychiczna jak i fizyczna. Uczucia, wzruszenia, wyobrażenia w wieku młodym różnią się od tychże zjawisk w wieku późniejszym. Każde wzruszenie, każda namiętność nosi na sobie cechę osobowości, wieku, płci, temperamentu i pewnych stanów patologicznych, jak: suchoty, histerya, epilepsya, nimfomania, satyriasis itd. (1).

V.

Każdy organizm posiada w sobie dążność do systematyzacyi, lecz dążność ta nie zawsze ujawnia się z jednakową energią i w jednakowy sposób. Systematyzacya taka nigdy nie jest doskonałą, nigdy nie jest zupełną odnośnie do swego celu. Człowiek jest kombinacyą systemów, pozostającą w związku z światem zewnętrznym, jest kombinacyą systemów psychicznych, mogących występować czynnie razem i zgodnie, jedno atoli zaburzenie wystarcza do wytworzenia stanów świadomości i zjawisk uczuciowych. Analizuje on wrażenia zewnętrzne, przyswaja je sobie i syntezuje, wytwarza nowe kojarzenia z otrzymywanych z zewnątrz kombinacyi, kojarzenia warunkowane stosunkami tych ostatnich pomiędzy sobą i organizacyą już nabytą, w dalszém wytwarzaniu się któréj przyjmują następnie udział.

Maszyna ludzka nie przedstawia całości harmonijnéj, doskonałéj. Zjawiska psychiczne uczuć, wzruszeń i świadomości są niedoskonałości téj wyrazem. Niekiedy wprawdzie wytwarza się w wyższéj formie organizacyi dążność, dobro jednostki mająca na celu, ale często staje się ona przyczyną nie lepszego przystosowania się organizmu, lecz jego rozstroju i upadku.

---

(1) Ustęp o wzruszeniach skreśliłem, opierając się na studyum Fr. Paulhan'a: *Les phénomènes affectifs*. Paris. 1887.

Świadomość jest, jak widzimy, rezultatem zaburzenia organizmu i pewnéj nierównowagi w koordynacyi procesów psycho-fizyologicznych. Jest ona oznaką niedoskonałości, im więcéj bowiem unifikacya psychiczno-nerwowa staje się zupełną, tém więcéj znika świadomość odnośna. Świadomość zjawia się wtedy tylko, gdy wskutek pewnych okoliczności szczególnych funkcye automatyczne nie mogą się dokonywać z poprzednią doskonałością. Przyzwyczajenie zmniejsza i osłabia żywość i intensywność świadomości. Człowiek idealnéj organizacyi, tj. organizacyi najzupełniéj doskonałéj, byłby nieświadomym automatem.

„Nieświadomość—powiada H. Beaunis wielką odgrywa rolę w psychologii; zdaje mi się bardzo prawdopodobném, iż większa część dokonywających się w nas zjawisk dokonywa się bez naszéj wiedzy, co zaś jest ważném, to mianowicie, że te (nieświadome) odczuwania, wyobrażenia, na które nie zwracamy żadnéj uwagi, mogą oddziaływać jako podniety na inne ośrodki mózgowe i stać się *niewiadomym* (*ignoré*) punktem wyjścia ruchów, wyobrażeń, decyzyi *świadomych.*"

„Za hipotezą tą, że wszystkie czynności nerwowe są pierwotnie świadome i przez powtarzanie i przyzwyczajenie stają się nieświadomemi, to przemawia, iż gangliony, będące u kręgowców nieświadomemi ośrodkami nerwowemi, działają u niektórych zwierząt niższych jako ośrodki odczuwań i ruchów dowolnych. W miarę rozwoju świadomość obiera sobie siedlisko w wyraźnych ośrodkach ganglionarnych a wreszcie u człowieka i ssących lokalizuje się w mózgu. U niższych nawet kręgowców istnieje jeszcze pewien rodzaj świadomości rudymentarnéj w dolnych częściach osi nerwowéj, jak w rdzeniu kręgowym żaby".

„Hipoteza ta pozwala nam zrozumiéć fakt znany w medycynie i nieobjaśnialny przez inną hypotezę, iż organiczne czynności nerwowe, nieświadome w stanie normalnym, stać się mogą świadomemi w stanie patologicznym, pewne spóżnienie w przebiegu prądu wystarcza, ażeby ośrodek nerwowy, więcéj będąc podnieconym, miał świadomość podniety, nieświadoméj w stanie normalnym" (1).

Trzy stany hypnotyczne: letarg, katalepsya i somnambulizm, według zaś podziału Ochorowicza: aideizm, monoideizm i poliideizm, mogą być sprowadzone do stanów: nieświadomości i świadomości poddanéj.

Osobowość świadoma nie przedstawia wszystkiego, co się dokonywa w ośrodkach nerwowych; jest ona słabą tylko częścią oso-

---

(1) Nouveaux éléments de Physiologie humaine—par H. Beaunis, Paris, 1881. II. p. 1351, 1353.

bowości fizycznej, podobnie, jak jasna świadomość jest tylko pewną częścią świadomości całkowitéj. Ztąd pozorne istnienie kilku osobowości jednocześnie zależne od granic świadomości. Ostatnie to zjawisko zależy, jak utrzymuje Ribot, od opozycyi stanów świadomości w czasie a nie w przestrzeni, nie zaprzecza jednak, iż każda połowa mózgu oddzielną posiadać może świadomość.

Taine utrzymuje, iż widział pewną osobę, jak rozmawiała lub śpiewała i pisała jednocześnie całe stronice, nie patrząc na papier i nie mając świadomości tego, co pisała. Przeczytawszy, co napisała, wpadała w zdziwienie. Charakter pisma innym był wtedy niż zwykle. Ruchy przy pisaniu zdawały się być automatyczne. Podpis wyrażał nazwisko osoby zmarłéj. Treść pisma przedstawiała ślad myśli głęboko ukrytych, których pisząca nie chciałaby ujawniać każdemu. Zjawisko to przedstawia zdwojenie osobowości (jaźni)—jednoczesność i równoległość niezależna dwóch szeregów wyobrażeń, dwóch ośrodków czynnych, dwóch osób niezależnych, znajdujących się obok siebie w jednym i tym samym mózgu i działających jednocześnie choć zupełnie odmiennie (1). Jedna z tych osób w danym wypadku działała świadomie, druga nieświadomie. Gdy jedna połowa naszego mózgu jest świadomą, druga połowa wykonywa prawdopodobnie pracę nieświadomą. Pojęcia, zjawiające się nagle w naszéj świadomości, są zapewne wynikiem owéj nieświadoméj pracy (2).

Pomimo, iż nieświadomość wyższą, jak widzimy, stanowi formę świadomości, mianowicie świadomość w stanie pewnéj równowagi, to jednak człowiek, którego dążności nie są o tyle zorganizowane, ażeby wejść w stan czynny bez wywołania zjawisk uczuciowych i świadomości, wyższym jest dla nas niż człowiek, w którym zjawiska te w słabym zaledwie wyrażają się stopniu. Rozległa świadomość i głęboka uczuciowość zwiększają wprawdzie nasze potrzeby i potęgują cierpienia nieodłączne od naszego bytu, lecz, bądź co bądź, stanowią one cechę wyższego rozwoju ludzkiego gatunku. Świadomości zawdzięcza człowiek swe dzisiejsze stanowisko w przyrodzie i tylko przez rozwijanie w sobie świadomości i kształcenie uczuć społecznych polepszyć może byt swój na ziemi.

---

(1) Taine H. De l'Intelligence. Préface. 16.

(2) Zob. artykuł mój: *Wola i Hypnotyzm.* Ateneum 1887. I. str. 15. W artykule tym jest mowa o woli ujawniającéj się świadomie. Wola nieświadoma ulega wpływom poddawania hypnotycznego, lecz tylko pośrednio. Bezpośrednio modyfikowaną być może przez magnetyzm. Porównaj także artykuł: *Hypnotyzm wobec ostatnich badań naukowych.* Ateneum. 1885. II.

Dr. Antoni Złotnicki.



POLITYCZNE I SPOŁECZNE OBYCZAJE
XVIII WIEKU
W POLSCE I W ANGLII.

Badania, dotyczące wewnętrznego ustroju Rzeczypospolitéj, przybrały ostatniemi czasy osobliwe rozmiary i wziętość w naszéj historyografii, z niedającym się zaprzeczyć dla niéj pożytkiem. Zjawisko to wiąże się wszelako i to przyczynowemi poniekąd węzłami z ogólniejszym, zasadniczym zwrotem, którego następstwem stało się radykalne przeobrażenie poglądowéj, historyozoficznéj strony naszego dziejopisarstwa. Zwrot ten, dokonany przez szkołę, która dobiła się za dni naszych pewnego rodzaju hegemonii naukowéj, nie uszedł uwagi żadnego z czytelników. Przed niedawnym czasem rosyjski historyk skreślił sympatyczném piórem jego charakterystykę (1), uwydatniając trafnie jego punkt wyjścia: podporządkowanie zewnętrznych warunków naszego bytu i zewnętrznych przyczyn naszego upadku warunkom i przyczynom wewnętrznym, i jego konkluzyą: rozstrzygnięcie wniesionego na wokandę przed stu laty historycznego procesu w sensie obciążającym niemal wyłącznie własną naszą narodową odpowiedzialność.

Korzyści takiego przekształcenia pojęć nie dają się zaprzeczyć. Jedną z nich jest właśnie popęd udzielony wspomnianemu na wstępie kierunkowi naukowych poszukiwań. Skądinąd, jako reakcya przeciwko poprzedniemu optymizmowi, poetyzującemu najujemniejsze nawet strony naszego narodowego charakteru i historycznego zawodu, był ten zwrot pożądanym. Należy to wszelako do normal-

(1) Karlejew w „Wiestniku Jewropy." Artykuły przedrukowane w przekładzie polskim przez „Kraj" nr. 37 i następ. 1887 r.

nego trybu wszystkich reakcyi, że przekraczają one po za cel potrzebą sobie wskazany. W tym przypadku przyczyniły się jeszcze do udzielenia reakcyjnemu prądowi osobliwego rozpędu przypadkowe warunki, w których się on rozwinął. Mały kraik, sprzęgnięty z wielkim organizmem politycznym, ale wyrzekający się, pierwiastkowo przynajmniéj, wszelkiéj z nim solidarności, a przeto pozbawiony łączności z ogólném europejskiém życiem międzynarodowém, wyzuty z szerszych widnokręgów, odcięty niejako od świata i w sobie zamknięty—oto ognisko ruchu naukowego, z którego wyszedł prąd w mowie będący. Programem, narzucającym się społeczeństwu w tych warunkach zostającemu, musiał być partykularyzm do ostatecznych granic posunięty, kupienie się wewnętrzne, zamknięcie w wewnętrznych życiowych zagadnieniach całéj treści społecznego bytu. Odpowiednio zaś do tego programu, w tych ciasnych granicach, na tym partykularzu wyrobione, i trafnie wyrobione, pojęcie o istocie własnych teraźniejszych przeznaczeń musiało prowadzić do pojmowania w analogiczny sposób historycznéj przeszłości, stanowiącéj wspólną tegoż społeczeństwa własność z innemi oderwanemi dziś odeń organicznemi cząstkami. Za sprawą przyczyn zrozumiałych bez bliższego wyjaśnienia, a nadających związanym z tą przeszłością zagadnieniom osobliwą żywotność, mięszających na każdym kroku historyę z polityką, zrodzone tym trybem pomieszanie pojęć spotęgowało się aż do trwałego *qui pro quo*, podstawiającego systemacznie faktom, należącym do całkiem innéj sfery, do całkiem innych warunków bytu, wyobrażenia odpowiadające oportunistycznym wymogom chwili i kondycyi obecnéj. W ten sposób przyszło do pojawienia się takich dziwolągów, jak historyozoficzny lojalizm austryacki autora „Historyi wyzwolonéj Rzpltéj.“ Jeżeli zaś zjawisko to zdało się gorszącém w pierwszéj chwili, tedy zgorszenie nie było długotrwałém. Za dni naszych *szwarcgelberyzm* doczekał się już prawa obywatelstwa śród reprezentantów téj szkoły historycznéj. W charakterze historyozoficznego *credo* przeniesionym nawet został z wieku XVII do XVI (1). W ten sposób nakoniec wyrobił się ogólny kierunek krytyki historycznéj, zmierzający coraz bardziéj do obrazowania odtwarzanéj przeszłości wielkiego europejskiego społeczeństwa w kształcie jakowegoś mikrokosmosu, pozbawionego bodaj grawitacyjnéj nawet łączności z otaczającemi go światami, będącego samoistnie wszystkiém dla siebie, mającego w samym sobie racyą swojego bytu i także przyczynę swojego końca, podległego chorobom wewnętrznym,

(1) Ob. Tarnowskiego. Pisarze polityczni XVI wieku. II, str. 227.

toczącym dziś jeszcze organizm oderwanych jego cząstek, przedstawiającego jedném słowem uderzające podobieństwo do podkarpackiéj prowincyi, cieszącéj się autonomią pod łaskawemi rządami najlepszego z monarchów, a niepokojonéj przez tromtradacyą i inne anarchiczne żywioły.....

Tryumfująca w obecnéj chwili, uświęcona i na czas długi jeszcze utrwalona zapewne teorya *zależnych*—zależnych od woli i winy naszéj — przyczyn naszego upadku ma tu swoje źródło.

Ze stanowiska oportunistyczno-partykularnego może być ona na dobie. Kwestya to polityki i policyi miejscowéj; jéj doraźnych kombinacyi i tym kombinacyom odpowiadających potrzeb. Nauka historyi przybiera za jéj sprawą kształt katechizmowego wykładu. Był naród, któremu dobrodziejstwo boże mieszkać pozwoliło w kwiecistym i owoców pełnym ogrodzie, położonym między dwoma morzami. Wszystkiém, co w ogrodzie tym rosło, rozporządzać on mógł dowolnie, z wyjątkiem jednego drzewa, stojącego pośrodku. Na nieszczęście była to jabłoń ponętnemi jabłkami okryta. Zerwał jedno i drugie i trzecie jabłko naród grzeszny, rozlubował się w ich smaku i przyprawił się o zgubę. Jabłoń ta była drzewem wolności, a owoce zwały się sejmami, prawem *liberi veto*, obieralnością królów, swawolą polityczną, politycznèm i społecznèm zepsuciem, polityczną i społeczną anarchią. I otruł się niemi naród występny, i został skazany na wygnanie z rajskiego ogrodu, położonego między dwoma morzami, i trzéj aniołowie z ognistemi mieczami w rękach spełnili nad nim wyroki gniewu bożego. Ale zostawiono mu drogę do powrotu w progi utraconego Edenu — przez pokutę i poprawę. Byle otrząść się potrafił z pierworodnego grzechu swego, wypluł zachowany w ustach sok zatrutego owocu, i smaku jego nawet zapomniał, rajskie wrota od morza do morza staną dlań znowu otworem.

W zastosowaniu do pewnych miejscowych warunków bytu, katechizm taki może, powtarzamy, mieć swoje zalety. W szerszém natomiast zastosowaniu podlega, nawet pod względem czysto praktycznéj właściwości, bardzo poważnym zarzutom. Z zarzutami temi spotyka się przedewszystkiém jego konkluzya, oddająca interesowanym losy ich we własne ich ręce; czyniąca ich panami swych przeznaczeń w przyszłości, jak byli nimi w przeszłych kolejach swego zawodu: konkluzya otuchy pełna, ale czy nie otwierająca drogi niebezpiecznym iluzyom? Témbardziéj, że jednocześnie i mocą tego samego założenia odjętą zostaje wszelka prawna podstawa ośmielonym w ten sposób narodowym aspiracyom. Naród, który sam stał się sprawcą swoich nieszczęść, wobec którego rola

żywiołów zewnętrznych ograniczyła się do wykonawczego udziału w spełnionéj nad nim historycznéj sprawiedliwości, naród taki pozbawił się oczywiście tytułu do wszelkiéj względem kogokolwiek pretensyi. Nikt mu nic nie winien. Każdemu owszem z wykonawców, a nawet każdemu z interesowanych, przysługuje nie dający się zaprzeczyć tytuł do pilnowania litery zapadłego i własném uznaniem strony a przyznaniem się jéj do winy uświęconego wyroku. Chyba by ujawnione zostały przez tę ostatnią nowe, drogą rehabilitacyi nabyte, tytuły i prawa. Ale kwestya to procedury dość trudnéj do przeprowadzenia w praktyce.

A teraz zarzut drugi. Jednym z najniezbędniejszych czynników wszelkiéj dodatniéj, zarówno społecznéj jak i indywidualnéj działalności jest wiara w siebie. Właśnie zaś pewien niedostatek wyrobionego w tym kierunku samopoczucia własnych sił zaznaczyć się daje dość wcześnie między charakterystycznemi i ujemnemi rysami narodowego naszego temperamentu. W rzędzie wewnętrznych, organicznych przyczyn naszych nieszczęść, czynnik to zajmujący trudne do przeoczenia, bo bardzo szerokie miejsce. Owóż zdaje się on być u przodków naszych niezawodném następstwem wykształconego na bujnéj niwie naszego politycznego życia i razem z innemi chwastami wyrosłego pesymizmu, którego niezawodném znowu echem są dzisiejsze pesymistyczne poglądy na były wewnętrzny ustrój naszego społeczeństwa. Spadek to, w teraźniejszości, drogą bardzo wyraźnego następstwa przejęty przez spółczesną nam literaturę historyczną po dawnéj naszéj literaturze politycznéj; płód, w przeszłości, przedzierzgniętéj i tu w swawolę swobody myśli i słowa. Rola naszych pisarzy politycznych od XVI do XVIII wieku inaczéj wprawdzie tłómaczoną bywa. W niemożności usprawiedliwienia jéj naturalnemi motywami, uciec'zono się do nadnaturalnych. Dopatrzono się w niéj wyrazu jakowéjś zagadkowéj, fenomenalnéj przenikliwości, zazierającéj w przyszłość oczami bielmem skądinąd, w stosunku do teraźniejszości przesłoniętemi. Mistycyzm, w głębi naszych instynktów narodowych z nierównie większą pewnością zaznaczyć się dający, upomniał się tu o swoje prawa, nawet przed historykami najradykalniéj oddalonymi od mesyanistycznych tendencyi. Jesteśmy np. w wieku XVI, „Rzplta stoi jeszcze, nietylko stoi ale kwitnie, gromi nieprzyjaciół, rozszerza granice, wydaje się szczęśliwą i bezpieczną.“ Aliści cały zastęp złowrogich wróżbitów „woła jéj, że ginie, że jest bezsilną, bezbronną, zepsutą, spróchniałą, pastwą gotową dla czyhających nieprzyjaciół.“ Co to takiego? Po ludzku biorąc, nic innego jak jeden przykład więcéj nadużywanéj we wszystkich kierunkach wolności; zjawisko podobne do tego,

którego dostarcza nam za dni naszych literatura polityczna 3-éj Rzpltéj francuskiéj; jedno z nieuniknionych choć najmniéj pożądanych następstw powszechnego wyzwolenia instynktów społecznych, między któremi krytycyzm, duch obmowy, skłonność do wynajdywania plam na słońcu trzymają pierwszorzędne miejsce. — „Nie“, odpowiada dzisiejszy historyk, „to zagadka, fenomen, jeden z najbardziéj uderzających i najbardziéj niewytłómaczonych w naszéj historyi, jakiś dziwny zmysł odgadywania przyszłości, udzielony nam w zamian za brak zmysłu do oceniania rzeczywistości, instynktowy głos przeczuć“ (1)... Najwyraźniejszym, jedynym nawet owocem téj proroczéj zdolności, dostrzedz się dającym u przodków naszych, jest stan umysłowy, który tak dla społecznych jak i dla indywidualnych organizmów bywa narzędziem zguby, będąc przyczyną niemocy, a któremu na imię: demoralizacya. Owóż na koniec do analogicznego rezultatu zmierzają nieuniknienie moralistyczne tendencye nowoczesnéj naszéj szkoły historycznéj. Jéj katechizm pokuty i poprawy jest przedewszystkiém katechizmem zwątpienia, małoduszności i mazgajstwa. Nie zatapiać się w rozpamiętywania błędów i niedostatków przeszłości trzeba narodom upadłym, ale krzepić się poczuciem rozwiniętych niegdyś i niespożytych zasobów żywotnych. Posypujący sobie głowę popiołem Jeremiaszowie nie odbudowali Jerozolimy...

Są to wszelako względy opartunistycznego także charakteru, które właściwie obcemi muszą pozostawać nauce historycznéj. Z naukowego stanowiska, nie może chodzić o to, w jaki sposób przeszłość danego społeczeństwa przedstawioną być powinna, gwoli lepszemu zbudowaniu żyjących pokoleń, ale w jaki sposób przedstawia się ona w świetle bezstronnéj i bezwzględnéj krytyki. Wartość przeto teoryi o w e w n ę t r z n y c h i z a l e ż n y c h przyczynach naszego upadku zawisła wyłącznie od rezultatu badań, dotyczących wewnętrznego naszego w przeszłości ustroju. Owóż jeszcze dotychczasowym bardzo cennym pracom w tym kierunku niedostawać się zdaje jednego niezbędnego pierwiastku naukowego, który właściwie stanowić winien ich naturalną podstawę, a którym jest krytyka porównawcza. Zważmy bowiem, że rozstrzygającą w téj materyi nie może być odpowiedź na pytanie: czy byliśmy złymi, grzesznymi i na surową zasługującymi karę? Chodzić musi o to, czy byliśmy gorszymi od innych, czy suma naszych błędów i. występków przeważyła dający się odszukać gdzieindziéj iloczyn? W tém bowiem tylko przypuszczeniu, suma ta jest ilością poszukiwaną i rozwiązują-

(1) Tarnowski, *loco citato*, II. 388.

cą problemat naszych przeznaczeń. Zważmy i to, że nawet w tém przypuszczeniu, kwestya narodowéj odpowiedzialności naszéj pozostaje drugostronną i nierozstrzygniętą kwestyą. Boć, dajmy na to: bezpośredniemi narzędziami naszego upadku było zepsucie nasze wewnętrzne, luźność obyczajów, nie trzeźwość pojęć, egoizm, swawola, rozpusta, anarchia. Zgoda; ale skąd wzięło się to wszystko u nas, i jakim sposobem rozwinęło się i spotęgowało w wyjątkowy sposób? Taka wyjątkowa niegodziwość danego organizmu społecznego, toć także zjawisko domagające się przyczynowego wyjaśnienia! Czy nie było nic wyjątkowego w naszém położeniu pośród europejskiéj rodziny społecznéj? Tak jest: „Wstąpiliśmy o pięć wieków późniéj od Zachodu na arenę jego cywilizacyi... Rzuciliśmy najlepsze nasze siły na wschód, na Ruś i Litwę, w podjętém przymusowo a możność naszą przechodzącém zadaniu kolonizacyjném... Dla obronienia się od niemieckiego *Drang nach Osten* chwyciliśmy się unii litewsko-ruskiéj, a Unia nas trawiła" (1). Oto tyleż danych, przyjętych nawet przez dzisiejszy nasz historyozoficzny pessymizm. Więc czy przypadkiem tamto nie było następstwem tego? Czy nie ztąd właśnie, z tego zaszczepienia cywilizacyjnych flanc zachodnich na niedoprawionym gruncie, z tego wytężenia najżywotniejszych zasobów narodowych w podjętém drugostronnie cywilizacyjném na wschodzie i asymilacyjném zadaniu, wzięła się owa chorobliwa bujność jednych a spółczesna atrofia drugich żywiołów narodowego życia? Bo jeżeli nie ztąd, to zkąd? A jeżeli ztąd, to co się dzieje z *zależnością* przyczyn, obciążającą jakoby naszę odpowiedzialność? Czy od nas *zależało* pojawić się wcześniéj na widnokręgu zachodniéj cywilizacyi? Czy od nas *zależało* pozbyć się germańskiego sąsiedztwa? Jeżeli za sprawą tych narzuconych nam warunków bytu, byliśmy istotnie mniéj zdolnymi do wytworzenia silnéj społecznéj i politycznéj organizacyi, skłonniejszymi do hołdowania anarchicznym popędom, gorszymi od innych jedném słowem, czy od nas zależało być lepszymi w tych warunkach?

Ale czy byliśmy gorszymi? W niezachwianém przekonaniu piszącego niniejsze kartki twierdząca odpowiedź na to pytanie, jakkolwiek zaliczyć się dająca dziś do ustalonych aksiomatów, jakkolwiek stanowiąca niejako kamień węgielny dzisiejszych historyozoficznych teoryi, jest nie mniéj przeto pozbawioną wszelkiéj racyonalnéj zasadności; jest wynikiem z jednéj strony tendencyjnego, apriorystycznego charakteru tychże teoryi, z drugiéj strony niedo-

(1) Ob. Bobrzyńskiego „Dzieje Polski" *passim*.

statecznego wprowadzenia do nauki historycznéj porównawczych danych i dostarczonego przez nie kryteryum.

Że rozbicie politycznego organizmu Rzpltéj jest w wieku XVIII nie następstwem koalicyi sił obcych i dokonanego przez nie z zewnątrz rozbioru, ale dziełem czynników swojskich i wywołanego przez nie wewnątrz rozkładu, którego początki dostrzedz się już dają w wieku XVI—to konkluzya nie tylko gnębiąca, i z praktycznego stanowiska najmniéj dla nas, zdaniem piszącego, pożądana, ale wręcz fałszywa, historycznie, naukowo bezpodstawna. Czynniki rozkładowe tego samego rodzaju, żywioły anarchiczne téj saméj natury, zepsucie, swawola, luźność obyczajów spotęgowane do tego samego stopnia widocznemi są i gdzieindziéj, w społeczeństwach, które analogicznym poniekąd warunkom bytu i rozwoju podlegają, a jednak, za przyczyną mniéj nieprzyjaznych zewnętrznych konjunktur, całkiem odmiennym przekazane są przeznaczeniom.

Takiego mianowicie i charakterystyczniejszego od innych zjawiska dostarczają, przy zestawieniu z naszą własną historyą, dzieje społeczeństwa angielskiego. Szczupła, względnie, etnograficzna podstawa, przy wielkiém wytężeniu sił w przedsięwzięciach kolonizacyjnych, olbrzymie obszary obejmujących; szybka asymilacya napływowych pierwiastków i szeroki tychże odpływ na zewnątrz; ztąd życie na wewnątrz ruchliwe i luźne zarazem; nie dający się okiełznać duch swobody; wybujałość indywidualizmów; ograniczenie władzy monarchicznéj; rozwój parlamentaryzmu; chorobliwa prawie obawa utraty zazdrośnie strzeżonych swobód i nieufność względem władzy—oto tyleż rysów składających się na uderzające podobieństwo fizyonomii historycznéj, z przypadkowym ale nieobojętnym przyczynkiem w wieku XVIII dynastyi obcéj, niemieckiéj, prowadzącéj tu i tam za sobą nowy napływ wsiąkających w organizm narodowy żywiołów.

To téż, rzucając zasłonę na dalsze obu społeczeństw koleje i losy, zatrzymajmy się przed obrazem wewnętrznego ich życia, chociażby w wieku XVIII, więc w epoce poprzedzającéj bezpośrednio z jednéj strony katastrofę ostatecznego pogromu, z drugiéj strony jednocześnie niemal osiągnięty zenit potęgi i rozkwitu. Dokonane w ostatnich czasach tam, w Anglii, prace historyograficzne, dobyte na jaw pomniki i źródła dostarczają wszelkich potrzebnych danych do takiego zestawienia, które jest przedmiotem niniejszych kartek, a które przeznaczoném się zdaje do usunięcia wszelkiéj wątpliwości z wolnych od uprzedzenia umysłów co do wartości historyozoficznych prejudykatów, obciążających tak ciężkiém brzemieniem nasze narodowe sumienie. Narody są wszędzie tém, czém

być mogą w danych warunkach; ale nigdzie nie jest im daną moc obierania dróg swoich i wybierania swoich przeznaczeń.

I.

Na tronie polskim August II; na tronie angielskim, po śmierci bezdzietnego Wilhelma Orańskiego (marzec 1702), cień królewskiego dostojeństwa w osobie bezdzietnéj Anny, z perspektywą obcéj niemieckiéj dynastyi na bliskim widnokręgu—oto znamienne tu i tam zjawiska w progach rozpoczynającego się stulecia. Tu i tam kwestya zasady monarchicznéj rozstrzygniętą już została w sensie jak największego téj zasady ograniczenia, najszerszego zaś wyswobodzenia żywiołów społecznych. Chodzi o to, jak się te żywioły ukształtują organicznie. Zmiennemi i burzliwemi są obustronnie koleje towarzyszące téj pracy wytwórczéj. Formy i barwy przesuwają się i plączą się w odsłoniętym przed nami obrazie, jak w kalejdoskopie. Trafia się jednak tam, za cieśniną kaletańską, chwila względnego skonsolidowania się efemerycznych kształtów, odpowiadająca poniekąd i u nas pewnemu zastojowi w społecznėm i politycznėm życiu, więc najdogodniejsza do zamierzonego tu poglądu. Jest nią dwudziestoletnia epoka (1722—1744) rządów Roberta Walpole'a.

„W zawodzie tego męża stanu“, pisze najgłośniejszy z pomiędzy żyjących historyków angielskich (1), „więcéj niż w zawodzie któregokolwiek z jego poprzedników lub następców, odźwierciedla się charakter polityki, którą stronnictwo Whigs'ów reprezentuje w ciągu XVIII wieku; wpływ zaś jego oddziałał w bardzo znacznéj mierze na ton i charakter rządów parlamentarnych w Anglii.“

Przypatrzmy się temu zawodowi i towarzyszącym mu politycznym a społecznym stosunkom. Zacznijmy od króla. Jest nim najpierw Hanowerczyk Jerzy I-y. Po angielsku nie umié i umiéć nie pragnie. Urodził się i pozostaje Niemcem. Skoro tylko może, ucieka do swojego Hanoweru, tak jak nasz August do swego Drezna. O ile tylko może, stara się wyzyskać swój tytuł angielskiego króla na rzecz swoich interesów hanowerskich. W r. 1712 król Duński odstępuje elektorowi Hanowerskiemu, jako elektorowi, miasta Bremen i Werden w zamian za przyrzeczoną pomoc przeciwko Szwedom. Jerzy podpisuje jako elektor, ale jako król angielski posyła flotę angielską na Bałtyk. Tyle nie potrafił dokazać nad Wisłą ani August II, ani Brühl za rządów jego następcy. W r. 1743 wielki Pitt

(1) Lecky, History of England in the XVIII-th Century. I, s. 325.

woła w izbie gmin: „Aż nadto widoczną jest już rzeczą, że to wielkie, to potężne, to trwogą nieprzyjaciół przejmujące królestwo uważaném jest tylko za prowincyą nędznego elektoratu.“ Takich słów nie usłyszał żaden z sejmów polskich. Niemieckiéj bowiem polityki ojca spadkobiercą czyni się w r. 1727 Jerzy II. Tylko łatwiéj daje się powodować Walpole'owi, który go kupuje sobie, wyjednywając dlań listę cywilną o 100,000 funtów wyższą od ojcowskiéj,—i metresom swoim, do których Walpole umié także trafić. Czasem ulega także królowéj, która dla zachowania swojego wpływu sprzyja rozrywkom małżonka, przeciwko ślubowanéj wierności wykraczającym, a nawet czyni się okolicznościowo ich dostarczycielką. Charakterystyczną jest w pamiętnikach lorda Hervey scena pożegnania królewskiéj pary przy łożu umierającéj królowéj. Ta ostatnia zaleca płaczącemu małżonkowi, ażeby poszukał sobie innéj towarzyszki życia. Na to płacz rozrzewnionego monarchy wzmaga się, i, głosem przez łkanie przerywanym, zaledwie wyjąkać jest on w stanie odpowiedź, która brzmi: „Nie będę miał metresy!“ — „A mój Boże!“ odzywa się na to królowa, „przecież to nie przeszkadza (1)!“

W rzeczywistości tedy Walpole rządzi wszechwładnie, o ile mu na to pozwalają izby, dzięki zaś środkom, któremi minister rozporządza, pozwalają mu one dużo. Jakiemi są te środki? Wymownym on nie jest. Mówi łatwo, bez przygotowania, jasno i zwięźle, zwłaszcza w materyach finansowych, ale do porywania słuchaczów nie jest zdolnym, jak późniéj dwaj Pitt'owie, lub za dni naszych Gladstone. Jest popularnym. Dzięki czemu? Dzięki zapewne najpierw swojéj stałéj, zasadniczéj, niemal ślepéj uległości względem opinii publicznéj, jéj prądów, jéj upodobań i niechęci, a zwłaszcza jéj kaprysów. W gabinecie, w łonie nawet całego swojego stronnictwa, dąży on nie mniéj stale i zasadniczo do absolutyzmu, i osięga w końcu cel zamierzony, usuwając powoli na bok wszystkie osobistości upominać się mogące o podział władzy, otaczając się samymi figurantami. Dochodzi ostatecznie do tego, że koledzy ministeryalni nie czytają nawet papierów i nie roztrząsają spraw odnoszących się do ich własnego wydziału i pozwalają na to, aby te wprost do pierwszego ministra były odsyłane i przezeń załatwiane. Czasem tylko, i to nie w formie urzędowéj, ale poufnie, najczęściéj przy stole, roztrząsa tenże z dwoma lub trzema z pomiędzy nich, potulniejszymi od innych, będący na porządku dziennym przedmiot. Czasem, w materyach prawodawczych, odwołuje się do prawników z łona opozycyi (2). Przypadkowe, coraz rzadsze protestacye

---

(1) Lord Hervey's Memoirs, II, 513—514.

(2) Campbell. Lives of the Chancellors, VI, 110.

kolegów, nawet téj powagi co ks. Newcastle, odpycha wszechwładny minister pogardliwie, grubijańsko nawet. Ale w obec opinii publicznéj, wobec najlżejszéj ztąd pochodzącéj wskazówki, jest miękkim jak wosk, uległym jak chorągiewka na dachu. Nie wzdryga się przed jawném nawet odstępstwem od własnych przekonań i własnych projektów prawa, chociażby osobiście narzuconych parlamentowi i zwycięsko przeprowadzonych w tegoż łonie. Takim projektem jest w r. 1731 bill o akcyzie. W przededniu ostatniego „czytania“, koledzy ministeryalni, wyjątkowym przykładem do walnéj dopuszczeni narady, oświadczają się jednomyślnie za uwieńczeniem dzieła; pewnymi są znacznéj większości w obu izbach. Walpole słucha ich w milczeniu, a w końcu odzywa się: „Tak jest, izby oświadczyły się i oświadczą się jeszcze za billem, ale opinia oświadczyła się, choć niedorzecznie, przeciwko niemu. A zatém, jeżeli postanowiliście nieodwołalnie przeprowadzić ten bill, ja postanowiłem udać się do króla i prosić o uwolnienie od urzędu“. I bill zostaje cofniętym (1).

Udaje mu się jednak w pewnéj mierze zjednywać dla swoich osobistych zapatrywań i zamysłów aplauz publiczny, pociągać masy ludowe za sobą. Dzięki bowiem pewnym osobistym właściwościom i przymiotom, istnieje między nim a temi masami sympatyczny łącznik. Jakiemi są te właściwości i przymioty? Przedewszystkiém jest pierwszy ten minister pierwszym także z pomiędzy łowców angielskich. Zwyczaj zawieszania prac prawodawczych w środę należy do parlamentarnego po nim spadku; przyjętym został dla uczynienia zadość jego myśliwskim upodobaniom. Wiejskie wszelako jego rozrywki nie ograniczają się na dojeżdżaniu jeleni i lisów. Łowy kończą się biesiadami a biesiady orgiami, przed których opisem cofa się pióro historyka. Hołdowanie Bachusowi należy zresztą do jego rodzinnych tradycyi. Spółcześni opowiadają o jego ojcu, że zwykł za każdym spełnianym przez się kielichem nalewać dwa synowi, „ażeby ten ostatni nie mógł w stanie przytomności patrzyć na pijanego rodzica“ (2). Zapewne téż i za powrotem do miasta zdarza się mu za przykładem Bolingbroke'a, przybywać do ministeryalnego gabinetu z głową obwiązaną mokrym ręcznikiem, przeznaczonym do zwalczenia naturalnego skutku winnych libacyj (3). Tego samego rodzaju podanie przechowało się o jednym z ostatnich naszych ministrów i głośniejszych mówców sejmu czteroletniego. Ale Kazimierz Nestor Sapieha nie trzymał nigdy w swoich rękach losów

(1) Coxe's Walpole. I, 403—404. — (2) Coxe's Walpole, I, s 758. — (3) Mrs Delany's Correspondence, VI. 168.

ojczyzny. Obok zaś bachusowego, stawia Walpole ołtarz równego co najmniéj nabożeństwa Wenerze. Kiedy nie gada o interesach, powiadają o nim, gada o kobiétach (1). W jaki zaś sposób gada o nich, to nie daje się powtórzyć. „Jego dwoma głównemi upodobaniami—pisze nowoczesny historyk (2) — są polityka i sprośność.“ Żyje w otwartém cudzołostwie. Mimo wczesnéj otyłości i niewdzięcznéj urody, nosi się bezprzestannie z miłosnemi oświadczeniami, którym nadaje formę najbrutalniejszą. W Houghton, wiejskiéj swojéj rezydencyi, odstrasza czasem nawet okolicznych *squires*'ów, choć nie wybrednych, bezwstydném rozpasaniem urządzanych przez się bachanalii. W chwili śmierci królowéj, żony Jerzego II, nalega na córki tego ostatniego, aby zajęły się natychmiastowém sprowadzeniem dwóch metres ojcowskich, dla rozerwania jego kr. mości; następnie zaś oświadcza głośno, że o ile dotąd był za królową przeciwko metresom, o tyle odtąd będzie za metresami przeciwko córkom (3).

I ogółem biorąc, wszystko to czyni go miłym w oczach prowincyonalnych *squires*'ów. Ale główna podstawa jego politycznego stanowiska, jego wpływu, jego dwudziestoletnich bezpodzielnych rządów pozostaje do wskazania. Jest nią — przekupstwo. Przekupstwo jawnie, otwarcie, cynicznie podejmowane, uświęcone niejako w charakterze niezbędnego czynnika działalności politycznéj, stosowane do wszystkich i do wszystkiego, zaczynając—jak to widzieliśmy już — od królewskiego dostojeństwa. Co się dzieje z królem, to dzieje się także z królową. Jak przekupił Walpole Jerzego II, tak przekupuje jego żonę, zapewniając jéj oprawę 100,000 funtów rocznego dochodu, podczas gdy współzawodnik jego, sir Spencer Compton, zdobył się tylko na obietnicę 60,000. Przekupuje i skłania do milczenia pastorów dysydenckich za pomocą donatywy królewskiéj *(Regium Donum)*, zabezpieczonéj ich wdowom. Wyzyskuje na rzecz swoich kreatur wszystkie przywileje królewskiego patronatu. Wytargowywa sumy ogromne i coraz to ogromniejsze na rzecz tajnych funduszów do rozporządzenia sobie oddanych, a używa przeważnie tych ostatnich na przekupowanie parlamentarnéj opozycyi. Przekupuje najpierw cały poczet drobnych okręgów wyborczych, w Szkocyi zwłaszcza i Kornwalii, następnie zaś trafia do pojedyńczych kieszeni i sumień w łonie parlamentu. To jego system, jego polityczne *credo*. Wyrażenie: „Każdy człowiek ma swoją cenę“, jeżeli wychodzi istotnie z jego ust, stosuje się podobno w jego myśli tylko do pewnéj grupy członków izby i brzmi: „każdy

---

(1) Lecky I, 365. — (2) Tamże. — (3) Tamże, podług pamiętników lorda Hervey.

z tych ludzi.“ Ale opinia publiczna przypisuje tym słowom sens ogólny i to, samo przez się, stanowi wymowną wskazówkę. Jawnie zaś stałém jego przedsiewzięciem jest zabezpieczenie sobie parlamentarnéj większości nie za pomocą zjednanego dla swéj polityki zastępu przednich mówców, pisarzy, finansistów, czy mężów stanu, doprowadzanéj do skutku koalicyi stronnictw, ani nawet uosabianych przez się ludowych aspiracyi i żądań, ale jedynie i wyłącznie za pomocą pieniędzy. Dawać i skłaniać do brania, to jego sekret. Ale sekret, z którym się nie kryje, któremu udziela owszem rozmyślnie największego rozgłosu, dla przyciągnienia nieśmiałych, z którym występuje otwarcie, dla pokonania wstydliwych. Publicznie nosi się z tém, że więcéj niż połowa członków obu izb bierze pieniądze z kasy państwa, w kształcie pensyi lub dochodów urzędowych. Publicznie chwali się tém, że odrzucenie pewnego billu kosztuje go tylko 900 funtów: 500 dla jednego członka, 400 dla drugiego, którzy obaj zresztą mieli otrzymać tę samę sumę przy końcu sesyi, a skorzystali jedynie z nastręczonéj sposobności dla upomnienia się wcześniéj o nią (1). Protestacye, z któremi czasem, choć rzadko, spotyka się ze strony nowych przybyszów, nieoswojonych z praktyką życia parlamentarnego, wywołują tylko pogardliwy z jego strony śmiech i żarty cyniczne. „Patryoci! Świątobliwi ludzie! Spartanie! Niewiniątka!“ — woła głośno.

Do czego zaś służy zabezpieczony tym sposobem fundament politycznéj w izbach hegemonii? Przedewszystkiém do utrzymania Roberta Walpole'a na stanowisku wszechwładnego ministra. Zresztą polityka jego jest raczéj biernego niż czynnego charakteru i prowadzi do negatywnych głównie rezultatów (2). Finansista biegły, nie lubiący go, Jerzy I-szy odzywa się o nim: „Walpole jest w stanie zrobić złoto z niczego“—na tém polu oddaje krajowi niejakie usługi. Po za tém zostawia nawet sympatyzującym z jego osobistością historykom możność jedynie domyślania się ujemnych dla kraju ewentualności, które uniknionemi przezeń zostały. Na wewnątrz program jego jest programem bezwzględnego konserwatyzmu, niechętnego wszelkim reformom; na zewnątrz jest programem bezwzględnego pokoju, prowadzącym do faktycznéj abdykacyi wobec wielkich zagadnień polityki europejskiéj (3).

I program ten utrzymuje się przez lat dwadzieścia! I wpływ człowieka uosabiającego ten program, zapewniającego temu pro-

---

(1) Lord Hervey's Memoirs, II, 280. — (2) Lecky I, 327—371. — (3) Tamże. Porównaj z sądem Macaulay'a w Essay on Horace Walpole's Letters; Standhope'a w History of England; Carlyle'a w Life of Frederic the Great.

gramowi dwudziestoletnią przewagę za pomocą wskazanych środków, odbija się w całości wewnętrznych i zewnętrznych stosunków kraju trwalszém od wszystkich innych znamieniem! Przypatrzmy się tym stosunkom.

W dziejach parlamentaryzmu angielskiego rządy Walpole'a stanowią epokę. Jest on rzemieślnikiem trwałego, nawet w późniejszych latach, kompromisu między izbą gmin a tronem. Jakich narzędzi używa, wiemy już. Do téj pory rzeczy innym szły trybem. W roku 1701, przy pomocy dzielnego Sommersa, Wilhelm Orański stara się o wyjednanie subsydyów niezbędnych dla dalszego prowadzenia wojny na kontynencie i wyzyskania już osiągniętych przez nią korzyści. Izba lordów sprzyja jego widokom i usiłowaniom. Aliści w izbie niższéj z torysów złożona większość stawia Sommersa w stanie oskarżenia, odracza uchwałę subsydyów, nie dopuszcza nawet żadnego kroku, mającego na celu zabezpieczenie obrony krajowéj. Tu i owdzie w kraju odzywają się głosy nieukontentowania. Hrabstwo Kent mianowicie zgłasza się z petycyą ułożoną w energicznych ale oględnych i uszanowania pełnych wyrazach, podpisaną przez jury i znaczną liczbę *freeholdersów* miejscowych, przedstawioną przez pięciu przednich obywateli, a powołującą się na zasługi Wilhelma, na wdzięczność która należy się mu od narodu, na grożące bezbronnéj ojczyźnie klęski i przemawiającą za dostarczeniem jego królewskiéj mości potrzebnych dla bezpieczeństwa krajowego środków. Zacietrzewiona w swéj opozycyi większość nie waha się z odpowiedzią. Prawo petycyi należy do najstarszych i najsilniej zagwarantowanych przywilejów narodowych. Wpisaném zostało do konstytucyi narodowéj *(Bill of rights)*. Nie wstrzymuje to antagonistów polityki rządowéj. Petycya uznaną zostaje za skandaliczną, zuchwałą i buntowniczą; przedstawiający zaś ją obywatele dostają się do więzienia i pozostają w niém przez dwa miesiące, do końca sesyi.

Jak się to nazywa? Czy nie anarchią przypadkiem?

Było więc i tu miejsce dla tych żywiołów, które odegrały w naszéj własnéj historyi tak smutną rolę. Tylko tu, za przyczyną pewnych odmiennych warunków organicznych, a także pewnych właściwości charakteru narodowego, pierwiastek monarchiczny okazuje się wcześniéj zdolnym do osiągnięcia nad niemi należytéj przewagi. *Przejednać* opozycyi nie jest w stanie więcéj jak u nas, ani jéj *przemódz*, ale udaje się mu *przekupić* ją. Organizacya okręgów wyborczych, nadwerężona przez Cromwella w duchu reformatorskim, wskrzeszona przez Restauracyą, dostarcza pierwszéj ku temu

łatwości. „Zgniłe okręgi“ — *the rotten boroughs* — wymiecione żelazną ręką Protektora, wracają ze Stuartami do swoich przywilejów i utrzymują się już przy nich. Unia ze Szkocyą powiększa ich liczbę. „Gołe imię nieistniejącego miasta, z którego zaledwie cośkolwiek gruzów pozostało i w którém niemasz więcéj domostw nad chatę pastuszą, ani więcéj mieszkańców nad jednego pastucha, posyła do wielkiego zgromadzenia prawodawców, tyluż przedstawicieli co prowincya cała ludna i bogata“ (1). W jaki sposób wywiązują się one, te karykatury narodowéj reprezentacyi, ze swego politycznego mandatu? Część ich *należy* z dawien dawna do pewnéj liczby wielkich panów, reszta należy od równie odległéj epoki — do dającego więcéj. Jest na zbyciu. I rezolutnie, systematycznie, otwarcie Walpole staje do licytacyi. Czyni się kupcem na wielką skalę, i dzięki finansowéj swéj biegłości, zwycięża. W r. 1743 Chesterfield wymienia w łonie samego parlamentu, jako rzecz znaną, „dworskie okręgi *(courth-boroughs)*, wybierające kogo im minister wskaże, chociażby osobą zaleconą był kandydat, o którym żaden z wyborców nie słyszał pierwéj, ani go widział na oczy; gotowe do wybrania bodaj lokaja z przedpokoju pana ministra.....“ (2).

Owóż jednocześnie, za przyczyną reformy przedłużającéj do lat siedmiu trwanie każdorazowego jéj mandatu *(Septennial Act)*, po części zaś także za sprawą stałego, przez przeciąg dwudziestu lat pobytu w jéj łonie naczelnéj reprezentacyi rządowéj, w osobie Walpole’a, izba z takich obecnie składająca się żywiołów zyskuje stopniowo stanowczą przewagę nad swą starszą siostrą; w końcu zaś dobija się aktualnéj hegemonii politycznéj. Tytuł członka izby wyższéj traci powoli większą część swojego uroku i powagi. Za panowania Anny jeszcze uzyskane parostwo jest dla Harley’a, dla St. John’a znamieniem osiągniętego zenitu w ministeryalnym zawodzie. Walpole natomiast przyjmuje tytuł hrabiowski dopiéro w chwili swojego upadku; po nim zaś Pulteney przypłaca nieoględnie zajęte miejsce w zdyskretowaném gronie lordów utratą całkowitą swego wpływu politycznego (3). Izba niższa, skojarzona z dworem wiadomemi węzłami, staje się teraz wszystkiém. Zważmy jednak, że z początku i przez czas dość długi nic dodatniego nie wychodzi z tego kompromisu. Program rządowy, z którym solidaryzuje się przekupiona większość narodowéj reprezentacyi, jest to program bierny Walpole’a. Kompromis, do którego przykłada ona rękę, jest przeważnie kompromisem wzajemnéj tolerancyi. Po za sferą pojętych we właściwy sobie sposób interesów rządowych,

(1) Locke, on Civil Governement II, rozdz. XIII. — (2) Parliament. History, XIII, 30. (3) Lecky I, 436.

pierwszy minister zostawia swéj parlamentarnéj klienteli wszelką swobodę. Używa zaś jéj ona w taki sposób, jakiego spodziewać się po niéj można. Jéj program znowu, to program najszerszego wyzyskiwania, we własnym partykularnym interesie, przysługujących sobie lub przywłaszczanych prerogatyw, przywilejów i atrybucyi. Do takich np. należy władza sądowa o bardzo luźnie określonych granicach. Właściwie podlegają jéj jedynie wykroczenia, przedstawiające charakter obrazy wyrządzonéj członkom grona prawodawczego. Ale do wykroczeń téj kategoryi zaliczone zostaje zastrzelenie królika, należącego do jednego z prawodawców, łowienie ryb w stawie należącym do drugiego i ukradzenia krowy trzeciemu (1). Podobnego rozszerzenia doczekuje się przywiléj osobistéj nieodpowiedzialności członków izby: korzystają zeń nawet domownicy i służący pojedynczych prawodawców, nietylko dla niepłacenia zaciąganych przez się długów, ale dla dopuszczania się wszelakich nadużyć, gwałtów i rozbojów (2). Jakiém zaś jest ogólne pojęcie sprawiedliwości utrwalone w gronie prawodawczém, o tém składa wymowne świadectwo niepodejrzany sędzia, stały przez lat trzydzieści trzy prezydent *(Speaker)* izby, Onslow, odzywający się publicznie z tém, że aksiomat: „słuszność jest w przyjacielu nie zaś w sprawie" *(the right is in the friend and not in the cause)*, należy do otwarcie wyznawanych między jego kolegami (3). A oto przywiléj trzeci: cenzorowanie prasy i rozciąganie tą drogą despotycznéj juryzdykcyi nad objawami opinii publicznéj: prawnie, jeden z najmniéj uzasadnionych; w praktyce jeden z najzazdrośniéj wyzyskiwanych przez izbę. Tu zaś, jak i gdzieindziéj, wyroki jéj nie podlegają żadnéj apelacyi. Tym sposobem autor politycznych pamfletów, Steele, dostaje się na wygnanie; Tuchin doczekuje się publicznego oćwiczenia ręką kata; Wellwood, Dyer i Fogg, wydawcy dzienników, zniewoleni są do wyrażenia na klęczkach swojéj skruchy, w obliczu izby. Frymarcząca sumieniem uległość u góry, w stosunku do władzy wykonawczéj, bezsumienny despotyzm u dołu, w stosunku do mas ludowych, — oto więc bilans parlamentaryzmu w téj epoce. Anarchia zażegnaną wprawdzie została w jego łonie, ale jakim kosztem i z jakim skutkiem? Czy nawet z czysto oportunistycznego stanowiska poglądać się nam godzi zazdrosném okiem na osiągnięte tą drogą rezultaty? Spojrzyjmy na inne organy publicznego życia w téj saméj dobie.

(D. n.) *K. Waliszewski.*

---

(1) Stanhope, History of England. IV, 20—21. — (2) Tamże. — (3) Burnet's Own Times, II, 410.



UDZIAŁ
NIEMIECKIEJ OŚWIATY PRUS WSCHODNICH
W ŻYCIU UMYSŁOWEM POLSKI.

G. C. Pisanski's—Entwurf einer preussischen Literärgeschichte—in vier Büchern—herausgegeben von Rudolfs Philippi. Königsberg 1886, str. XXIII i 722. (*)

Współudział różnoplemiennych czynników w naszém życiu umysłowém przyczynił się wielce do jego rozwoju i nadał piśmiennictwu charakterystyczną różnobarwność. Rusini, Litwini, Czesi, Niemcy zostawszy członkami społeczeństwa polskiego przynoszą na jego usługi swe różnorodne uzdolnienia i owoce duchowego dorobku. Język i poezya nasza zawdzięczają wiele wpływom czeskim i ruskim, nauka zaś zwłaszcza na polu historyi, ma wiele do zawdzięczenia niemieckim wzorom, wpływom i pracom.

Dzisiejsze stosunki nie powinny mącić bezstronności sądu o udziale kultury niemieckiéj w wytworzeniu naszego dorobku cywilizacyjnego. Owszem, bliższe rozpatrzenie się w dawniejszym stosunku obu narodowości może rzucić tém jaskrawsze światło na współczesne wypadki, świadczące o zaniku w życiu duchowém ple-

---

(1) Praca Pisańskiego, zniemczonego mazura pruskiego, nie jest nowością. Napisana pierwotnie po łacinie p. t. „Historia litteraria Prussiae“ (1762—65 r.) na podstawie wykładów w uniwersytecie królewieckim, którego profesorom był nasz autor, została następnie przerobiona i obszerniéj po niemiecku opracowana. Pierwszy tom już po śmierci Pisańskiego wyszedł w 1790 r., drugi dopiero 1853 r. Obecne wydanie na podstawie oryginalnego rękopismu uskutecznił R. Philippi, archiwista w Królewcu, kosztem królewieckiego towarzystwa literackiego. Zarówno Bentkowski jak Wiszniewski przytaczają w spisie źródeł wydania z 1790 r., korzysta z niego często Jocher w swéj Bibliografii. Nikt jednak nie zwrócił uwagi baczniejszéj na książkę, zawierającą obok bogatego materyalu bibliograficznego, wiele szczegółów, mogących rzucić światło na nasze życie umysłowe i piśmiennictwo.

mion niemieckich, przymiotów które im jednały szacunek i umożliwiały dobroczynny wpływ na obcoplemienną ludność. Kultura niemiecka oddziaływała na społeczeństwo polskie za pośrednictwem najrozliczniejszych czynników. Hierarchia kościelna, klasztory, kolonizacya szlachecka, wieśniacza, mieszczańska, handel, napływ żydów, osiedlenie się Krzyżaków w samém sercu Polski piastowskiéj, związki małżeńskie książąt—wszystko to torowało drogę pojęciom, obyczajom i urządzeniom niemieckim.

Wpływ ten, dosiągłszy najwyższego stopnia w drugiéj połowie XIV w. wywołuje w XV reakcyą narodową, kładącą tamę dalszemu procesowi i sprowadzającą stopniowe, spokojne polszczenie napływowéj ludności. Humanizm i kultura włoska zobojętniają na jakiś czas dla kultury niemieckiéj. Reformacya wznawia, w innéj postaci tylko, oddziaływanie ducha niemieckiego na społeczeństwo polskie. Tryumf protestantyzmu na obszarze dawnych posiadłości krzyżackich, wytworzenie się państwa świeckiego z ruin zakonu—to reakcya niemczyzny pognębionéj przez Grunwald i pokój toruński. Ten nowy organizm państwowy powstaje w chwili, gdy Polska doszedłszy szczytu potęgi politycznéj, zaczyna wstępować na drogę stopniowéj dezorganizacyi, rozprzęgania się i zanikania czynników normalnego życia państwowego. Rozpadnięcie się tak rozległego jak Polska państwa i szybkie przekształcenie drobnego księstwa pruskiego w potężną monarchią, stanowi jedną z najwymowniejszych lekcyi historyozofii. Jaskrawe światło politycznych kontrastów nie pozwoliło zwrócić uwagi na drobne, nie tak ogólnéj doniosłości, choć bardziéj dodatniéj natury, szczegóły odnoszące się do duchowego oddziaływania rozwijającego sie w Królewcu ogniska kultury niemieckiéj w przyległe i dalsze prowincye Rzeczypospolitéj. Dane zgromadzone z wielką sumiennością w pracy Pisańskiego, pozwalają nam zaznaczyć główne momenta, formy i kierunki tego wpływu.

I.

Proces psychologiczny który zwykle nazywamy wpływem duchowym polega na rozszerzaniu się pewnéj idei i zgrupowanych koło niéj pojęć z ogniska, w którém powstały lub zostały zaszczepione, na dalsze koła ludzkie. Szybkość i trwałość wpływu zależy przedewszystkiém od natury saméj idei, od środków jakimi się posługują jéj propagatorzy i stanu umysłowego kół, śród których działają.

Trzywiekowe niemal panowania Krzyżaków na obszarze między Wisłą, Niemnem i Baltykiem przygotowało tu grunt dla rozwo-

ju protestantyzmu. Podporządkowanie interesów religii i kościoła względom politycznym, sprawom świeckim, kontrast między podniosłemi zadaniami zakonu krzyżackiego a życiem jego przewodników i członków musiały obudzić śród ludności, miejskiéj zwłaszcza, cieszącéj się dobrobytem i dość wysoką kulturą umysłową, ostrą krytykę zarówno zakonu jak i hierarchii kościelnéj zespolonéj z nim węzłami politycznéj i kościelnéj zawisłości.

Przyjęcie protestantyzmu przez Albrechta i wynikające ztąd przekształcenie posiadłości zakonu w księstwo świeckie, jest niewątpliwie jednym z najdonioślejszych faktów, jakie spotykamy w dziejach północno-wschodniéj Europy, w XVI wieku. Obok swego politycznego znaczenia fakt ten przedstawia nam niezmiernie ciekawy przykład odrodzenia rozpadającego się organizmu państwowego, przez wprowadzenie świeżych prądów duchowych, przywrócenie władzy centralnéj utraconego majestatu siły moralnéj i oparcie związku między panującym a poddanymi na wspólności nowych a upragnionych gorąco idei i ideałów religijnych.

Podniosłość nowych idei czyni je równie ważnemi zarówno dla wszystkich warstw społecznych, jak i dla różnoplemiennych kół wchodzących w skład nowego państwa. Era wypraw wojennych ubożących ludność a demoralizujących jéj panów została na długie lata zamkniętą, a natomiast rozpoczęła się nowa era pracy pokojowéj, różnokierunkowéj, wytwarzającéj nie widocznie, bez rozgłosu te zasoby materyalne, i siły moralne i czynniki polityczne, które pozwolą w przyjaznych okolicznościach przekształcić się małemu księstwu w potężną monarchią.

Ten tak doniosły w następstwach przewrót zmienił zupełnie stosunek dawnego państwa krzyżackiego do sąsiednich litewsko polskich prowincyi. Dawni wrogowie zostają przyjaciołmi, niedawni zwycięzcy uczniami. Królewiec staje się ogniskiem „prawdziwego słowa bożego“ pociągającém wszystkich propagatorów nowych pojęć religijnych i dostarczającym przyległym krajom upragnionego światła już to w kaznodziejach kształcących; się w tutejszych szkołach już to w wychodzących tu książkach religijnych polskich i litewskich.

Tu dochodzą w swéj tułaczéj wędrówce prześladowani bracia czescy. Kaznodzieje ich Walenty z Brzozowa ogłasza w Królewcu (1554) polski przekład kancyonału Hussa w wielkiéj *in folio* księdze z melodyami. Tu chronią się, znajdują przyjazne przyjęcie, głośni działacze, w sprawie reformacyi, Stankar i Vergerius—drukujący się w Królewcu swe pisma polemiczne. Łaski zjeżdża na dysputy z teologami królewieckimi a Trzycieski także nawiedza tę metropolią

protestantyzmu. Najwięcéj godną uwagi jest działalność piśmiennicza dwóch polskich protestantów, którzy schroniwszy się tu, pozostali w Prusach do śmierci, popierając sprawę swego wyznania licznemi pracami, po polsku wyłącznie ogłaszanemi. Działaczami tymi są: Jan Seklucyan wielkopolanin i Jan Maletius, podobno małopolanin—obaj lekko zbywani lub pomijani milczeniem przez historyków literatury.

Seklucyan zasługuje na wybitniejsze stanowisko w dziejach literatury jako jeden z najgorliwszych i najobfitszych pracowników na niwie powstającego piśmiennictwa narodowego. Przewaga kalwinizmu w drugiéj połowie XVI w. przyczyniła się do pozostawienia w cieniu postaci tego żarliwego wyznawcy zasad Lutra. Późniejszy tryumf katolicyzmu spotęgował jeszcze obojętność dla téj postaci. A przecież człowiek ten, obok swéj żarliwości luterańskiéj, równie gorliwie pracował nad wyrobieniem języka i utorowaniem drogi polszczyznie tam, gdzie ona była mało znaną—na Litwie, wyprzedza swą działalnością piśmienniczą Reja a pracowitością swoją, autorską i wydawniczą, ilością ogłoszonych prac przewyższa wszystkich współczesnych pisarzów polskich. Od 1540 r. do 1560 r. co rok ukazuje się jedna a często i po dwie prace Seklucyana. Prócz przekładu Nowego Testamentu, który miał dwa co najmniéj wydania w ciągu pięciu lat (1550—1555), wydał Seklucyan około 14 innych prac albo zatraconych albo stanowiących dziś rzadkości bibliograficzne. Do szeregu wyliczonych przez Sobieszczańskiego (Encykl. Orgelbr. XXIII 234) i w Bibliografii Estreichera, przydać należy jeszcze cztery najciekawsze tak ze względu na formę wierszową jak i na treść i datę, utwory opisane szczegółowo przez Pisańskiego a nieznane nawet z tytułu żadnemu z bibliografów polskich. Najdawniejszą jest: „Rozmowa o pogrzebie krzescianskym y papieskym“ (Królewiec 1547, 8. 2 ark.), będąca wierszowaną przeróbką pisemka bezimiennego, poddającego krytyce katolickie obrządki pogrzebowe i modły za zmarłych. Obszerniejszą znacznie rozmiarami pracą jest: „Kupiecz to jest kształt a podobieństwo sądu Bożego ostatecznego“ (Królewiec 1546—1 alfab. 8 ark. *in octavo*). W piśmie tém Seklucyan rozwinął wierszem dostarczony mu przez „nieznajomego“ pomysł przedstawienia człowieka w postaci kupca, który źle rozporządziwszy powierzanymi mu przez Boga skarbami, był stawiony przed sądem i skazany. Treść tę rozwija autor w formie dyalogu rozmaitych postaci, przy czém wytyka błędy i wady biskupów, kapłanów, mnichów, doktorów i innych stanów. W tymże roku, także w Królewcu, wydał: „Narzekanie Smutnei Matki Corony Polskiei“ (7 ark. w 8-ce) w którém przedstawiając rozmaite pu-

bliczne klęski (napad Tatarów, niezgodę itp.) jako karę za występki, pobudza do poprawy i do miłości dla rzeczypospolitéj. Czwarte pismo bez daty, w Królewcu téż wydane ma tytuł: „Rozmowa krótka a prosta o niektórych ceremoniach i ustawach kościelnych“ (4 ark.). Rozmowę tę prowadzi student, wracający z Wittenbergi ze swemi rodzicami, plebanem miejscowym i niektóremi innemi osobami, piętnując w niéj jako przesądy obrządki kościelne katolickie (1). Wszystkie te cztery pisma zarówno treścią jak i formą zostają w ścisłym związku z dyalogami Reja i Korczewskiego. Ten drugi zapożyczył prawdopodobnie pomysł swych rozmów od Seklucyana, wprowadza bowiem w nich również studenta syna kmiecego, który wróciwszy z Wittenbergi, prowadzi dysputę z rodzicami po polsku a z plebanem po łacinie. Widownią dyalogu jest wieś wielkopolska na pograniczu Prus, a więc strony znane dobrze i Seklucyanowi, pochodzącemu podobno z Bydgoszczy. Biografia Seklucyana i spis jego prac znajduje się w niemieckiém wydawnictwie z XVIII w. p. t. „*Preussische Sammlung*“ (T. III, 77 i nast.).

Drugi, nieznany niemal naszym historykom literatury i bibliografom, pisarz religijny i propagator luteranizmu, Jan Malecki (Maletius, Maeletius—nie wiadomo czy zwać go Małecki czy Malicki), pochodził wedle świadectwa z końca XVII w. z pogranicza Małopolski (*nobili ad Krakoviae fines genere ortus*). Przybywszy do Prus, ożenił się z Dorotą Kunicką i jako żarliwy luteranin, biegły w języku polskim, otrzymał miejsce pastora w Ełku (dziś miasteczko powiatowe, w Prusach wschod.), gdzie na udzielonym mu folwarku założył drukarnią w 1536 r. i z niéj wydał pewną ilość pism polskich z których „*multum lucis Poloniae regno illuxisse evangelio refulgente*“ (2). W 1557 ustanowiono w Ełku osobny dekanat i dziekanem (*archipresbiter*) został Jan Maletius. Syn jego Hieronim zawiadywał szkołą polską w Ełku (1546—1552), podniesioną w 1578 r. przez ks. Albrechta do stopnia szkoły średniéj, przygotowującéj do uniwersytetu królewieckiego. Druki łeckie, będące niewątpliwie pracami lub przekładami obu Maletiusów nie zostały dotąd odszukane. W bibliotece kurnickiéj znajduje się „Litania polska dla kościołów polskich księstwa pruskiego“ przez Jana Maeletiusa z uszkodzonym tytułem, będzie to prawdopodobnie druk łecki. Toż samo przypuszczać można co do dziełka z 1561 r. p. t. „Enchiridion kate-

(1) Pisański 211 i 212. Wobec prawdopodobnego zatracenia tego utworu Seklucyana, tém naglejszém byłoby przedrukowanie rozmów Korczewskiego (jedyny egzemplarz w bibliot. Czartoryskich), obfitujących w ciekawe rysy charakterystyczne stosunków wiejskich w Wielkopolsce i właściwości językowe. — (2) Pisański, 80.

chismus mały albo dziecinne kazania" (przełożone z niemieckiego przez Hieronima Maleckiego, pleb. łeckiego), które według Estreichera znajduje się w zbiorach Pawlikowskiego we Lwowie. Jedynym drukiem znanym, na którym wymienioną jest wyraźnie drukarnia łecka, jest początek (arkusz) niedokończonego wydania Nowego Testamentu w przekładzie Jana Maletiusa (Lyccae 1552). Przeważna część prac Maleckiego i druków łeckich zaginęła bez śladu. Drukarnia sama przestała być czynną widocznie, gdy koło połowy XVI wieku rozwinęły się drukarnie królewieckie. Tam drukuje od 1560 r. swe prace Hieronim Maletius, tłómacz polski ks. Albrechta, wreszcie starszy pastor w Ełku, gdzie umiera w 1584 r.

Pisma Hieronima są także wielką rzadkością; wiele początkowych zwłaszcza musiało zaginąć. Estreicher zna agendę pod tyt. „Ustawa albo porzad kościelny w Xięstwie pruskiem" (Królewiec 1560 i 1571), „Katechizm mały albo dziecinne kazania" (1561, 1593), „Katechizm większy" (defekt bez daty) i „Postylla domowa" (Królewiec 1574); przytacza téż pisemko p. t. „Oznajmienie i objawienie Boga" (Królewiec 1568) i drugi raz to samo zapewne p. t. „Maelecki, Oznajmienie i zaćmienia" Królewiec 1562, wreszcie rozprawę łacińską (o czci kozła w Sudawie?), którą podaje Estreicher jako utwór Jana Maeletiusa p. t. „Libellus de sacrificiis et idolatria veterum Borussorum" (1563 r.).

Jeżeli do wyliczonych powyżéj dołączymy wspomniany już kancyonał Brzozowskiego (1554), cały szereg polemiczno-religijnéj treści druków Lutomirskiego *(Confessio)*, Trzycieskiego *(De sacrosancti evangelii origine, progressu et incremento)*, liczne pisma Vergeriusa, wreszcie odrębną co do charakteru lecz duchem reformatorskim owianą pracę: Słownik łacińsko-polski Mączyńskiego (Królewiec 1563), musimy przyznać, że Królewiec w ciągu drugiéj i trzeciéj ćwierci XVI w. stanowi po Krakowie najruchliwsze ognisko polskiego życia umysłowego i religijnego, a nawet między 1540 a 1555 dorównywa małopolskiemu grodowi ilością i ważnością polskich druków. Jakkolwiek postępy kalwinizmu szerzącego się w Małopolsce i na Litwie powstrzymały propagandę luteranizmu po za obrębem Prus,—na co skarży się w jednéj z przedmów Seklucyan, jednakże to nie zmniejsza doniosłości usług oddanych sprawie narodowéj przez Seklucyana, Maleckich i ich następców. Wprowadzony przez nich do obrządków kościelnych i szkoły (szkoła polska w Ełku) język polski ocalił od wynarodowienia setki tysięcy mazurów pruskich i pociągnął śród niemieckiego lub zniemczonego mieszczaństwa licznych pracowników do zajmowania się historyą i literaturą polską, zbieraniem ksiąg i dokumentów, a wreszcie pra-

cami na polu literatury kościelnéj (kancyonały, postylle, katechizmy). Z pomiędzy trzech szkół prowincyonalnych, odpowiadających dzisiejszym gimnazyom, jedna w Ełku, przeznaczona była dla Polaków i obok przedmiotów ogólnych, dawanych po łacinie, miała wykład języka polskiego. W XVI w. było tu trzech nauczycieli *(rector, conrector, cantor)*, w 1635 dodano czwartego *(prorector)*, dzięki gorliwości byłego ucznia téj szkoły Baltazara v. Fuchs, który zapisał 10,000 marek, by procent od téj sumy użyty był na utrzymywanie specyalnego nauczyciela języka polskiego, mówiącego „czystą i poprawną polszczyzną", który to język, jak się wyraża testator, jest w tym kraju bardzo w „zwyczaju i w kościołach i szkołach niezbędny" (1). Jak długo śród protestanckiego mieszczaństwa utrzymywała się narodowość polska i jak długotrwały szeroki wpływ wywierała oświata niemiecka na życie umysłowe téj klasy, odgrywającéj tak ważną rolę w odrodzeniu umysłowém XVIII w., świadczy podany przez Pisańskiego wykaz studentów uniwersytetu królewieckiego z sierpnia 1744 r. W ogólnéj liczbie (1032) było według pochodzenia: 143 Prusaków z Królewca, 184 Niemców, 119 Polaków, 62 Litwinów, 13 Gdańszczan, 21 Elblążan, 17 Toruńczyków, 31 z innych miast Prus polskich, 17 Wielkopolan, 27 Szlązaków, 8 Łużyczan, 106 Pomorzan, 4 Rosyan, 2 Kozaków itd. Cała ta młodzież była przeważnie mieszczańskiego stanu (84 szlachty na 1032) i protestancką co do wyznania (991 luteranów, 21 reformow., 13 katolików, 6 greckiego obrz.). Jeżeli do 119 Polaków dodamy owych Wielkopolan, po części zaś synów mieszczan z Gdańska, Torunia i wogóle Prus polskich, może i niektórych Szlązaków i Pomorzan i Litwinów, to wypadnie nam co najmniéj 200 polskich mieszczan, studyujących jednocześnie w Królewcu. Kształcą się oni przeważnie na pastorów-pedagogów i prawników (591 teologów, 428 jurystów, 13 medyków).

III.

Na pierwszą połowę XVIII w. przypada nowe maximum wpływu kultury umysłowéj, rozkwitającéj podówczas w miastach Prus wschodnich i zachodnich.

W tym czasie, razem z setkami polskich mieszczan, na uniwersytecie królewieckim odbywa studya Kant, a wkrótce potém Herder (ur. w Morągu 1744).

---

(1) Pisański 264.

Te same warunki i czynniki, pod wpływem których rozwinęły się powyższe dwie potężne inteligencye, wykształciły cały legion uzdolnionych, sumiennych, a skromnych pracowników, których działalność pedagogiczna i naukowa stanowiła doniosły a nieuwzględniony należycie czynnik w naszém odrodzeniu umysłowém XVIII wieku. Ta mieszczańska inteligencya Prus i pobliskich prowincyj spełnia w życiu duchowém społeczeństwa polskiego funkcyą, do któréj inteligencyi szlacheckiéj nie uzdolniała ni szkoła, ni warunki życia. Wprawdzie światlejszym umysłom szlacheckim w XVII w. nie były obce pewne wiadomości z matematyki, astronomii, fizyki, geografii, historyi i t. p., czerpane z książek lub nabywane drogą rozmowy; wiadomości te jednak wytwarzały w umysłach bezładny aglomerat pojęć nieuporządkowanych i rzadko branych pod rozwagę. Szkoły polskie nie dostarczały umysłom usystematyzowanych wiadomości i nie zaznajamiały z metodami pracy naukowéj. Życie samo dostarczało niewiele warunków, pod których wpływem mogłoby się wyrobić pojęcie porządku i systematyczności, jako podstaw pracy umysłowéj i działalności praktycznéj. Jedyną czynnością, mogącą wprowadzić do umysłów te pojęcia i uwydatnić ich doniosłość, była praca rolnicza, któréj porządek opierał się na stałych i dość jednostajnych procesach fizycznych, a materyalne bezpośrednie korzyści służyły za skuteczny bodziec ku przestrzeganiu niezbędnéj systematyczności. Praca rolnicza była niewątpliwie ważnym czynnikiem w rozwinięciu zdolności umysłowych szlachty polskiéj w XVI w. Korzystanie z bogactw przyrodzonych gleby, wyrażające się w zakładaniu folwarków, produkcyi zboża i bydła, w wyzyskiwaniu lasów i mineralnych skarbów w smolarniach, hutach i t. p., wymagało bacznéj obserwacyi warunków fizycznych i stosowania pracy ludzkiéj do rezultatów téj obserwacyi. Rozwinięte w walce z naturą zdolności obserwowania, kombinowania własnych spostrzeżeń i wyprowadzania wniosków, w połączeniu z osiąganym przez pracę dobrobytem przygotowały grunt dla rozwoju samoistnéj działalności na innych polach, wytworzyły popęd do kierownictwa sprawami publicznemi i nierozłączną ze zdolnościami obserwacyjnemi skłonność do krytykowania istniejących stosunków zarówno politycznych jak i kościelnych. Ztąd wyszedł współczesny prawie ruch polityczny i religijny—dążenie do udziału w kierownictwie spraw państwowych i kościelnych i zreformowania obu instytucyi. Przyzwyczajona przy zajęciach rolniczych do rachowania się z czynnikami materyalnemi, poddającemi się energii fizycznéj i zapobiegliwości doświadczonego rolnika, otrzymując w krótkim stosunkowo czasie realizacyą swych zamiarów i pożą-

dane rezultaty ulepszeń i wyłożonéj pracy, szlachta polska z wielką skwapliwością i zapałem rzucała się do działalności reformatorskiéj w państwie i kościele, lecz zużywała swą energią najczęściéj na burzenie tego, co istniało, i rozprawianie o tém, co być powinno. Nie znając, nie domyślając się nawet siły tych niewidzialnych czynników duchowych, z którymi tu trzeba było się rachować, nie umiała ona ani zorganizować swéj działalności, ani skutecznie walczyć z napotykanemi siłami.

Im więcéj celów stawiamy sobie w życiu i im wyższe i donioślejsze są te cele, tém bardziéj obmyślaną, skomplikowaną i usystematyzowaną musi być nasza działalność. Szlachta polska choć sprzyjała gorąco reformacyi, ale w sympatyi swéj kierowała się więcéj materyalnemi niż moralnemi pobudkami, więcéj uczuciem niż jasnemi pojęciami, ztąd okazuje wiele energii w walce z duchowieństwem katolickiém, w oczyszczaniu kościołów, wprowadzaniu nowych obrządków, lecz gdy przychodzi jéj zorganizować nowy kościół i współudziałem swym popierać byt i rozwój instytucyi, wtedy występuje na jaw cała niedojrzałość duchowa ogółu szlachty. Ani bracia czescy, przyzwani jako organizatorowie i instruktorowie, ani Łaski, ani rozliczni cudzoziemcy nie mogą zapewnić żywotności nowéj instytucyi dla słabnącego współudziału członków. W życiu publiczném podobne widzimy zjawisko. Wywalczywszy sobie olbrzymie swobody i przywileje, nie umie szlachta ich używać. W rozwoju życia kościelnego czy państwowego główną rolę odgrywają czynniki duchowe, których zorganizowanie zależy od stopnia rozwoju duchowego jednostek biorących udział w życiu danéj instytucyi. Dzieje reformacyi przekonywają nas, jak nawet w Małopolsce, w samém ognisku życia umysłowego XVI w., uzdolnienie do systematycznéj działalności zbiorowéj było mało rozwiniętém, jak podporządkowanie pewnéj grupy pojęć, uczuć, czynności, pod ogólnie przyjęte normy, systematyczne spełnianie dobrowolnie przyjętych zobowiązań było trudném dla małopolskiego szlachcica, podziwiającego pod tym względem, jako wzór niedościgniony organizacyą braci czeskich. Cóż dopiéro będzie, gdy w życiu publiczném wezmą udział setki tysięcy szlachty, któréj umysłów nie oświecały promienie humanizmu, nie uszlachetniały podniosłe aspiracye reformacyi, szlachty, która często nie przechodziła nawet téj praktycznie kształcącéj szkoły, jaką stanowiła wydoskonalona od paru wieków praca rolnicza.

Systematyczna praca umysłowa ma w XVI wieku przedstawicieli prawie wyłącznie w mieszczanach. Kopernik, Struś, Oczko, Kromer, Modrzewski, Gliczner, Heidenstein stwierdzają tę wszędzie

spotykaną łączność między systematycznością zajęć życia miejskiego (nauczycieli, lekarzy, kupców i przemysłowców), a uzdolnieniem jednostek do prac naukowych. W miarę tego jak nienormalny rozwój stosunków społecznych, ekonomicznych i życia politycznego stłumi pomyślny rozwój miast polskich, na wiele lat jeszcze przed wielkim kataklizmem połowy XVII wieku, życie umysłowe mieszczaństwa polskiego gasnąć będzie powoli i wyda ostatni swój błysk w grupie lwowskich poetów z początku XVII wieku. Rzecz naturalna, iż przetrwa ono i rozwijać się będzie dalėj tam tylko, gdzie odrębne, pomyślne warunki zabezpieczą mieszczaństwu dobrobyt materyalny i umożebnią swobodne zaspokajanie potrzeb duchowych. Warunki te posiadać będą teraz jedynie miasta Prus (królewskich i książęcych), a w części niektóre z miast wielkopolskich. Gdy z jednėj strony wojna 30-letnia wywoła napływ do Prus wschodnich a zapewne i zachodnich, zarówno uczącėj się młodzieży (do Królewca), jak i dojrzałych przedstawicieli inteligencyi niemieckiėj, szukających tu spokojnego kawałka chleba, to znowu wojny kozackie i szwedzkie, przez ruinę ostateczną miast i mieszczaństwa polskiego na całym obszarze Rzeczypospolitėj otworzą inteligencyi i przemysłowcom miast pruskich mnóstwo stanowisk do zajęcia tak dobrze w Warszawie, jak Poznaniu, Wilnie, Lublinie i mniejszych miastach. Zcudzoziemczenie a przeważnie zniemczenie miast polskich w XVIII w. poprzedzi znacznie tę falę niemiecką, która panowanie pruskie wprowadzi w końcu zeszłego stulecia. Przybysze ci jednak, nie mając sami poczucia swėj niemieckości, uważając się za Prusaków, albo tėż Gdańszczan, Elblążan, Torunian i t. p., szybko dość zespalali się z nowymi siedzibami i społeczeństwem, które potrzebując ich usług. wynagradzało im hojnie pracę i uzdolnienia. Nietylko przemysł i handel lecz i życie umysłowe w miastach większych, zwłaszcza praca naukowa, zawdzięcza swe odrodzenie w połowie XVIII w. udziałowi tych prusko-niemieckich przybyszów i Polaków wychowanych w szkołach pruskich.

Chcąc bliżėj się zapoznać z życiem umysłowėm w takiėm ognisku, jakim był Królewiec, rozpatrzmy się w kolejach samego Pisańskiego.

Pierwszym pokarmem dziecięcych umysłów tak dobrze Kanta, Herdera, jak Pisańskiego — rówiennika Kanta i syna pastora, podobnie jak młodszy o 19 lat Herder — była grupa pojęć pietystycznych, zaszczepionych w domu rodzicielskim przez nasiąknięte niemi otoczenie i bogatą literaturę dziecinną w tym kierunku. Szkoła umacniając i rozwijając te pojęcia i uczucia, a wraz z niemi i na ich gruncie miłość i posłuszeństwo dla władzy, ujarzmiała popędy

wyobraźni i temperamentu, wdrażając do powagi systematycznéj zarówno w licznych praktykach religijnych, jak i studyach humanistycznych, zostających w dość ścisłym związku z teologią i owianych duchem pietyzmu.

Pisański urodził się w Piszu (Johannisburg) w 1725 r. Nazwisko świadczy o polskiém pochodzeniu rodziny, w któréj zapewne znajomość języka ojczystego utrzymywała się mimo braku uczuć polskich. Potęga pietyzmu służyła za wyborny cement spajający duchowo różnoplemienną ludność państwa pruskiego. Wzmagająca się kultura umysłowa pociągała umysły ku jéj ognisku królewieckiemu, w którém język niemiecki zaczyna rugować coraz więcéj łacinę z piśmiennictwa, przez co oświata ztąd szerzona prowadzi za sobą i mimowolne niemczenie. Pisański choć uważa się tylko za Prusaka, a za ojczyznę swą Prusy wschodnie, przejdzie w końcu życia od łaciny, którą się w pracach posługiwał, do niemczyzny.

Wpływ wychowania szkolnego był potężnym, bo zaczynało się ono niezmiernie wcześnie i zostawało w zupełnéj harmonii z wpływami domowemi. Od czwartego roku życia uczęszcza przyszły uczony do szkoły w Piszu i spędza w niéj 12-cie lat, następnie 1½ roku w Węgoborku (Angerburg), gdzie rektorem jest jego wuj pastor Helwing. Dziad Pisańskiego, proboszcz i badacz przyrody Andrzéj Helwing zaznajamia go z rozmaitemi gałęziami nauk i metodami badania. Od 1742 do 1748 studyuje na uniwersytecie w Królewcu, uposażony w szczupłe stypendyum (20 talarów). Przygotowując się do zawodu duchownego, słucha przedewszystkiém licznych wykładów teologii, a prócz tego studyuje filologią, matematykę, fizykę. Dni całe przesiaduje po bibliotekach publicznych i prywatnych i za przykładem swych mistrzów czyta i czyni systematyczne wyciągi i streszczenia. Wzorem i ideałem młodego studenta jest uczony teolog Lilienthal, który w swoich pracach (*Biblischer Archivarius* i t. p.) mógł wyliczać na tyciące dzieła, które przeczytał, by się posiłkować niemi w swych studyach. Większą część tych dzieł posiadał on w swym zbiorze.

Późniejsze koleje życia tego pobożnego móla książkowego przedstawiają tylko naturalny rozwój tych w części odziedziczonych zapewne, a w części wyrobionych przez wychowanie właściwości umysłowych i moralnych. Z pietyzmem ukazującym mu w każdéj zmianie w jego losach „palec Opatrzności", zsyłającéj bez „wiedzy i przyczynienia się młodego teologa posady, awanse i odznaczenia, łączy on serwilistyczną uniżoność względem starszych, dobroduszną uprzejmość i łagodność w stosunkach z uczniami, niezmordowaną pracowitość, erudycyą popartą przez wybornie wyćwiczoną pamięć

i łatwość słowa, płynącego mu z ust „jak woda.“ Zacząwszy swój zawód od stanowiska młodszego nauczyciela w staromiejskiéj szkole w Królewcu, dotarł do katedry uniwersyteckiéj, na któréj mógł zwiększać swe różnokierunkowe oczytanie, gdyż wykłada tu cały kurs filozofii, łacińską retorykę, miewał odczyty z historyi powszechnéj, historyi Prus, a wreszcie uzyskawszy w 1773 r. stopień doktora teologii, wykłada encyklopedyą teologiczną, dogmatykę, etykę, historyą kościoła. Jest członkiem „królewskiego niemieckiego towarzystwa“ poetów królewieckich i spełnia funkcyą urzędowego wierszopisa, uświetniającego wszystkie szkolne, miejskie i krajowe obchody i wypadki łacińskiemi i niemieckiemi wierszami. Umiera w 1790 r. na stanowisku radcy konsystorskiego, uczczony okazałym pogrzebem. Pozostałość piśmiennicza obejmuje prócz 20 mów, 105 łacińskich i 55 niemieckich okolicznościowych poezyi, 108 prac uczonych. Najobszerniejszą i najważniejszą z nich jest owa Historya piśmiennictwa pruskiego, nad którą pracował około 30 lat. Najwybitniejszą cechę umysłowéj działalności kół, w których żył Pisański, stanowi kolekcyonowanie nie tyle namiętne ile wytrwałe, rozciągające się zarówno na wszelkiego rodzaju materyalne zabytki jak i na piśmienne świadectwa, obejmujące tak dobrze szczegóły z otaczającéj natury i dziejów własnego kraju jak i z odległych stron, czasów i ludów.

Ta forma pracy umysłowéj ma licznych przedstawicieli już w XVII w. Loeselius zbiera rośliny z okolic Królewca i kolekcyą swą (761 gatunków) opisuje w dziele: „*Plantae in Borussia sponte nascentes*“ (Królewiec 1654); Michał Titius zbiera również zielnik roślin pruskich i wydaje katalog roślin ogrodu książęcego w Królewcu (1). Bursztyn, jako specyalny produkt wybrzeży Bałtyku, budzi zajęcie kolekcyonistów i uczonych pruskich, którzy mu poświęcają cały szereg rozpraw. Niejaki Hartman, lekarz i przyrodnik pruski, zgromadziwszy więcéj niż tysiąc różnorodnych okazów bursztynu, zbadawszy zarówno pokłady ziemi, w kopalniach tego produktu jak i warunki, w jakich bywa wyrzucany przez morze, pomieścił rezultaty swych obserwacyi w obszerném dziele, ogłoszonem 1677 r. we Frankfurcie.

Inni zbierają minerały, osobliwości natury, narzędzia fizyczne, i astronomiczne. Najznakomitszymi przedstawicielami pracy naukowéj śród mieszczaństwa miast pruskich i związanego z nimi ściśle niemiecko-polskiego mieszczaństwa zachodnio-północnego pogranicza Wielkopolski są: Jonston i Hewelius. Nieznajomość właściwych

(1) Współcześnie w Gdańsku (1652) wydaje Michał Bernitz, lekarz nadworny Jana Kazimierza, łaciński katalog roślin z ogrodów królewskich i okolic Warszawy.

metod badania i trudności w zbieraniu okazów w kraju, dość ubogo przez naturę wyposażonym, zwróciły zbieraczów i badaczów przeważnie ku kolekcyom i studyom opartym na piśmiennych źródłach i świadectwach. W pałacu książęcym istnieje biblioteka, któréj dał początek założyciel państwa ks. Albrecht. Bogate oprawy (srebrne blachy z wytłoczonemi ozdobami) pozostały świadectwem uznania tego księcia dla umysłowych skarbów, jakie w zbiorze swym zgromadził.

Następcy jego zwiększają ciągle ten zbiór i utrzymują stale bibliotekarzy. W XVII w. stanowisko to zajmuje między innemi Marcin Sylwester Grabe, późniejszy superintendent Pomorza. Zapalony ten biblioman i erudyt zebrał własny księgozbiór liczący 6000 książek. Wszystkie te dzieła przeczytał i zaopatrzył przypiskami objaśniającemi tekst, wskazującymi odnośne do danych miejsc źródła, powpisywał sądy krytyków o każdéj książce, poprostował błędy drukarskie i autorów. Między następcami jego spotykamy trzech z nazwiskami polskiemi: Grabovius, Kowalewski (1720—21) Gorajski (1725—66) a wreszcie wielką postać Immanuela Kanta (1766—71). Obok książęcéj istnieje bogata biblioteka uniwersytecka, liczne księgozbiory szkolne, kościelne, miejskie ciągle zbogacone i użytkowane. Najciekawszym jednak pojawem są liczne prywatne księgozbiory tworzone najczęściéj z pewną specyalną dążnością i planem. Szereg ich rozpoczynają zbiory rodziny Wallenrodtów. Kanclerz Marcin von Wallenrodt dał im początek zebrawszy do 3000 dzieł i rękopisów a przy tém wiele rozmaitych rzadkości. Choć pożar pochłonął to wszystko w 1623 r., mimo to na nowo zaczął on zbierać i prowadzenie dalsze téj pracy zalecił swym synom. Obok biblioteki powstały zbiory monet, medali, obrazów. Przy końcu XVII w. pomieszczono te zbiory w specyalnym lokalu, ustanowiono stałego nadzorcę a następnie otworzono je na użytek pracujących. Z długiego szeregu (36-u) opisanych przez Pisańskiego prywatnych księgozbiorów królewieckich wymienimy tu niektóre ważniejsze.

Samuel Ernest Tschepius, pod-bibliotekarz zbiorów Wallenrodta, zbiera przeważnie polskie rękopismy i książki, odnoszące się głównie do historyi polskiéj i nie szczędzi podróży, kosztów i korespondencyi dla zdobycia jakiejś rzadkości. Załuski, bawiąc w Królewcu, oglądał zbiory Tschepiusa i znalazł mnóstwo ksiąg, jakich nie posiadał i o jakich nawet nie wiedział. Rozmiłowany w swych rzadkościach zbieracz nie chciał sprzedać napierającemu się ich Załuskiemu, tymczasem pożar (1761 r.) zniszczył wraz z domem całą kolekcyą. Na podstawie swych zbiorów napisał Tschepius obszer-

ną rozprawę o bibliach polskich, pomieszczoną w „*Preussische Zehenden*“ wychodzących w Królewcu (1740—44). Stoben, adwokat przy akademii, posiada zbiór bogaty historyków polskich, radca miejski i handlowy Liedert († 1776) zbiór druków, rękopismów, dokumentów odnoszących się do historyi Prus, Polski, Kurlandyi i Inflant. Były tu rękopismy kronik, dyaryusze sejmów, zbiory listów, genealogie rodów szlacheckich i mieszczańskich, zbiór map, rycin herbów, monet i medali. Zbiór ten został rozprzedany po śmierci właściciela. Uczony teolog królewiecki, Michał Lilienthal, posiada zbiór, o którym tak się sam wyraża (w 1740 r.): Do wielu dobrodziejstw, któremi mnie, niegodnego sługę Bóg obsypał, zaliczam mój księgozbiór. Upłynęło już 30 lat, jakem za moich lat studenckich zaczął go tworzyć od pierwszego świstka. W czasie pobytu na akademiach zagranicznych i w podróżach pomnażałem ciągle to *apparatum* i w 1711 r. sprowadziłem do ojczyzny. Pierwotnie interesowała mnie literatura, filologia, krytyka, historya i inne *studia humanitatis*... Odkąd mnie niepojęty wyrok boski w 1715 r. wbrew moim zamiarom i przewidywaniom powołał na urząd predykanta, zacząłem zbierać księgi potrzebne dla swoich zajęć.“ Chcąc znać wszystko, co się do teologii ściągało, gromadzi z usilnością wszystkie ateistyczne, socyniańskie, naturalistyczne i wogóle zakazywane dla antyreligijnych poglądów książki. Cały ten zbiór opisuje on szczegółowo z podaniem wiadomości bibliograficznych, treści, oceny własnéj i sądów innych krytyków—w trzech oddzielnych dziełach: „*Biblisch exegetische Bibliothek*“ (1740) „*Theologische Bibliothek*“ (1741) i „*Fortgesetzte theologische Bibliothek* (1744). Jest on również wydawcą naukowego czasopisma: „*Erleutertes Preussen*“ (Królewiec 1723 do 1728, 8 tomów po 800 str.) zawierającego wiele prac odnoszących się do rzeczy polskich. Profesor teologii Salthemus ma 22,000 ksiąg, w tém 300 biblii, 1500 dzieł do wykładu biblii się odnoszących, 7,500 w dziale historyi kościelnéj i politycznéj. Rzadkości same w liczbie 3202 opisał on w obszernym drukowanym katalogu (1751 r. 21 ark.) podając o każdéj książce wiadomości, zdania i anegdoty. Prócz ksiąg miał zbiór rękopisów hebrajskich, arabskich, syryjskich starosłowiańskich, ruskich. Inny prof. teologii Quandt ma 8000, Moldenhawer, także profesor i teolog, ma do 3000 samych rzadkości. Zbiór ten zniszczył pożar w 1764 r. Nie zbywało też na księgozbiorach poświęconych naukom przyrodniczym i na zbiorach przyrodniczych. Zarówno duchowni i profesorowie jak miejscy dygnitarze zbierają zwierzęta, ptaki, ryby, owady, jaja, pióra, rogi, skóry, włosy, nasiona, owoce, próby drzew, minerałów, metali, soli, bursztyn a także narzędzia astronomiczne, fizyczne, mapy itp. Przy

podobnych warunkach znajdujemy podobnych ludzi z temi uzdolnieniami i upodobaniami w Gdańsku, Elblągu, Toruniu. Tym pracownikom zawdzięczamy utorowanie drogi, dla systematycznéj pracy nad dziejami i literaturą polską. Zacząwszy od Heidensteina, najświetniejszego przedstawiciela historyografii polskiéj w XVI wieku, spotykamy na początku XVII małéj wartości kompilatora Neugebauera, który na podstawie Kromera napisał po niemiecku historyą Polski (1611 r. 2 tomy), daléj Joachima Pastoriusa (Hirtenberg), którego „*Florus polonicus*“ (Gdańsk 1641) rozszedł się w licznych wydaniach po całéj Europie, Wassenberga historyka czasów Jana Kazimierza, wreszcie Hartknocha, który w obszernéj i gruntownéj pracy przedstawił cały układ polityczny Rzeczypospolitéj (*De republice Polonica. Jena* 1687 r.—1049 str.). Na początku XVIII w. wychodzi w Lipsku pierwsze zupełne wydanie kroniki Długosza a przy niéj i Kadłubka oraz pierwsza praca o historyografii polskiéj Samuela Hoppiusa „*De scriptoribus historiae polonicae*“, wydana pierwotnie w Gdańsku 1707 a powtórnie z poprawkami Walent. Schlifa rajcy i Gabryela Grodka prof. gdańskiego. Gdańsk i Elbląg stają się widownią gorliwéj pracy nad przeszłością polską i żarliwego zbierania zabytków téj przeszłości. Liczne księgozbiory umożebniają te prace. Godfryd Lengnich rozpoczyna w 1718 r. wydawać czasopismo „*Polnische Bibliothek*“ (10 zeszytów), poświęcone rozbiorowi dzieł odnoszących się do historyi Polski i Prus, a następnie ogłosi swą główną pracę: „*Historia polona a Lecho*“ (1740) i wyda kronikę Galla (Gdańsk 1754). Tu w 1740 r. wyjdzie pierwsza historya drukarni polskich przez Hofmanna prof. w Elblągu, tu Olof ogłosił w 1744 r. swą uczoną historyą poezyi religijnéj polskiéj: „*Polnische Liedergeschichte*“ a Ringeltaube kaznodzieja w Elblągu: „*Nachricht von den polnischen Bibeln*“. Jak szeregowi prac nad historyą polską możemy przeciwstawić dopiero dzieło Naruszewicza (1780 r.), tak licznemi dziełami Niemców, poświęcanemi bibliografii i literaturze polskiéj, możemy dopiero porównywać prace Bentkowskiego, Lelewela, Bandtkiego, bo Jabłonowskiego i Załuskiego (*Museum polonium i Bibliotheca poetarum*) przedstawiają się co do metody i układu bardzo niedołężnie a Janocki, mistrz bibliografii XVIII w., należy właściwie do grupy niemiecko-polskich uczonych.

Pośredni wpływ oświaty niemieckiéj możemy téż upatrywać w fakcie, że pierwsi polscy samoistni pracownicy na polu nauki (Staszyc, Śniadeccy, Surowiecki) wychodzą ze sfer wielkopolskiego mieszczaństwa. Czacki, choć rodem z Wołynia, jest potomkiem staréj wielkopolskiéj rodziny i co ważniejsza, wychowuje się w Gdańsku. Jeżeli do powyższych nazwisk dołączymy Linde'go, Grodka,

Lelewela, Bandtków—to wyczerpiemy szereg wydatniejszych przedstawicieli metodycznéj pracy naukowéj w początkach jéj odrodzenia w pierwszych dziesiątkach naszego stulecia i stwierdzimy nietylko nazwiskami i pochodzeniem tych uczonych ale metodą ich pracy, wzorami i źródłami, jakiemi się posługują, przeważny wpływ nauki niemieckiéj. Tak więc nawet w zakresie pracy nad własnemi dziejami byliśmy i dotąd przeważnie jesteśmy uczniami Niemców, niemieckim uczonym zawdzięczamy dwa najgruntowniejsze na tém polu dzieła (Historyografia polska—Zeissberga i Dzieje Polski—Roepell-Caro). Historycy naszéj literatury zajmują się głównie uwydatnieniem wpływu, jaki na odrodzenie życia umysłowego wywarła w XVIII w. filozofia i literatura francuska. Wpływ ten, występujący tak wydatnie w utworach najznakomitszych poetów i publicystów a przytém w życiu, w obyczajach dworu i wyższych klas społeczeństwa, przyćmiewał swym blaskiem cichą pracę zbieraczów i szperaczów, działalność nauczycielską i naukową grona ludzi, którzy wystąpią na widownię wtedy dopiero, gdy zniknie dwór królewski i jego błyszczące otoczenie, gdy zamilkną publicyści a w części i poeci wraz z zamknięciem areny życia publicznego.

Historya literatury powinna wyznaczyć wpływowi niemieckiemu jako ważnemu czynnikowi w rozwoju naszego życia umysłowego w zeszłém i obecném stuleciu miejsce odpowiednie jego doniosłéj roli w naszém wykształceniu naukowém i owocom, jakie wydał w zakresie pracy nad naszą przeszłością.

Bronisław Chlebowski.





KOMISYA FIZYOGRAFICZNA
W KRAKOWIE.

Dwadzieścia lat minęło od chwili zawiązania w Krakowie Komisyi fizyograficznéj, t. j. towarzystwa, mającego na celu szczegółowe badanie stosunków przyrodniczych kraju. Od 1865 r. grono członków téj komisyi nie ustało w pracy, któréj owocem są bogate zbiory, obfite materyały naukowe i dwadzieścia tomów rozpraw, publikowanych jako „Materyały do fizyografii krajowéj." Doniosłość zadania komisyi powinna skłonić szerokie koło do zainteresowania się jéj losami, zaś ogrom dokonanéj już dziś pracy skłonił podpisanego do przedstawienia czytelnikom historyi wspomnianego towarzystwa i wyników działalności jego. Jak jest ona wielką, pojmie każdy, gdy porówna to, co dziś wiemy o ziemi naszéj, z tém, co wiedziano, a raczéj nie wiedziano o niéj przed laty dwudziestu.

Żywy ruch przyrodniczy, jaki znamionuje drugą połowę wieku oświecenia, wywołał natychmiast w Polsce szereg usiłowań, podjętych w celu poznania przyrody naszéj. Ale klęski domowe nie sprzyjały rozwojowi nauk. Najgorzéj pod tym względem działo się w Galicyi. Warszawa, Wilno, Krzemieniec kształciły młodych przyrodników, rozwijały u młodzieży poczucie potrzeby znajomości przyrodniczéj kraju. Inaczéj Galicya. Katedry uniwersytetów w Krakowie i Lwowie zajęte były przez Niemców, niemających sympatyi u uczniów i niestarających się o nią. A chociaż ten lub ów pracował na polu naukowém, to praca ta bywała zwykle niezupełną, niewykończoną, bo brakło w kraju muzeów, któreby gromadziły zbiory przyrodnicze, brakło naukowych towarzystw, rozwijających zamiłowanie do nauki, a popierających usiłowania nielicznych jednostek, brakło wreszcie téj swobody języka, która jeżeli nie zupeł-

nie konieczną, to jednak jest bardzo potrzebną do należytego rozwoju nauk.

Brakom tym dał poraz pierwszy najdobitniejszy wyraz Wincenty Pol. Za mało są znane zasługi W. Pola około rozbudzenia ruchu przyrodniczego w Galicyi, a rzucają one niezwykle sympatyczne światło na autora pieśni Janusza. Zachęca on jednych, popiera innych, stara się skupić wszystkich, którzyby badania przyrodnicze czynić chcieli, a sam jest przykładem dla nich, gdy z barometrem w ręku, w towarzystwie Łobarzewskiego, Altha lub swoich uczniów zwiedza te okolice Galicyi, o których wówczas nic nie wiedziała nauka, gdy w „obrazach z natury“ opisuje malowniczo nieznane góry i bory. Nie przyszło mu to bez trudu i przykrości, których doznał jak każdy nowator. Żali się on w jednym z listów do żony z 1840 roku: „Uważają mnie niektórzy literaci i nieliteraci za renegata, że pracuję w zawodzie nauk przyrodniczych i nasyłają na mnie nudne obywatelstwo, protestując przeciw pisaniu geografii, a żądając, żebym pisał wiersze; powiadają dziś, iż nauki przyrodnicze, mające jedynie na celu korzyść materyalną, są wstecz przeciwne i nieprzyjazne narodowym dążnościom.“ Nie zważa jednak na protesty, a czując gorąco, czego najbardziéj brakuje krajowi, podaje 1847 r. w *Czasopiśmie Biblioteki Ossolińskich* projekt założenia „Muzeum natury we Lwowie“, którego potrzebę gruntownie uzasadnia, kierunek badań wskazuje i zbiera w jedną całość wszystko, co dotychczas na polu fizyografii Galicyi zrobiono. Atoli śród wypadków 1848 r. zapomniano o projekcie Pola, a w latach następnych mniéj jeszcze, niż poprzednio widać było ruch przyrodniczy w naszéj prowincyi. Jeszcze w 1860 roku ówczesny prezes Towarzystwa naukowego, a dzisiejszy Akademii d-r J. Majer podnosi na publiczném zebraniu, że udziałem prac przyrodniczych była u nas dotąd „jeśli nie wzgarda, to lekceważenie.“

Tak nieprawidłowy stan rzeczy nie mógł być długotrwałym. W miarę coraz większych postępów nauk przyrodniczych i w miarę coraz szerszego krzewienia się oświaty zmienić się on musiał na lepsze. Zasługę przeprowadzenia téj zmiany na lepsze w Galicyi przyznać należy w znacznéj części trzem mężom: Włodzimierzowi Dzieduszyckiemu, Franciszkowi Herbichowi i Józefowi Majerowi. Pierwszy z nich, słusznie mecenasem nauk zwany, jest twórcą Muzeum przyrodniczego we Lwowie. Myśl wypiastowaną przez Wincentego Pola doprowadził on do skutku własną pracą i majątkiem. Działalności dwu drugich zawdzięcza Komisya fizyograficzna swe istnienie.

Franciszek Herbich (ur. 1791), z pochodzenia wiedeńczyk, lekarz wojskowy, zwiedził ze swym pułkiem połowę Europy. Przerzu-

cany z Wiednia do Francyi, ztamtąd do Włoch, gdzie zwiedza 27 razy Wezuwiusz, przybywa 1825 roku do Galicyi, a stąd udaje się w 1834 do Czerniowiec. Pracowity, pełen nauki i zapału botanik starał się usilnie o rozbudzenie ruchu fizyograficznego w Galicyi. Aby dać miarę człowieka, wspomnę, że gdy mu chodziło o odszukanie jakiéj rzadszéj rośliny, własnoręcznie ją rysował, obszernie (na kilku nieraz kartkach) opisywał i setki takich rysunków i opisów rozsyłał po całym kraju. Dochodziły one księży, urzędników, aptekarzy, lekarzy, nauczycieli, wzywały do poszukiwań i często wydawały pożądane owoce. Ale nie wydawały tak wielkich i licznych, jak tego pragnął Herbich. Odwracano wtedy z niechęcią oczy od świata otaczającego, kusiła poezya, nęciła historya minionych a świetniejszych czasów. Na tę obojętność dla przyrody gorzko żalił się Herbich. W jednéj z takich kart, o jakich wspomniałem, opisał dokładnie sposób zbierania pewnéj rzadkiéj rośliny, wyraża jednak w końcu wątpienie, by kto zadał sobie tyle trudu. „W Galicyi kwitnie tylko historya, archeologia, poezya; dla przemysłu, dla nauk przyrodniczych nie mają tutaj, ani zmysłu, ani zamiłowania“ dodaje. A jednak zdołał pobudzić kilkunastu ludzi w różnych stronach Galicyi do badań miejscowéj flory, udzielał im pomocy naukowéj i sam korzystał z ich spostrzeżeń. Dodać przecież należy, że byli to w przeważnéj części osiadli u nas Niemcy. W 1855 r. przesiedlił się Herbich z Czerniowiec do Krakowa, rozszerzył koło swych współpracowników, pobudzał młodych adeptów nauki i wspierał ich swą pomocą.

W Krakowie istniało od 1816 r. *Towarzystwo naukowe*, początkowo z uniwersytetem związane. Dla nauk przyrodniczych nie uczyniło ono przez lata długie nic zupełnie. Dzieli to się na trzy oddziały: 1) oddział nauk moralnych, 2) sztuk i archeologii i 3) nauk przyrodniczych, ścisłych i lekarskich, ale oddział trzeci był śród nich „sierotą“, któréj nikt nie dawał pomocy i na którą nikt nie zważał. Tak było mniéj więcéj do roku 1860, t. j. do chwili, gdy po ustąpieniu kasztelana Franciszka Wężyka, prezesem Towarzystwa został ówczesny profesor fizyologii uniwersytetu Jagielońskiego, d-r J. Majer. Jego zasługą jest rozbudzenie ruchu przyrodniczego w Towarzystwie, które poprzednio było raczéj archeologiczném, aniżeli ogólnie naukowém. W programowéj mowie, wypowiedzianéj przy objęciu przewodnictwa dnia 25 lutego 1860 r. czytamy: „Zrozumiejmy to wreszcie, że gdzie nie przykłada się ręka do uprawy tego pola (t. j. przyrodniczego) nauk, tam zaciąga się ciężki dług wobec postępu oświaty, bo zostawia się próżnia w takiém właśnie miejscu, z ktorego ludzkość winna odnosić korzyści, za-

dném innėm wysileniem ducha zastąpić się niedające. Kraj nasz, jak gdyby wysilony zdobyciem się na kilka pierwszorzędnych potęg, pozostał w tyle, dał się o wiele prześcignąć postronnym i w otrętwieniu stracił niemal poczucie swego obowiązku.“

Jedną z pierwszych myśli nowo obranego prezesa było wypracowanie „powszechnéj polskiéj ziemi fizyografii“, a pierwszy krok ku temu celowi uczynił on sam, opracowaniem „Literatury fizyografii ziemi polskiéj“ do roku 1861. Już w 1860 roku postanowiono utworzyć w łonie Towarzystwa komisyą pod nazwą fizyograficznéj, któréj zadaniem ma być „opisanie ziemi polskiéj pod względem wszelkich przyrodniczych własności, jako to: jéj położenia, topografii szczegółowych okolic, klimatu, stanu meteorologicznego, geologii, flory i fauny.“ Myśl jednak nie musiała być popularną, skoro kilku lat potrzeba było do jéj urzeczywistnienia. W 1863 r. składa F. Herbich projekt działań takiéj komisyi, ale czas był znowu źle dobrany, oczy i uwaga wszystkich zwrócone gdzieindziéj. O wniosku Herbicha przypomniano sobie dopiéro w 1865 roku, i uchwalono jednomyślnie utworzenie komisyi dla wspomnianego wyżéj celu. „Do składu tejże zaproszono tymczasowo członków Towarzystwa pp. Herbicha, Altha, Czerwiakowskiego, Czyrniańskiego, Sawiczewskiego, Karlińskiego, Kuczyńskiego i Żebrawskiego, zostawiając im wolność wybrania z pomiędzy siebie przewodniczącego i ułożenia porządku czynności, jaki za najwygodniejszy uznają, oraz zapraszania do udziału w posiedzeniach swoich osób do składu Tow. naukowego nienależących.“ Wspomniani członkowie Tow. naukowego zawiązali dnia 4 maja 1365 Komisyą fizyograficzną.

Pierwsze chwile rozwoju komisyi żywą budzą ciekawość. W protokółach ówczesnych posiedzeń, aktach i odezwach komisyi widzimy zapał, z jakim nieliczne grono badaczy starało się poruszyć i pozyskać dla swych celów ogół. Z drugiéj strony uwaga podtrzymana jest tą okolicznością, że kierunek nadany wtedy komisyi, zdecydował o przyszłych jéj losach, pomógł uzyskać wielkie stosunkowo wyniki, a z drugiéj stony krył już w sobie pewne nieprawidłowości, które komisyi dały się we znaki w następującém dwudziestoleciu i przeszkodziły osiągnięciu całkowitemu spodziewanych owoców.

Zrozumiano, że dla spełnienia szerokiego programu potrzeba ludzi i pieniędzy. Brakowało zaś jednych i drugich.

Za pomocą odezw publicznych zainteresowano ogół, za pomocą listów i zachęty prywatnéj wezwano do współpracownictwa wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób mogli być użyteczni. Wezwano nauczycieli, księży, lekarzy, aptekarzy, leśniczych, urzędni-

ków i właścicieli dóbr, a chociaż napotkano w niejednym wypadku jedynie odmowę, to jednak nie można się było żalić na obojętność. Na rozumne i serdeczne wezwanie do wspólnéj pracy dla dobra kraju liczni obywatele pośpieszyli ofiarować z dobrą wolą to, na co ich stać było. Po upływie roku miała już komisya 120 członków, rozrzuconych po wszystkich zakątkach Galicyi.

Pomyślano wtedy o podziale pracy i podzielono się na pięć odrębnych sekcyi, z których każda zajęła się badaniem innych stosunków kraju. Powstały sekcye: 1) orograficzno - geologiczna, 2) chemiczna, 3) meteorologiczna, 4) botaniczna, 5) zoologiczna.

Sekcye ułożyły sobie szczegółowe programata zajęć i wydały instrukcye dla swych członków. Zbierały się, ile razy zachodziła tego potrzeba, a na ogólném zebraniu komisyi, które odbywało się tylko raz lub dwa do roku, załatwiano jedynie sprawy całéj komisyi dotyczące, jak wybory prezesa i sekretarza, budżet i t. d. Wskutek urządzenia takich niezależnych od siebie sekcyi, historya komisyi jest właściwie sumą historyi pojedynczych sekcyi.

O pieniądze zwrócono się do sejmu we Lwowie. Wypracowany w tym celu memoryał wraz z prośbą przedłożył d-r Majer, wówczas poseł sejmowy, na posiedzeniu z dnia 10 lutego 1866, a już 28 marca t. r. zapadła następująca uchwała:

„Dla Komisyi fizyograficznéj w Krakowie przeznacza się stała aż do odwołania kwota 1,500 złr. rocznie, pod warunkiem, że z czynności komisyi ma być Wydziałowi krajowemu sprawa zdawana.“

Miała więc już komisya zapewnione współpracownictwo i zabezpieczony byt materyalny. To umożliwiło wydanie w 1867 roku pierwszego tomu Sprawozdań, mieszczącego w sobie oprócz instrukcyi dla badaczy, 19 prac naukowych i liczne spostrzeżenia meteorologiczne. Nie zobaczył go już F. Herbich zmarły 27 września 1865 roku.

Dalsza historya komisyi nie mieści w sobie epizodów burzliwych, ani czynów głośnych. Członkowie jéj nie ustają w pracy i rok rocznie pojawia się gruby tom, zawierający ich naukowe rozprawy. W dwudziestu tomach, jakie wyszły do dziś dnia, jest umieszczonych 256 rozpraw naukowych, nie licząc w to olbrzymiéj liczby spostrzeżeń meteorologicznych. Zbiory, przez dwadzieścia lat zgromadzone, dadzą się z trudnością tylko pomieścić w siedmiu dużych salach, zajmujących drugie piętro gmachu Akademii umiejętności i stanowią bogate Muzeum przyrodnicze polskie. Liczba członków zwiększała się coraz bardziéj i doszła w 1869 r. do poważnéj cyfry 255. W krótkim stosunkowo czasie zyskała komisya poparcie w kraju, uznanie za jego granicami.

Związana z Towarzystwem naukowém dzieliła jego losy. Jak wiadomo, zostało Towarzystwo zamienione 1872 r. reskryptem cesarskim na Akademią Umiejętności. Wskutek tego zamieniła się komisya dawniéj Towarzystwa nauk. w Komisyą Akademii (1873). Zmiana ta powiększyła znacznie fundusze komisyi, ale sprowadziła pewne zmiany w jéj ustroju. Znaczna część jéj członków nic nie czyniła dla osiągnięcia celów naukowych komisyi, dlatego uznano za potrzebne zmniejszyć ich liczbę, która wskutek tego w 1873 r. spadła do skromniejszéj cyfry 91. Późniejsze zmiany w zarządzie i programie komisyi są małoważne. W 1875 roku ułożono szczegółowy, a różny nieco od pierwszego „plan badania kraju (królestwa Galicyi i Lodomeryi, tudzież w. księstwa Krakowskiego)". W 1878 utworzono „dla uproszczenia czynności i dla ułatwienia przewodniczącemu trudnych obowiązków" komitet administracyjny, złożony z siedmiu członków. Wreszcie w 1883 r. ułożono nowy regulamin, określający szczegółowo cele i skład komisyi, oraz prawa jéj członków. Z tego regulaminu, obowiązującego do dziś dnia, podajemy niektóre szczegóły:

§ 1. Zadaniem Komisyi fizyograficznéj jest wszechstronne zbadanie i opisanie kraju pod względem fizyograficznym.

§ 2. Do tego celu zdąża komisya:

a) przez powiększenie istniejącego Muzeum fizyograficznego i opracowanie naukowe znajdującego się w niém materyału;

b) przez ogłaszanie spostrzeżeń fizyograficznych w swoich corocznych publikacyach;

c) przez udzielanie pracownikom na tém polu zasiłków pieniężnych i dostarczanie im odpowiednich środków naukowych;

d) przez staranie się o powiększenie biblioteki Akademii dziełami z zakresu fizyografii;

e) przez zakupywanie narzędzi do badań fizyograficznych służących.

§ 3. Komisya składa się:

a) z członków zwyczajnych wydziału mat. przyr. Akademii i

b) z członków nadzwyczajnych Akad. o ile takowi zobowiążą się do udziału w pracach komisyi, oraz

c) z członków przybranych z po za grona Akademii, których komisya przedstawia, a wydział mat. przyr. zatwierdza.

Reszta paragrafów regulaminu określa zakres działania posiedzeń komisyi, jéj sekcyi, komitetu administracyjnego i t. d.

Fundusze Komisyi ograniczone były początkowo do subwencyi sejmowéj w kwocie 1,500 złr. i skromnéj sumy zbieranéj ze sprzedaży Sprawozdań. Powiększyły się one z zamianą Towarzystwa

nauk. na Akademią. Wprawdzie cofnął wtedy sejm udzieloną jéj subwencyą, a raczéj włączył ją do subwencyi wypłacanéj Akademii w kwocie 10,000 złr. rocznie, a Komisya do r. 1876 istniała jedynie przy wsparciu udzielaném jéj przez Akademią, która w zamian za nie pobierała do swéj kasy dochody zebrane ze sprzedaży Sprawozdań komisyi. Ale już 26 maja 1875 zobowiązał się wysoki sejm wypłacać rocznie Komisyi 3,000 złr. do czego w 1878 r. przybył dodatek roczny 500 złr. na badania geologiczne przeznaczony. Akademia natomiast zmniejszyła wtedy udzielane Komisyi wsparcie.

W ciągu lat dwudziestu (1865—1885) wydała Komisya 76,045 złr. 91 kr. Kwota ta znalazła następujące umieszczenie:

Druk dwudziestu tomów sprawozdań	24,274 złr.	05 kr.
Wydatki na muzeum	11,157 „	21 „
Wydatki sekcyi	39,184 „	7 „

Reszta przypada na wydatki administracyjne.

Wydatki sekcyi rozkładają się w następujący sposób:

1. Sekcya meteorologiczna . .	5,669 złr.	41 kr.
2. Sekcya botaniczna	9,543 „	59 „
3. Sekcya zoologiczna	9,201 „	72 „
4. Sekcya geologiczna	14,689 „	37 „
5. Sekcya chemiczna	80 „	— „

Wspomniałem wyżéj, że w dwudziestu wydanych tomach Sprawozdań umieszczono 256 rozpraw fizyograficznéj treści, nie licząc w to spostrzeżeń meteorologicznych. Z tych rozpraw należy 89 do zakresu sekcyi botanicznéj, 102 do zoologicznéj, 33 do geologicznéj, 11 do chemicznéj, wreszcie 21 jest topograficznéj treści.

Dołączam tutaj tablicę, która wykazuje w jakich sferach ludności doznaje komisya poparcia.

Godność członków komisyi i autorów rozpraw pomieszczanych w jéj Sprawozdaniach	Między członkami komisyi było		Rozpraw umieścili w 20 tomach Sprawozdań
	1869	1885	
Profesorowie lub docentowie uniwersytetów, członkowie Akademii	21	30	42
Profesorowie szkół średnich	93	32	61
Nauczyciele szkół ludowych	6	2	10
Uczniowie lub asystenci uniwersytetu. .	6	7	53
Urzędnicy	34	20	18
Lekarze	16	3	8
Leśnicy	18	2	6
Inżynierzy	4	1	5
Aptekarze	10	0	4
Właściciele dóbr	28	7	4
Księża	32	9	4

Przechodzę do działań sekcyi.

Sekcya meteorologiczna. Celem jéj jest zgromadzenie materyałów potrzebnych do opracowania klimatologii Galicyi. Gromadziła ona spostrzeżenia meteorologiczne, fito i zoofenologiczne, stanu wód w rzekach, oraz magnetyczne.

Spostrzeżenia meteorologiczne dokonywane są na stacyach rozrzuconych po całym kraju. Przed utworzeniem komisyi istniało u nas takich stacyi siedm (w Krakowie, Lwowie, Białéj, Podegrodziu, Rzeszowie, Przemyślu i Tarnopolu), była to jednak zbyt mała liczba. Sekcya zmierzała do tego, aby na 25 mil kwadratowych, a gdyby to było możebne, na każde 10 mil znajdowała się jedna stacya. W pierwszym razie powinno się w Galicyi znajdować 62, w drugim 155 stacyi. Tak znacznéj liczby nie zdołała atoli Komisya do dziś dnia założyć, mimo to przyznać należy, że zrobiła bardzo wiele. W 1866 podała sekcya spostrzeżenia zebrane na 12 stacyach, 1868 liczba stacyi wzrosła do 22, w 1877 do 30, w 1885 do poważnéj cyfry 42.

Spostrzeżenia fito i zoofenologiczne są bezwarunkowo dotychczas za skąpe. W 1885 r. czyniono pierwsze w 10, drugie w 8 tylko miejscach. Mimo to dopomogły one już uczonym niemieckim do kreślenia odpowiednich map.

Spostrzeżenia stanu wód w rzekach Galicyi podaje obecnie Komisya z 40 punktów, rozmieszczonych nad 13 rzekami.

Spostrzeżeniom magnetycznym poświęciła Sekcya wiele uwagi i dobitnie wykazała ich wartość w programach swych zajęć Żałować więc wypada, że oprócz Krakowa, Wieliczki i kilku spostrzeżeń o Tatrach nic więcéj w tym kierunku nie zrobiła.

Sekcya nie może się skarżyć na brak poparcia w kraju. Przeważna ilość stacyi zawdzięcza swe istnienie funduszom prywatnym swych kierowników, którzy sami lub za pośrednictwem Komisyi nabyli potrzebne do obserwacyi narzędzia. Niektóre miasta, jak Bochnia, Nowy Sącz, założyły u siebie stacye kosztem gminy. Toż samo zarządy kąpielowe w Iwoniczu i Krynicy. Obserwatorami są (w 1885 r.) przeważnie nauczyciele szkół ludowych (9 stacyi) lub średnich (9), urzędnicy poczt, telegrafów etc. (8), księża (6), w bardzo małéj liczbie właściciele dóbr (3), aptekarze (2), lekarze (1), Należałoby poczynić starania, aby stacye kolei żelaznych czyniły spostrzeżenia meteorologiczne.

Dzięki staraniom dr. Wierzbickiego umieszcza Komisya rok rocznie wiadomość o gradach spadłych w Galicyi. Przecież brak poparcia i dokładnych informacyi ze strony władz nie dozwoli jesz-

cze wykreślić dokładnéj karty szlaków gradowych w Galicyi. Wartość takich kart dla gospodarstwa oddawna uznano za granicą.

Przed dwoma laty ogłosiła Akademia nagrodę konkursową 1000 złr. za napisanie klimatologii Galicyi. Żądana praca będzie owocem dwudziestoletnich zabiegów sekcyi meteorologicznéj, mimo to wyczerpującą być dziś jeszcze nie może.

Sekcya botaniczna. Dzięki poszukiwaniom W. Bessera, A. Zawadzkiego, F. Herbicha, F. Berelana, roślinność jawnopłciowa Galicyi była już w chwili powstawania Komisyi w znacznym stopniu poznaną. I. Knapp zebrał 1872 r. wszystkie znane w tym kierunku spostrzeżenia jako „*Aufzaehlung der in Galizien und Bukowina bisher beobachteten Gefaesspflanzen*". Pozostawało wiele jeszcze do zrobienia, a wypełnienie luk zawdzięczamy wspartym przez Komisyą poszukiwaniom dr. A. Rehmana, nieszczęśliwego Aleksandra Ślendzińskiego (1) i innych. Bogate materyały mogą już dziś służyć do opracowania flory roślin kwiatowych Galicyi. Nie tak dobrze poszło z badaniami innych grup roślin. Z pomiędzy 89 rozpraw botanicznych, umieszczonych w Sprawozdaniach Komisyi, nie ma ani jednéj (!) zajmującéj się grzybami, jedna dotyczy śluzowców, dwie glonów (algae), cztery porostów, siedm mchów i wątrobowców, a reszta, jako lwia część przypada na rośliny naczyniowe. Stan ten rzeczy jest sam przez się wskazówką, w jakim kierunku powinna sekcya w przyszłości działać. Opracowanie naukowe zebranego materyału roślin wyższych a zbieranie roślin niższych wypełni jéj najbliższe lata.

Nadto posiada Komisya bogata zbiory roślin litewskich I. Jundziłła i ukraińskich A. Andrzejowskiego (Detiuka).

Sekcya zoologiczna. To co powiedziałem o sekcyi botanicznéj, zaniedbującéj dotychczas badania ustrojów niższych, da się powtórzyć przy sekcyi zoologicznéj. Na 102 prac zoologicznych niema ani jednéj dotyczącéj pierwoszczaków lub robaków, jedna zajmuje się gąbczakami, 12 mięczakami, 78 członkonogami, 11 kręgowcami. Jest przecież w Komisyi zoologia o tyle w szczęśliwszém od botaniki położeniu, że fauna Galicyi doczekała się już w kilku kierunkach wyczerpujących studyów. Wspomnę takie dzieła, jak o kręgowcach i świeżo wydany atlas ryb prof. M. Nowickiego, o ptakach p. Taczanowskiego, chrząszczach i pluskwiakach p. M. Łomnickie-

---

(1) A. Ślendziński, litwin, brat malarza, zbierał rośliny koło Wilna i Charkowa, w 1873 botanizuje na Podolu, którego flory stał się w latach następnych pierwszorzędnym znawcą. Nie mając własnego majątku, robił za skromne zasiłki Komisyi długotrwałe wycieczki, które podkopały jego zdrowie. Umarł z nędzy w maju 1881 r.

go, o mięczakach zmarłego niedawno Bąkowskiego, wreszcie znakomite studyum o gąbkach dr. A. Wierzejskiego.

Zbiory zoologiczne Komisyi nie są wyczerpujące, przedstawiają się jednak okazale dzięki darom hr. K. Wodzickiego. Jemu, zawdzięcza Komisya zbiór ptaków krajowych z 1160 okazów i zbiór jaj ptasich (okazów 2602). Jedną z największych ozdób muzeum jest zbiór gąbek, ofiarowany przez dr. Wierzejskiego, a wartością dorównają mu mniéj pozorne zbiory pająków (W. Kulczyńskiego) lub motyli drobnych (T. Żebrowskiego). Natomiast ssawców brak wielki, robaków, pierwoszczaków—zupełny.

Sekcya orograficzno-geologiczna ma szerszy od innych zakres działania, obejmuje bowiem badania topografii kraju, płodów jego mineralnych i stosunków geologicznych. Nienaturalne złączenie badań topograficznych i geologicznych w jednéj sekcyi musiało na jedne z nich oddziałać ujemnie. Przewodniczącym sekcyi w ciągu całych lat dwudziestu był geolog i téj okoliczności przypisać musimy mimowolne zaniedbanie topografii. Umieściła wprawdzie Komisya w swych rocznikach 26 rozpraw z tego działu, z tych jednak 23 zajmują się jedynie pomiarami barometrycznemi. Uznając braki topograficznéj znajomości Galicyi, postawił przed kilku miesiącami prof. Rostafiński, obecnie przewodniczący Komisyi, wniosek utworzenia odrębnéj sekcyi topograficznéj, wniosek ten atoli do dziś dnia nie został załatwiony, natomiast rozpisała Komisya konkurs na najlepszy opis topograficzny dowolnéj okolicy kraju i postanowiła go rok rocznie ponawiać.

Cały zapas sił i funduszów skierowała sekcya na badania geologiczne. Celem sekcyi było wykonanie dokładnéj mapy geologicznéj Galicyi i dokładnego opisu geologicznego. Zrobili w tym kierunku członkowie sekcyi bardzo wiele; wystarcza przypomnieć wyczerpujące prace A. Altha, S. Olszewskiego, S. Zarębznego i innych. Ośmielę się jednak zauważyć, że wiele pracy, znacznemi funduszami uskutecznianéj, poszło na marne. Mimo postanowionego w pierwszéj zaraz chwili nakreślenia mapy geologicznéj, zabrano się do niéj dopiero w latach ostatnich. Poprzednio zadowalniano się mniéj lub więcéj dokładnemi sprawozdaniami z wycieczek. Znaczna część badań A. Altha została nadto wskutek śmierci tegoż zupełnie stracona dla nauki. Mimo późnego wieku starał on się zawsze przodować innym w pracy, każdego roku zwiedzał ze swymi asystentami pewne części kraju, robił notaty, ale choroba nie dozwoliła mu przygotować zebranych materyałów do użytku wszystkich. Liczne jednak prace, z ramienia i funduszów sekcyi przez niego przedsięwzięte, drukowane po części w publikacyach Akademii Umiejętno-

ści, stanowią w wielu wypadkach podwaliny geologii Galicyi. Atlasu geologicznego pierwszy zeszyt, obejmujący 4 karty galicyjskiego Podola, opracowany przez A. Altha i F. Bieniasza, odbity w 1884 r., dostanie się zapewne już wkrótce do obiegu księgarskiego: zeszyt drugi, t. j. okolice naftonośne wschodnich Karpat, przez R. Zubera, jest w druku; zeszyt trzeci, t. j. wielkie księstwo Krakowskie, S. Zarecznego, wkrótce będzie drukowany.

Sekcya chemiczna mało dawała śladów życia. Nie był przyczyną tego brak materyalnego poparcia ze strony Komisyi, owszem plan z 1875 r. przyznawał rocznie na badania chemiczne 300 złr. Brak jednak chętnych pracowników sprawił, że z funduszów komisyi pobrała sekcya dotychczas zaledwie 80 złr. Prac przedłożyła do druku 11, z tych 7 zawiera rozbiory wód mineralnych, dwa wód studziennych, dwa płodów mineralnych.

Z nakreślonego wyżéj obrazu działań Komisyi pojmie czytelnik, jak bogate zdołała ona zgromadzić materyały do poznania przyrody naszéj. Ocenić umiemy jéj olbrzymie zasługi i uznajemy poświęcenie i pracę jéj kierowników. Mimo to niech mi wolno będzie, jako bliżéj obeznanemu z rzeczą i biorącemu pewien udział w jéj czynnościach, podnieść kilka nieprawidłowości, które według mnie przeszkadzały osiągnięciu większych naukowych korzyści.

Gdy F. Herbich podawał projekt założenia w Galicyi Towarzystwa fizyograficznego, to marzył o rozleglejszym programie dla niego. Pragnął na wzór obcy utworzyć w Krakowie towarzystwo o częstych naukowych zebraniach, którego członkowie mieliby sposobność na licznych posiedzeniach wymieniać swe wiadomości, wzajemnie się zbliżyć i pouczać. Rozumiał on, że towarzystwo, dające objawy prawdziwego naukowego życia częstemi a ożywionemi zgromadzeniami, musi oddziałać silnie i pomyślnie na rozwój nauki w kraju. Atoli zmieniono w tym punkcie projekt Herbicha; zamiast towarzystwa utworzono raczéj administracyjną komisyą dla wspierania prowadzonych w kraju badań. Było to wiele, ale nie było wszystko. Dobrowolnie pozbyto się korzyści skupienia naukowych sił i oddziaływania na kraj. A był to błąd wielki.

Grono współpracowników Komisyi nigdy liczne nie było. Przyczyną była ogólna niechęć do nauk przyrodniczych, do dziś dnia w Galicyi widoczna. Leżało więc w interesie Komisyi staranie o rozszerzenie koła nie tylko naukowych współpracowników, ale także interesujących się jéj pracami. Należało rozszerzać na prowincyi jak najbardziéj swe publikacye, rozsyłać je szkołom, zwiększać liczbę członków. Zapewne, że nie jeden z nich nieby dla Ko-

misyi nie czynił, ale u innych znalezionoby jeżeli nie naukową pomoc, to chętnych ofiarodawców dla muzeum przyrodniczego. Zrozumiały to stowarzyszenia zagranicą działające i zwiększają liczbę członków do możliwych granic. W Węgrzech, gdy chodziło o zbadanie szkodników zboża i drzew, rozsyłano darmo w tysiącach numerów przyrodnicze pismo (entomologiczne), a nadto każdemu, kto podał jakąkolwiek wiadomość o szkodnikach ofiarowywano lupę. U nas zrobiono przeciwnie. Skorzystano z zamienienia Towarzystwa nauk. na Akademią, by liczbę członków Komisyi niemal do $^1/_3$ zmniejszyć. Skutki wykazały, jak sądzę, dostatecznie, że zbłądzono, zwłaszcza gdy wykreślania z listy członków dokonano tak pośpiesznie, że niejednego z wykreślonych musiano późniéj powtórnie prosić o współpracownictwo.

Towarzystwo naukowe, w którém zawiązała się Komisya, wyraziło kilkakrotnie, że celem jéj jest „zbadanie fizyografii ziemi polskiéj.“ Dziwić się należy, dlaczego zapomniano późniéj do tego stopnia o zakresie geograficznym działań Komisyi, że konsekwentnie ograniczono się do politycznych granic „Królestwa Galicyi i Lodomeryi wraz z wielkiém księstwem Krakowskiém.“ Granice polityczne nie są zazwyczaj granicami naturalnemi, a zwłaszcza nie były takiemi w tym wypadku. Nienaturalne ograniczenie badań wpłynęło ujemnie na całość tychże, któréj brak obecnie geograficznego zaokrąglenia. Spodziewamy się, że w tym kierunku rozszerzy Komisya swe prace w przyszłości.

Rozległe cele Komisyi, względnie do pojedyńczych sekcyi wymagały trzymania się przy poszukiwaniach pewnego, z góry wytkniętego programu. Zarys takiego programu ułożono już w 1866 r. drugi raz w 1875, atoli nie trzymano się go w praktyce. Skutkiem tego są, jak wykazaliśmy wyżéj, znaczne luki w badaniach. Między okolicami dobrze zbadanemi kryją się inne niezbadane, obok grup roślin lub zwierząt dobrze zbadanych, inne są nietknięte.

Spotykała się Komisya niekiedy z zarzutem przewlekania spraw ważnych. Była w tym zarzucie pewna słuszność. Objaśnię to na przykładzie. Ś. p. F. Sulimierski zwrócił się do Komisyi z prośbą o pomoc przy zbieraniu materyałów do Słownika geograficznego. Komisya „wysadza“ z łona swego komitet i na tém się cała sprawa tak ważna kończy. Albo Zakład narodowy imienia Ossolińskich proponuje Komisyi odstąpienie ważnych zbiorów przyrodniczych. Znowu komitet, który po upływie dłuższego czasu przedkłada wnioski piśmiennie, a o sprawie zapomina późniéj zupełnie. W ten sposób zaniedbano korzystać w wielu razach z nadarzających się sposobności.

Oto są uwagi, jakie nasuwa Komisya fizyograficzna i jéj dwudziestoletnia praca. Z rokiem 1886 rozpoczęła się nowa serya jéj wydawnictw, a poniekąd nowa era w jéj dziejach. Znaczne ożywienie, rozszerzenie programu zajęć, zaprowadzenie naukowych zgromadzeń miesięcznych są to reformy, które Komisya zawdzięcza dr. J. Rostafińskiemu, od 1886 roku swemu prezesowi. Nie zawiodą one oczekiwań, a już dziś wydają pożądane owoce. Spodziewać się można, że w nowéj seryi wydawnictw Komisyi znajdzie czytelnik nie tylko materyały do fizyografii kraju, ale to, co było marzeniem W. Pola, F. Herbicha, J. Majera, to jest „wyczerpujący obraz polskiéj przyrody.“

Maryan Raciborski.





GENIUSZ I OBŁĄKANIE.

C. Lombroso: Geniusz i obłąkanie w związku z medycyną sądową, krytyką i historyą Przełożył J. L. Popławski. (Wydawnictwo imienia T. T. Jeża). Warszawa 1887, 8-vo, str. 367 i 9 tablic litogr.

W ostatnim rozdziale swego dzieła powiada Lombroso: „Czy z przedstawionych faktów nie możnaby wyprowadzić słusznego wniosku, że genialność jest zawsze newrozą, rodzajem obłąkania?— Nie! Taki wniosek byłby błędnym. Między genialnymi ludźmi byli wprawdzie tacy, którzy potém dostali obłąkania, jak znowu między obłąkanymi tacy, którzy pod wpływem choroby wykazywali błyski geniuszu; ale chcieć wyprowadzić stąd wniosek, że wszyscy ludzie genialni muszą być obłąkanymi, znaczyłoby to przekręcać fakty. Są genialni szaleńcy i obłąkani geniusze, ale również było wielu i jest genialnych ludzi, którzy, oprócz pewnych anomalii wrażliwości, nie wykazują ani śladu choroby umysłowéj.“

Z wnioskiem tym trudno się nie zgodzić, chociaż nie wiemy, jaką drogą do niego autor doszedł. W całym bowiem ciągu swego dzieła wszędzie on mówi o analogiach istniejących między genialnością i obłąkaniem i nie pozwala ani na chwilę wątpić, że mówi bezwarunkowo, żadnego pod tym wzgiędem nie czyniąc wyjątku. Gdyby autorowi szło o wykazanie, że bywają obłąkani geniusze tak samo, jak i szaleńcy genialni, czyżby potrzebował przez całe sto stronic dowodzić, że między fizyologicznemi warunkami genialności, a patologią obłąkania jest wiele punktów stycznych. Wszystkie te styczne punkty usiłuje on wykazać szczegółowo, posługując się tak statystyką, jak i znanemi faktami z życia sławnych ludzi? I kiedy zdawało się, że wszystkie swe dowody skierowuje wyłącznie ku temu, ażeby wykazać, że nie masz geniuszu, w którymby nie było jakiejś dozy obłąkania, dowiadujemy się w końcu nie bez pewnego zdziwienia, że są genialni ludzie, którzy oprócz pewnych anomalii

wrażliwości, nie wykazują ani śladu choroby umysłowéj. Jeżeli znów owe anomalie wrażliwości mają być jedyną analogią, istniejącą między genialnością a obłąkaniem, to jakież znaczenie mają analogie, które autor wylicza skrupulatnie w pierwszych rozdziałach swego dzieła? Czy mają one oznaczać styczne punkty między obłąkanymi geniuszami i genialnymi szaleńcami? Ależ byłoby to pewnym rodzajem pedanteryi dowodzić rzeczy, która sama przez się jest jasna, a mianowicie, że obłąkanie, czy ono się zdarza u ludzi genialnych, czy u zwykłych, zachowuje zawsze te same charakterystyczne cechy.

Takie są sprzeczności, jakie się nastręczają na samym wstępie sprawozdania, które przedewszystkiém musi odpowiedzieć na pytanie: co stanowi założenie dzieła? Podobnych sprzeczności znajdziemy więcéj jeszcze.

W pierwszym rozdziale zastanawia się autor nad analogiami, istniejącemi między genialnością a obłąkaniem pod względem fizyologicznym. Wykrywa on, że ludzie genialni tak samo jak i obłąkani podlegają nierzadko dziwnym drganiom nerwowym i odznaczają się nieprawidłowemi ruchami. Dowodem tego są: Napoleon, Piotr W. Montesquieu, Lenau. Ależ w ten sposób możnaby dowieść, że i zwykli śmiertelnicy mają tę wspólność z genialnymi ludźmi. Jakiż stąd wniosek można wyprowadzić? Że Piotr, Jan i Paweł doznają drgawek nerwowych, mamyż ich dla tego uważać za geniuszów, albo za obłąkanych? We wszystkich tego rodzaju przykładach główną rzecz stanowi stosunek ilościowy. Gdyby autor wykazał że ludzie genialni częściéj podlegają drgawkom nerwowym, aniżeli zwyczajni, wniosek jego co do analogii i pod tym względem między genialnością a obłąkaniem byłby słusznym, że zaś tego nie uczynił, musimy twierdzenie jego zaliczyć do kategoryi błędów logicznych, zwanych pośpiesznėm uogólnianiem.

Jako dowód, że ludzie genialni odznaczają się nieprawidłowemi ruchami, przytacza autor Buffona, który pewnego dnia, zagłębiony w myślach, wszedł na dzwonnicę i spuścił się z niéj po linie, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, jak lunatyk. Przykład ten jeżeli czego dowodzi, to chyba roztargnienia, a bynajmniéj nie nieprawidłowości ruchów. To samo można powiedzieć i o innym przykładzie, za pomocą którego chce autor wykazać, że genialni ludzie odznaczają się często dziwną nieczułością na ból i wrażenia dotykowe. Na dowód tego cytuje Diderot'a, który zapominał odprawiać woźnicę najętego i musiał mu płacić za cały dzień oczekiwania, następnie Newtona, który pewnego razu zaczął przybijać popiół w fajce palcem swéj siostrzynicy i kiedy wychodził z pokoju po jaką

rzecz, to zawsze wracał bez niéj. Są to *qui pro quo*, które potrzeba zaliczyć chyba na karb pośpiechu. z jakim autor dzieło swe pisał.

W dalszym ciągu powiada Lombroso, że ludzie genialni bywają zwykle nieczuli na zimno, a tymczasem w następnym zaraz rozdziale podaje całą listę wielkich ludzi, którzy tak byli wrażliwi na chłód, że nieraz przez całe lato kazali opalać swe mieszkania, jak to czynili: Napoleon, Wolter i Buffon.

Utrzymując, że ludzie genialni tak samo, jak i obłąkani, pozostają przez całe życie samotnymi, obojętnymi na stosunki rodzinne i względy społeczne, dowodzi jednocześnie, że byli i są geniusze, w których miłość prawdy i piękna nie zagłuszyła miłości dla ojczyzny i rodziny. Co ciekawsza, że na stwierdzenie obu tych wręcz przeciwnych sobie zdań zacytowanym jest między innymi Michał Anioł.

Że ludzie genialni bywają zwykle obojętni na sprawy krajowe i stosunki rodzinne, dzieje się to podług autora w skutek prawa dynamicznego, rządzącego systemem nerwowym, mocą którego żaden śmiertelnik nie może bezkarnie zużyć pewnéj ilości siły, ażeby nie ponieść szkody pod innym względem. Melancholia, przygnębienie, bojaźliwość i egoizm—oto straszna zapłata za zużycie wspaniałych darów umysłowych. Z tém wszystkiém, skoro było i jest wielu genialnych ludzi, w których nie tylko miłość prawdy i piękna, ale nawet melancholia, jak tego dowodzi przykład Szecheny'ego, nie zagłuszyła miłości ojczyzny i rodziny; widoczna więc, że to prawo dynamizmu, karzące egoizmem zużycie sił umysłowych, nie jest powszechném, lecz dopuszcza bardzo liczne wyjątki.

Ten charakter warunkowy, odnoszący się właściwie do wyjątków, nie do większości, mają wszystkie w ogóle wywody autora, za pomocą których stara się dowieść, że takie to a takie analogie pod względem fizyologicznym zachodzą między genialnością, a obłąkaniem.

Podobneż sprzeczności i niekonsekwencye znajdujemy i w dalszych rozdziałach dzieła, poświęconych wykazaniu, że zjawiska meteorologiczne działają tak samo na ludzi genialnych, jak i na obłąkanych i że nie pozostają bez wpływu nawet na urodzenie geniuszów. Wprawdzie stara się w nich autor być ściślejszym i wywody swe opiera na statystycznych obliczeniach, wątpię jednakże, czy tego rodzaju statystycznym wyliczeniom można przyznać jakąś wartość naukową. Najprzód, statystyka chorób umysłowych, oparta jak dotąd wyłącznie na klinicznych obliczeniach, pozostawia wiele jeszcze do życzenia i można się nią posługiwać tylko z wielką oględnością; powtóre, wybrać z różnych epok i narodów kilkudziesięciu

poetów, artystów i uczonych, których twórczość objawiała się przeważnie w miesiącach letnich, nie znaczy to jeszcze układać tablicę statystyczną. Zdaje mi się, że wywody autora byłyby w takim razie tylko dokładnemi, gdyby się był ograniczył na jednéj jakiéjś epoce i wykazał, że wszyscy należący do niéj genialni ludzie przeważnie w letnich miesiącach mogli pracować skutecznie. Sposób, jakiego autor używa, pozostawia zawsze pytanie, czy ci, o których on nie wspomina, również tylko w ciepłych miesiącach doznawali twórczego natchnienia. Wątpliwość ta tém natrętniéj się nasuwa, że niektórzy z wymienionych geniuszów tak dobrze mogli pracować w lecie, jak i w zimie.

O wiele pewniejszemi są wnioski autora, oparte na wpływie rasy i dziedziczności na genialność i obłąkanie, zapewnie dlatego, że przedmiot ten stosunkowo więcéj jest opracowany. Rzeczywiście, spotykamy się tu z faktami, które, lubo nie stanowczo, przemawiają przecież w pewnym stopniu za analogią między genialnością a obłąkaniem. Do takich należy przedewszystkiém fakt, że w rodzinie ludzi genialnych bardzo często zdarzają się obłąkania, że pomiędzy dziećmi ich nierzadko bywają idyoci, że rasy bardziéj inteligentne, jak np. żydzi, dostarczają największy procent obłąkanych. Obok tych atoli analogii występuje i ważna różnica. Kiedy bowiem obłąkanie zawsze przechodzi dziedzicznie i to w stopniu spotęgowanym, to genialność w rzadkich tylko wypadkach dostaje się dzieciom w spadku i to w stopniu bardzo słabym.

W dalszych rozdziałach szuka autor potwierdzenia dla swéj zasady w tém, że jak z jednéj strony wielu genialnych ludzi cierpiało na obłąkanie, tak z drugiéj wielu obłąkanych staje się poetami i artystami dopiéro i tylko podczas choroby. Fakt ten tak samo jak i poprzednie rzeczy założonéj nie dowodzi. Nie o to tu bowiem idzie, czy geniusze podlegają obłąkaniu, ale o to, jaki zachodzi stosunek liczebny między obłąkanymi geniuszami a waryatami, do innych kategoryi należącymi. Powtóre, że ludzie zwykli pod wpływem obłąkania stają się nieraz poetami i artystami także niczego nie dowodzi, chyba téj prawdy fizyologicznéj, że wszelka czynność umysłowa staje się tém dzielniejszą, im bardziéj jest skupioną i im jest większym dopływ krwi do mózgu. Są to warunki, które geniusz znajduje w sobie gotowe, wrodzone; obłąkany zaś zawdzięcza je chwilowo patologicznym zmianom swego mózgu — częściowemu jego przekrwieniu i podnieceniu pewnych stron umysłowego życia, skutkiem czego powstaje mania, która wszystkim siłom umysłowym nadaje jeden jakiś kierunek, wyłączający wszelkie inne.

Wogóle rzeczy biorąc, zdaje mi się, że kwestya analogii między genialnością a obłąkaniem wtedy dopiéro da się stanowczo rozstrzygnąć, gdy zostanie dokładnie zbadana fizyologia genialności. Zanim to nastąpi, wszelkie dowodzenie za i przeciw mogą miéć, co najwięcéj, znaczenie prawdopodobieństwa, ale nigdy stanowczego dowodu. Ci, którzy genialność uważają za pewien rodzaj newrozy, wychodzą z tego założenia, że geniusz objawia zwykle brak równowagi w rozwoju umysłu, że obok nadmiernéj wybujałości jednych stron, dostrzega się w nich słaby rozwój innych. Podobnyż brak równowagi stanowi charakterystyczną cechę obłąkania.

Bądź-co-bądź, druga część dzieła, poświęcona objawom twórczości genialnéj, powstającym pod wpływem obłąkania, chociaż tak samo, jak i pierwsza, niczego nie dowodzi, opracowana jest z wielką znajomością rzeczy i zawiera tyle ciekawych i pouczających faktów i spostrzeżeń, że warto zapoznać się z niemi bliżéj. Autor nie ogranicza się tu na ogólnych charakterystykach, lecz dołącza do nich bądź sprawozdania urzędowe, bądź życiorysy obłąkańców, przez nich samych kreślone. Zamieszcza przytém ich utwory poetyckie i rysunki, które pozwalają nam wniknąć w wewnętrzny proces ich twórczości.

Rzecz prosta, że w szczegóły wdawać się nie będę; zakres sprawozdania na to nie pozwala. Poprzestać muszę na sumaryczném podaniu ważniejszych rezultatów, do jakich doprowadziły autora jego poszukiwania w tym kierunku.

Nadmieniłem już wyżéj, że nierzadko pod wpływem obłąkania ludzie, którzy przedtém niczem się nie odznaczali, niespodzianie objawiają niezwykłe zdolności. Już Arystoteles zauważył, że wskutek przypływu krwi do głowy podczas obłąkania wielu ludzi zostaje poetami, prorokami i wieszczbiarzami. Pewien Anglik, który będąc zdrowym, nie mógł zrobić prostego dodawania, gdy dostał obłąkania, stal się zdolnym matematykiem. Pewna znów dama, która w szpitalu obłąkanych okazywała talent poetycki, po wyzdrowieniu straciła go zupełnie.

Fakty te są bardzo ciekawe. W każdym razie pewném jest, że dotąd obłąkanie nikogo jeszcze nie zrobiło geniuszem w prawdziwém znaczeniu tego wyrazu. Kto się nie urodził Dantem lub Michałem Aniołem, tego obłąkanie nie uczyni twórcą Boskiéj Komedyi lub Mojżesza.

Większa część poetów, spotykanych w zakładach dla obłąkanych, nie ma żadnego wykształcenia literackiego. Kształcą się oni i odbierają natchnienie dopiéro podczas choroby. Utwory ich odznaczają się ciągłemi sprzecznościami, nagłém przejściem od na-

stroju smutnego do wesołego, który nierzadko staje się nieprzyzwoitym. Wyszukana elegancya stylu łączy się w nich z niedorzeczną i bezładną gadaniną. Lecz co ich utwory najbardziéj cechuje, to oryginalność, dochodząca nieraz do absurdu i skłonność do ciągłego mówienia o sobie, do pisania autobiografii. Ciekawém jest, że obłąkani nie używają wyrażeń tak sztucznych jak przestępcy, ale za to mają szczególne upodobanie w wyrazach jednakowo lub podobnie brzmiących. Chętnie téż wymyślają nowe wyrazy lub używanym odmienne nadają znaczenie.

Skłonność do malarstwa występuje prawie zawsze przy pewnych formach obłąkania. Rzadko bywa ona w związku z poprzedniemi zajęciami chorych. Wybór przedmiotu zależy głównie od rodzaju choroby. Monomani przedstawiają w swych rysunkach zwykle mniemane swe nieszczęścia i t. p. Jedną z najbardziéj charakterystycznych cech artystycznéj twórczości obłąkanych jest używanie znaków pisarskich razem z rysunkami, w tych zaś wielka obfitość symbolów i emblematów. Takie mieszane utwory przypominają malowidła japońskie, staro-indyjskie, tudzież ścienne obrazy starożytnych Egipcyan. Są one przeto objawem atawizmu, występującego pod wpływem obłąkania. Niektórzy z waryatów rysują wyłącznie arabeski i ornamenty, odznaczające się geometryczną prawidłowością form,—inni znów, szczególniéj dotknięci obłędem erotycznym, lubują się w rysowaniu postaci najnieprzyzwoitszych. W malarskich utworach waryatów uderza nas przedewszystkiém brak przejściowych odcieni w kolorycie, w rysunku zaś pomijanie najważniejszych nieraz szczegółów i nadawanie przedmiotom dziwacznych rozmiarów, albo téż ogromną obfitość szczegółów przy zupełnym braku perspektywy.

Zdarza się, że zdolność do rysunku i malarstwa słabnie pod wpływem obłąkania u tych, którzy przedtém ją uprawiali; w każdym razie zdarza się to rzadziéj, aniżeli ze zdolnością muzykalną. Muzycy najczęściéj tracą zupełnie swą zdolność z objawieniem się w nich choroby umysłowéj. Jeżeli zaś grywają kiedy, to robią to machinalnie, powtarzając ciągle jedno i to samo. Za to bardzo często objawia się talent muzyczny u tych, którzy przed chorobą nigdy go nie zdradzali. Dzieje się to szczególniéj z melancholikami. Objaśnienia tego faktu należy szukać w zdaniu Spencera, że prawo rytmu jest najogólniejszą formą przejawiania się energii w całéj przyrodzie. Stąd właśnie pochodzi namiętne zamiłowanie do muzyki ludów pierwotnych. Człowiek bowiem tém łatwiéj poddaje się organicznym popędom, im mniéj powstrzymuje go rozsądek.

Zbadanie znamion artystycznéj twórczości u obłąkanych ważném jest nie tylko pod względem psychiatrycznym, ale i estetycznym. Wykazuje ono, że nadużywanie symbolów, obfitość drobnostkowych szczegółów, kwiecistość stylu, nienaturalna przewaga jednego jakiegoś koloru, lubowanie się w nieprzyzwoitościach, a nawet oryginalność posuniętą do przesady—należą do patologii sztuki.

Między obłąkanymi geniuszami, właściwymi waryatami i zdrowymi ludźmi pośrednie miejsce zajmują *mattoidzi*, zwani przez innych psychiatrów newropatykami, newrozykami i ludźmi z temperamentem obłąkanym. Można ich podzielić na cztery gatunki: na mattoidów zmysłowych, uczuciowych, intelektualnych, tudzież grafomanów i pieniaczów.

Do pierwszéj kategoryi należą na wpół histerycy i na wpół hipochondrycy, odznaczający się zazwyczaj nadczułością. Skłonni oni bywają do uniesień i nadużyć, oraz do dziwacznych wybryków płciowych. Doznają szczególnych sympatyi i antypatyi, zarówno jak i niczém nieusprawiedliwionych obaw. Jedni z nich przestrzegają nadzwyczajną czystość, drudzy znów lubują się w brudzie.

Mattoidzi uczuciowi albo moralni stanowią stopień przejściowy do wrodzonych zbrodniarzy. Są to egoiści bez przywiązania i litości dla innych, nienawidzący i unikający towarzystwa ludzkiego, lub, co gorsza, szukający sposobności, ażeby uczynić komuś źle, skazić i popchnąć na drogę występku. Próżni w najwyższym stopniu, dopuszczają się nieraz zbrodni dla tego tylko, ażeby pozyskać rozgłos.

Mattoidzi intelektualni są to owe niepohamowane gaduły, którzy prawią bez logicznego związku i dochodzą do wniosków przeciwnych swemu założeniu. Miewają oni dziwaczne fantazye, jak np. zliczyć kamienie brukowe na ulicy. Lubią popisywać się cytatami, używać obcych wyrazów i gadać ciągle o téj saméj rzeczy, bez względu na czas i osoby. Pomiędzy nimi a waryatami, szczególniéj dotkniętymi obłędem wielkości, nie masz wielkiéj różnicy, jakoż z najbłahszego powodu zapadają na obłąkanie.

Co się tyczy grafomana, to znamiennym jego rysem jest wygórowane przeświadczenie o swych zasługach, o swém znaczeniu. Zarozumiałość jego daleko silniéj występuje w pismach, aniżeli w mowie i uczynkach. Utwory grafomanów miewają zwykle tytuły długie i dziwaczne, odznaczają się stylem kwiecistym i grą wyrazów. Płodność ich bywa nadzwyczajną. Jeden z nich napisał 180 dzieł, z których jedno niedorzeczniejsze jest od drugiego. Kiedy obłąkani zajmują się przeważnie poezyą, to grafoman szczególniejszy ma pociąg do teologii i do nauk najbardziéj abstrakcyjnych,

a zarazem najmniéj ścisłych i wykończonych. Chwytają się oni zazwyczaj zagadnień dziwacznych, zawikłanych, niemożliwych do rozwiązania, jak np. kwadratura koła, albo téż modnych. Przekonania ich w piśmie wyrażone są głębokie, ale nie gorące—i o ile bywają niedorzecznemi w pisaniu, o tyle w rozmowie okazują się rozsądni i poważni. Właściwością grafomana jest wstrzemięźliwość, dochodząca nieraz do ascetyzmu, oraz obojętność na przeszkody i troski życia praktycznego. Temu to zapewne potrzeba przypisać ich przebiegłość i wyrachowanie w życiu codziennem.

Najszkodliwszą odmianą grafomana jest pieniacz, klęska sąsiadów i utrapienie urzędów sądowych. Mattoid tego rodzaju znanym jest powszechnie i zbytecznem byłoby wdawać się w dokładne jego określenie.

Stopień przejściowy od mattoidów zwykłych do gieniuszów stanowią mattoidzi genialni, odznaczający sie tém, że w dziełach ich obok myśli najgłębszych występują pomysły niedorzeczne, prawdziwie waryackie. Przeprowadzić granicę między nimi a prawdziwymi geniuszami nadzwyczaj trudno. Jako przykład cytuje autor A. Comte'a, Klementynę Royer, Fourier'a i Micheleta, którzy, podług niego, są mattoidami genialnymi.

Powyższe fakty pozwalają nam zrozumiéć, dla czego tak często wielkie postępy narodów w polityce i w religii były spowodowane, a przynajmniéj przedsięwzięte przez obłąkanych i wpół-obłąkanych. W nich bowiem z oryginalnością, właściwą geniuszom i waryatom, a bardziéj jeszcze tym, którzy są jednymi i drugimi razem, łączy się egzaltacya, zdolna podnieść uczucia altruistyczne do takiego stopnia, że poświęcają oni własne interesy, a nawet życie, byle tylko dać poznać nowe prawdy i skłonić masy do ich przyjęcia.

Rozumie się, że sami przez się nie stwarzają oni niczego, dają tylko ukrytym i przygotowanym przez czas prądem szybszy i wyraźniejszy ruch. Jeżeli ich ideje zbyt różnią się od poglądów panujących lub są zanadto niedorzeczne, upadają wraz ze swym autorem i przyczyniają się nieraz do jego zguby.

Wiadomo, że w wiekach starożytnych, tak samo jak dzisiaj u ludów barbarzyńskich i wśród ludności niewykształconéj, obłąkani cieszyli się wielkiém poważaniem. Uważano ich za wybrańców bożych, za pośrednictwem których bogowie swą wolę objawiali. Czemu przypisać to ich znaczenie? Oto téj jednéj okoliczności, że odznaczając się oryginalnością myśli i niezwykłą siłą woli, wprawiają masy w zdumienie i ujarzmiają je swą wyższością moralną, a to tém bardziéj, że występują przed nimi, jako zesłańcy niebios

i władcy świata, z tak silném przekonaniem, jakiém tylko teomania i obłęd wielkości mogą natchnąć. Przekonanie to, udzielając się masom, staje się źródłem epidemicznych obłędów tak religijnych, jako też rewolucyjnych.

Wszyscy wielcy reformatorowie tak religijni, jak i polityczni, taki Luter, Fox, Savonarola, Lojola, Joanna d'Arc, miewali halucynacye i pod ich wpływem rozpoczynali swą propagandę.

Taka jest treść dzieła: Geniusz i Obłąkanie. Ostateczny wniosek, do jakiego autor w niém dochodzi, znany jest nam z tego, co o nim powiedziałem na początku niniejszego sprawozdania. Dla uzupełnienia go załączam kilka uwag autora, za pomocą których stara się on ściśléj określić swe zapatrywanie, dotyczące różnicy, jaka zachodzi między geniuszem prawdziwym, a chorym, czyli obłąkanym.

„Jeżeli zbadamy, powiada on, życie i dzieła tych wielkich, ale chorych umysłów, których sławą rozbrzmiewają dzieje, to przekonywamy się, że różnili się oni pod wieloma względami od tych geniuszów, którzy bez żadnych zboczeń przebiegli wspaniałą parabolę swego żywota.

„Geniusze obłąkani nie mają charakteru, owéj trwałości i jednolitości, jakie cechują ludzi prawdziwie genialnych. Geniusz posiada świadomość swéj siły, ceni się, ale nie ma téj pychy, jaka ogarnia umysły chore. U niektórych z tych nieszczęśliwych dziwnie wcześnie objawiają się genialne zdolności. Wielu z nich nadużywało narkotyków, albo środków upajających i po większéj części odznaczali się pewnemi nienormalnościami pod względem płciowym. Wewnętrzny niepokój zmusza ich do ciągłych podróży, do zmiany przedmiotów, któremi się zajmują. Żyją osamotnieni, unikają towarzystwa ludzi i pozostają obojętni i nieczuli na to, co zajmuje innych, jak gdyby oddychali odmienną, sobie tylko właściwą atmosferą. Ale za to, oddając się całą duszą swemu zajęciu, poszukując chciwie rozwiązania najtrudniejszych zagadnień, stają się oni prawdziwymi pionierami nauki. Prawie wszyscy oni byli dręczeni religijnemi wątpliwościami i zajmowali się bardzo wiele swojém ja. Wybitne rysy szaleństwa tego rodzaju geniuszów znajdujemy w samym układzie ich utworów, w ich stylu namiętnym i barwnym, w nielogicznych wnioskach, niedorzecznych sprzecznościach, a przedewszystkiém w nieludzkich i cudacznych fantazyach. Wielu z nich posiadało czaszki pojemne, ale kształtów nieprawidłowych i podobnie jak u obłąkanych, znajdywano u nich po śmierci poważne uszkodzenia ośrodków nerwowych. Lecz co najbardziéj cechuje anor-

malność umysłową tych ludzi, to niezwykłe natężenienie dwóch stanów przemiennych—podniecenia i wyczerpania. Jestto zresztą zjawisko fizyologiczne, właściwe wszystkim prawie wielkim umysłom, nawet zupełnie zdrowym."

Zauważę tu mimochodem, że skoro to zjawisko fizyologiczne jest właściwe wszystkim prawie umysłom, nawet zupełnie zdrowym, więc nie może ono najbardziéj cechować anormalności umysłów chorych.

„Jakaż różnica między niemi, a tymi wielkimi ludźmi, którzy pogodni, ufni w siebie, przebiegali drogę życia, których nie wzruszały nieszczęścia, nie wykoleiła namiętność!

„Takimi byli Spinoza, Bacon, Galileusz, Dante, Voltaire, Kolumb, Macchiaweli, Michał Anioł, Cavour. Nie ma między nimi ani jednego, któryby nie posiadał silnie, ale zarazem harmonijnie rozwiniętéj czaszki, co dowodzi siły myśli, okiełznanéj wolą potężną. W żadnym z nich miłość prawdy lub piękna nie zagłuszyły miłości ojczyzny i rodziny. Nigdy nie zmieniają swych przekonań i swego charakteru, nie zbaczają od celu, nie rzucają w połowie raz rozpoczętéj pracy. Ileż spójności, wiary, jasności wykazują oni w swych przedsięwzięciach, ile umiarkowania i jednolitości charakteru w życiu."

Przytoczyłem tę charakterystykę geniuszów zdrowych i chorych nie dla tego, żebym ją uważał za ścisłą, opartą na dokładném zbadaniu faktów, ale dla tego tylko, że uwydatnia ona ostateczną konkluzyą autora. Charakterystyka ta jest czysto idealną, wysnutą *à priori*, i przypomina nieco owe wzory etyczne, jakiemi moraliści usiłują zachęcić swych czytelników do cnoty. Gdyby przyszło podług niéj klasyfikować wszystkich znanych z historyi geniuszów, to zdaje mi się, że nie wielu z nich moglibyśmy zaliczyć do zdrowych. Gdyż i z pośród téj szczupłéj gromadki, których autor zalicza do zdrowych, bodaj czy nie należałoby wielu z nich umieścić pomiędzy geniuszami chorymi.

Do dzieła swego dołączył autor aż pięć dodatków, wyjaśniających bliżéj niektóre punkty zagadnienia, dotknięte w dziele, ale nie rozwinięte w sposób wyczerpujący, albo zawierających ciekawe dokumenty, jak np. dzienniki i pisma obłąkanych, literatura mattoidów, a nareszcie kopie rysunków obłąkanych.

Kończąc swe sprawozdanie o dziele Lombroso, muszę wyznać, że pomimo wszystkich sprzeczności, niedokładności, z jakiemi się w niém spotykamy, jest ono ze wszech miar ciekawe i nauczające.

Poruszając kwestyą ważną i rozpatrując ją z różnych stron, jakkolwiek jéj nie rozstrzyga, dostarcza jednakże do jéj rozwiązania wiele danych i pobudza do zastanowienia się nad nią. Napisane z życiem, daje się czytać z przyjemnością.

Co się tyczy samego tłómaczenia, jest ono poprawne, odznaczające się językiem czystym i stylem swobodnym. O dokładności zaś jego, nic powiedziéć nie mogę, gdyż nie znam oryginału.

Władysław Kozłowski.





ZASIEDLENIE UKRAINY.

Archiw jugo-zapadnoj Rossii. Cz. VII. T. I. Akty o zasielenii jugo-zapadnoj Rosii. Kijew 1886.

Doczekaliśmy się nakoniec zapowiadanego od lat kilku a z takiém upragnieniem oczekiwanego rozpoczęcia przez archeograficzną komisyą kijowską, wydawnictwa w „Archiwie południowo-zachodniéj Rossyi“ aktów dotyczących zasiedlenia Ukrainy. Wydanym został tymczasem tylko tom I-szy części VII-éj Archiwu, mającéj obejmować właśnie akty, dotyczące zasiedlenia południowo-zachodniéj Rosyi; lecz po nim ma nastąpić wnet drugi i t. d. Bogaty to bardzo materyał dziejowy; zebranie onego winniśmy prof. Włodzimierzowi Antonowiczowi. Tom ten I-szy zawiera w sobie akty poczynające się od końca wieku XIV (1386). Nie skorzystamy przecie obecnie z tych źródeł bezpośrednio, dopóki nie zostanie wydanym i tom II-gi. Zato nie możemy — na razie nawet— pominąć milczeniem wstępu, dołączonego do I-go tomu, w którym autor onego prof. Władimirskij-Budanow, wypowiadając swe poglądy ogólne, jako ostatni wyraz poglądów całéj historycznéj szkoły małoruskiéj, na sprawę kolonizacyi Ukrainy i znaczenie w niéj istotne żywiołu polskiego, uderza mocno na sposób zapatrywania się na tę kwestyą historyków naszych oraz na nasz osobisty.

We wstępie tym podaje autor treściwy zarys historyczny p. t. „Zasiedlenie południowo-zachodniéj Rosyi od połowy XIII-go do połowy XV-go wieku“, jako założenie pierwsze dalszych z czasem, bardziéj źródłowych badań. Lecz i to pominiemy. Na teraz dość będzie, gdy się ograniczymy na pierwszym ogólnym artykule tego wstępu, w którym szanowny profesor wypowiada teoretyczne, zasadowe, szersze i daleko sięgające poglądy; dość będzie—powiadamy,

gdyż tu potrąconym znajdujemy cały świat wielce poważnych etnologiczno-historycznych zagadnień.

Nie odstręczy to nas, gdy już na pierwszy rzut oka postrzegamy tu z pewną przykrością, jeśli nie ze zdumieniem, wyraźną tendencyjność, mniéj dziś zrozumiałą, przy powszechném podniesieniu się śród nas tonu, poważnie, objektywnie naukowego. Postrzegamy nastrój ku polemice podjazdowéj z dawną Polską i jéj obecną historyografią, nastrój przenikający i cały dalszy zarys autora. O wszystko tu mniejsza—byle tylko módz udowodnić nicości wpływu polskiego na zasiedlenie Rusi! Nie na żart téż wypowiadają nam znów oto walkę kijowscy badacze przeszłości Ukrainy — i na tém jeszcze, mniéj dotykaném dotąd polu. Pole to rozległe, żyzne, mało dotąd istotnie uprawiane a obiecujące zbiór obfity; czemuż przecie uczyniono je nowém pobojowiskiem, nie mających się właściwie już o co waśnić, pobratymców, jakiém niegdyś były dla ich rozsrożonych przeciw sobie wzajem przodków stepy bezbrzeżne! Lecz nie uprzedzajmy rzeczy. Owszem trzymajmy się wątku jéj przedstawienia przez samego autora wstępu.

Prof. Władimirskij-Budanow rozpoczyna swe uwagi od tezy ogólnéj, że „historya zasiedlania południowo-zachodniéj Rosyi przedstawia żywy i ważny interes dla wyświetlenia losów nie tylko téj dzielnicy ziemi ruskiéj, lecz i całéj Rosyi w jéj stosunku do świata wschodniego i zachodniego.“ Wyraźniéj mówiąc, historya ta posiada znakomitą wagę nie tylko pod względem dziejowym lecz i etnologicznym; rozstrzyga bowiem nieodwołalnie kwestyą — mniejsza, że na prawdę, zdaniem naszem, tak luźną—genezy saméj narodu mało-ruskiego. Dzięki więc takiéj, chociaż i mało pojmowanéj — przyznaje to z góry jednak autor — wadze przedmiotu powstały dwie teorye, jednostajnie krańcowe i wręcz sobie przeciwne.“

„Zdaniem jednych uczonych, ludność Rusi pułudniowéj nosi ślady widome żywiołu turańsktego (tursko-tatarskiego), co miało niby powstać skutkiem nieprzerwanego przez długie czasy przypływu plemion turskich do téj krainy w miarę wytępienia przez nich ludności starosławiańskiéj. Już w epoce starożytnéj (do połowy XIII wieku) nieprzerwany szereg zmieniających się wzajem wpływów Chozarów, Pieczyngów, Torków, Berendejów, Czarnych Kłobuków i Połowców miał z południa zwęzić terytoryum zaludnienia słowiańskiego i rozcieńczyć miejscowy żywioł etnograficzny znaczną domieszką krwi azyatyckiéj. Podbój tatarski dokonał owego szeregu zwycięstw turańskich nad europejską Rusią. W ten sposób, zdaniem tych uczonych, można niby wytłómaczyć wogóle wytworzenie się właściwości etnograficznych plemienia małoruskiego.“

Teoryą tę, „turańską“, zbywa szan. profesor przecie dość krótko — względném przeczeniem, słusznêm w zasadzie — by wystąpić zato tém energiczniéj i w pełném uzbrojeniu przeciw owéj drugiéj.

Oto „wręcz przeciwnie temu inni badacze—powiada on—osobliwie pisarze polscy, wychodząc z tego samego punktu spustoszenia Rusi południowéj przez Tatarów przychodzą do odwrotnego wniosku i twierdzą, jakoby w opustoszałéj krainie zjawiła się (od XIII w.) nowa etnograficzna indywidualność, mało mająca wspólnego z Rusią starożytną; osadnicy z zachodu, mianowicie z Polski, zmieszawszy się z resztą pierwotnéj ludności, wytworzyli niby zaczyn nowego plemienia, bardziéj zbliżonego do gałęzi lechickiéj niż ogólnie ruskiéj.“

Na tém polega istota owéj teoryi — polskiéj niby *per excellenciam.*

Ależ, zdumieni sami, posłyszawszy tu raz pierwszy o niéj, wprawimy zapewne i szan. profesora w niemniejsze zdumienie, gdy mu z miejsca, dla usunięcia potrzeby i możności wszelkich dalszych wywodzeń i wnioskowań, odrazu zaręczymy, że nic podobnego do téj teoryi w piśmiennictwie naszém nie zjawiało się i wcale odszukać się nie da.

Najprzód nikt nigdy pomiędzy nami nie stawił, nie poruszał w jaki bądź sposób, kwestyi genezy etnicznéj narodu mało-ruskiego. Wśród nas nie mogła nawet taka kwestya powstać. Nikt nigdy nie wątpił, ażeby ci Rusini, którzy z „bat'kiem Bohdanem“ podnieśli się byli srodze przeciw swoim Lachom, nie mieli być tym samym narodem, co ci, którzy z mądrym Jarosławem spotykali Lachów bolesławowych na Bugu. Nikomu nigdy z nas na myśl nie przychodziło, ażeby w ciągu kilku wieków pomiędzy temi faktami, miała się na Rusi południowéj, pod przemocą tych lub owych niezwalczonych wpływów, wytworzyć nowa etnograficzna indywidualność, mało mająca wspólnego z Rusią tam starożytną. Rusin południowy Jarosława i Rusin ukrainny Chmielnickiego był zawsze dla nas, jeśli nie takim samym, to zawsze tym samym Rusinem. Był dla nas tym samym Rusinem i ten, co recytował „Słowo o pułku Igora“ i ten, co śpiewał nie mniéj smutną dumę o kniaziu Bohdanie Rużyńskim. Nikomu również na myśl nie przyszło twierdzić, jakoby skutkiem wpływu osadnictwa polskiego powstało na Rusi południowéj wogóle nowe plemie, bliższe gałęzi lechickiéj niż ruskiéj; a więc które się zupełnie oddaliło etnicznie od najbliższych swych pobratymców Biało-rusinów, co zdołali przechować czysty typ wschodnio-słowiański—ruski. Nie, na takie pomysły nie wpadaliśmy!

Co więcéj, do takiego stopnia myśmy lechityzmu w Rusi południowéj nie upatrywali, że nawet wśród niefortunnie zapędliwéj polemiki galicyjskiéj, nie przypominano pewno nigdy gorliwcom tamecznym ruskim tych Lachów, którym Rusowie dopiéro za Włodzimierza W. czerwieńskie grody zabrali. Nie przypominano, choć tak łatwo było dworować nad ich tam pierwobytnością, gdy trzeba było pierwéj, podług świadectwa Nestora, Lachów z posiadłości wyzuwać.

Ale przecie musi miéć poważny profesor kogoś na oku, przypuszczając ów atak na widmo, które podniósł aż na wyżynę „teoryi“ polskiéj. Musi być tu chyba jakieś *qui pro quo*, upowite w widoczną gmatwaninę nie mających z sobą bezpośredniego związku historycznych poglądów. Czyby nie o Duchińskiego przypadkiem tu chodziło i jego osławioną a rozgłośną tyle niegdyś na zachodzie teoryą? Ależ ten właśnie jest „turanistą“, a nadto nie w narodzie mało-ruskim turanizm upatruje. Co więcéj, zbyt już nawet czysto słowiańskim chce go widziéć. Teorya jego, lubo posunięta do paradoksalności, powstała z potrzeby wytłómaczenia naukowego etnologicznéj genezy zdobywającego ze zdumiewającą szybkością wszechświatowe znaczenie, potężnego narodu rosyjskiego. Tajemnicę jego potęgi upatrywał Duchiński w skrzyżowaniu się tylu różnorodnych plemion, które na wytworzenie typu wielkorosyjskiego się złożyły; podobnie jak inni etnologowie w takiejże przyczynie upatrywali zasadniczą podstawę potęgi rasy brytańskiéj. Zapatrując się na wielomilionowy naród rosyjski, ledwie nie przeważający liczebnie wszystkie staro-słowiańskie razem wzięte, za typ zupełnie zwarty w sobie, całkiem odrębny, równoważny z niejednym szczepem całym, nawet bez liczenia do typu tego Rusinów wszelakich, zatrzymywał fantastyczny etnograf tych ostatnich w grupie staro-sławiańskiéj, jaką przeciwstawił rosyjskiéj. W takiém etnologiczném rozgrupowaniu Rusini—nie tylko południowi, lecz wszyscy razem, a więc i zachodni Krzywiczanie i północni Nowogrodzianie—jako Słowianie niezmieszani, okazywali się być oczywiście bardziéj bliskimi grupie lechickiéj i nawet każdéj innéj aryjskiéj — i tyle. Mniejsza już wcale, że sam Nestor znów najgłębiéj pomiędzy Czudy wdzierających się Wiatyczan z Radymiczanami podaje za Lachów. Ale nikt mniéj jak właśnie Duchiński nie posunął by się do przypisywania wpływom osadnictwa polskiego na Rusi południowéj wytworzenia tam nowéj etnograficznéj indywidualności, o tyle bliskiéj grupie lechickiéj, o ile oddaliła się ona od staro-ruskiéj. Nie zgadzałoby to się z jego doktryną. Lecz gdyby nawet i tak, wiadomo przecie, iż wśród nas Duchiński, dla swéj jednostronności i niena-

ukowéj wcale metody, powagi autorytetu nie posiada. Możliwe zaś ekstrawagancye, jakich niedowarzonych publicystów w rachunek tu zupełnie nie wchodzą.

Niema zatém wcale w piśmiennictwie naszém teoryi, jaką nam p. Władimirskij-Budanów przypisuje. Dwie tak wielce różne rzeczy, jak geneza nowego indywidualizmu etnicznego, geneza nowego narodu, a fakt względnego wpływu narodu na naród, drogą osadnictwa czy inną, nie dadzą się w tym razie zespolić. Wypadnie więc i nam w traktowaniu dalszém rzeczy te oddzielić.

Tymczasem, po takiém ogólném założeniu, autor wstępu, przechodząc daléj już ku sprawie saméj kolonizacyi, zaznacza, że „podług téj teoryi zasiedlenie Rusi siłami Polski zaczyna się od najdalszych kresów zachodnich ruskiéj ziemi; w XV w. było zakończoném zasiedlenie Rusi czerwonéj ze starém Wołyniem i Podolem; od końca XVI i w początku XVII w. doszła koléj do ukraińskich pustyń Rusi południowéj. Udział Polski w szybkiéj, prawie cudownéj kolonizacyi stepów południowych w XVI—XVII w. nie ogranicza się środkami rządowemi; tu właśnie działają jakoby plemienne (etnograficzne) siły Polski.“

Nie „podług teoryi“ jakiéjś, nieistniejącéj wśród nas, a oto tak istotnie my się zapatrujemy w zasadzie wszyscy — kto tylko przedmiotu tego badaniem dotykał — na charakter a zarazem geograficzny i chronologiczny porządek wpływu Polski na postęp kolonizacyi Rusi południowéj—krok po kroku, w ciągu stuleci! Przez Polskę rozumiemy, wśród bogatego urozmaicenia jéj dziejów ubiegłych, nie tylko dziedzinę szczupłą Piastów, ale i szeroką następnie Rzeczpospolitę. Przez siły zaś jéj, czynne w zasiedleniu Rusi, rozumiemy nie tylko działalność władzy zwierzchniczéj i jéj bezpośrednich organów, nie tylko zabiegliwość przewodniczącego stanu, wyprzedzającego nieraz władzę najwyższą w inicyatywie; ale nie mniéj i względny udział czynny i zasługi pracy krwawéj polskiego ludu. Zasługi tłumów ludu wolnego, nieodstraszenie w postaci drobnéj szlachty posuwającego się wciąż naprzód; zasługi rzemieślnika, cisnącego się do nowopowstających miast i miasteczek; pracę osadnika kmiecia, czasem nawet, acz rzadko, gromadnie sprowadzanego, a nawet pomiatające niebezpieczeństwy „zuchwalstwo“ kmiecia—zbiega, rwącego pęta krępujące go w domu.

Tak my oto rozumiemy „siły“ Polski.

Co zaś do udziału w osadnictwie samego ludu polskiego, takowy w kolonizacyi Rusi Czerwonéj niezaprzeczenie był znaczny, a niewątpliwy od końca XVI w. i w dalszych ziemiach ukrainnych, i nie w postaci zbiegostwa jedynie.

Nie ilustruje tego przytoczone przez szan. profesora osobiste nasze, przy okoliczności, wypowiedzenie się, że „prąd wychodztwa ku kresom ukrainnym na osady był tak niepowstrzymanym, że ziemie środkowéj Polski, z nieobliczoną stratą dla siebie, wprost pustoszały"; chociaż „starano się usilnie zaradzić zbytkowi złego, zakazując mnogiemi prawami sejmowemi zbieganie chłopów, stanowiąc surwe kary na każdego przywabiacza cudzych poddanych." (Źródła dziejowe t. V. — Starostwa ukrainne str. IX). Nie ilustruje należycie, powiadamy, ponieważ cytata powyższa, wyrwana z całości, dopełnia tylko ogólniejszy rzut oka na zapęd kolonizacyjny w końcu wieku XVI, wskazując i na zbiegostwo. Nie może więc też służyć—jak chce p. Władimirskij-Budanow — „za wzorzec tego, jak należy rozumieć myśl polskich pisarzy i o pierwotném zasiedleniu Rusi po spustoszeniu jéj przez Tatarów." Chociaż autor słusznie podkreślił wyrażenie „środkowéj Polski", gdyż właśnie wyrażenie to obejmuje téż i część ziemi z ludnością ruską.

Po zarysowaniu mniemanéj etnograficznéj teoryi polskiéj i związanego niby z nią ściśle ogólnego poglądu pisarzy polskich na sprawę kolonizacyi Rusi, przechodzi szanowny profesor do większych szczegółów.

„W swoim czasie — powiada on — Grabowski (Michał) pisał co następuje: Odebrane od dziczy azyatyckiéj i uwolnione od niéj pustynie Polacy powoli zasiedlili, zapewniwszy bezpieczeństwo Rusinom, pozostałym na swych pogorzeliskach, w lasach, błotach i zaroślach, oraz zachęciwszy rozproszonych po innych krajach do powrotu do ojczyzny. Było to powiedzianém prawie 30 lat temu; zdawało by się — robi uwagę daléj autor—że zdania, które i wtedy wyglądały jako przestarzałe, już nie będą powtarzane potém w literaturze polskiéj bez wszelkiego sprawdzenia i bez nowych uzasadnień. Jednak podobne poglądy nie przestają i dotąd być wypowiadanemi i, co dziwniejsza, właśnie przez takich uczonych, którzy dali pierwszy początek wydawnictwu cennych materyałów, prowadzących najoczywiściéj do wniosków przeciwnych. Tak poglądy Szajnochy i ks. Tad. Lubomirskiego powtórzone są w ogólnym zarysie przez Jabłonowskiego. Ten ostatni ma do czynienia z kolonizacyą ukrainnych pustyń ruskich w końcu XVI i na początku XVII wieku, nie zaś z pierwotném zasiedleniem środkowych części Rusi południowéj. jednak mimochodem i w krótkości powtarza ogólne poglądy polskich pisarzy na ten przedmiot, poglądy, które widocznie zamieniły się w aksyomat w naukowo-historycznéj literaturze polskiéj."

Poczém, jakby na udowodnienie, następuje cytata ze „Źródeł dziej." (t. V, Starostwa ukrainne str. VI, VII) téj oto treści:

„Po pogromie mongolskim, nie posiadała Ruś żadnych sił wcale do podźwignienia się i nie byłaby nigdy wstanie sama tego dokonać, Litwa zdołała ją obronić, ubezpieczyć na czas; ale nie mogła jéj podnieść, zaludnić, urządzić i ku europejskiéj cywilizacyi przychylić. Zadanie to historyczne przypadło na dział Polski, a będąc warunkiem przeważnym faktycznego ziem ruskich posiadania i posiadania tego moralném uprawnieniem, stało się z czasem jéj wysoką misyą dziejową. I zadanie to (dotąd), skutecznie i gorliwie, (była) ona pełniła.“

Tak tedy uderza p. Władimirskij-Budanow w pisarzy polskich zarzutem, że ci sobie stworzyli jakby aksyomat jaki w zapatrywaniu się na sprawę stanowiska Polski piastowskiéj i jéj ludu w dziele kolonizacyi Rusi i nie odstępują od niego, mimo gromadzących się wciąż coraz liczniejszych wyjaśnień, świadczących przeciw niezachwianości tego aksyomatu. Że mnie zaś wypadło dotykać téj rzeczy już po Szajnosze i Lubomirskim, w mojéj zatém uwadze ogólnéj, przytoczonéj wyżéj, widzi on jakby reasumpcyą zapatrywania się całéj niby polskiéj szkoły historycznéj—zapatrywania się, jego zdaniem, oczywiście błędnego.

Zarzutu mylności w zapatrywaniu się na tak ważny przedmiot, aksyomatu tu nie uzasadnionego nie mamy prawa oczywiście pozostawić bez odparcia. Tém bardziéj iż w owém zdaniu naszém nie ma ani odrobiny przesady, jaką by można było komu z badaczy u nas dawniéjszych zarzucić. Ale jest ono istotnie streszczeniem tego, co poważnie wśród nas o doniosłości oddziaływania w ubiegłych epokach Polski na Ruś wypowiedzianém zostało. Chociaż tedy ubiegło już dziesięć lat od sformułowania przytaczanego sądu, w ciągu których badania historyczne zrobiły nie jeden krok naprzód, przybyło niemało źródeł nowych, a tyle zawiłych i błędnych pojęć dało się sprostować; my przecie stoimy przy naszém zdaniu i odpierając zarzut mylności, gotowiśmy je bronić co do wszelkich jego odcieni nawet. A więc.

„Po pogromie mongolskim nie posiadała Ruś żadnych sił wcale do podźwignienia się i nie była by nigdy wstanie sama tego dokonać.“

Zostawmy na stronie wyglądający w tym razie akademicznie spór profesorów kijowskich, czy Ruś południowa przez Mongołów została spustoszoną zupełnie czy nie zupełnie, a więc czy potrzebowała lub nie przypływu świeżéj siły z zewnątrz dla podźwignięcia się. Z góry piszemy się na zdanie, że była ona zniszczoną nie zupełnie. Ale cóż ztąd? Rozprzężona całkowicie, nawet w każdéj z osobna grupie swych dzielnic (nie tylko kijowskiéj, po zdeptaniu Kijo-

wa, lecz i halicko-włodzimierskiéj), jeszcze przed przyjściem Mongołów, została ona przez nich doprowadzoną do ostatecznéj niemocy. Znane usiłowania Daniela ku wydźwignięciu jéj—toć to świadectwo tylko jego osobistéj dzielności i energii; a jego państwo ukrólestwione—toć to śmiały plan tylko, piękne zamierzenie, nie zaś dająca rękojmię nadal rzeczywistość. Szarpiące wnętrza społeczeństwa Rusi Czerwonéj możnowładztwo ogląda się wciąż ku zachodowi, ku Węgrom i Polsce, a całe obwody Podola, Wołynia, Polesia poddają się dobrowoinie Mongołom, Kijów sam na czas pewien staje się strażnicą tatarską. Najmniejszego poczucia solidarności jakiejś choćby pobliższych rodów dynastyi, najmniejszego poczucia żywego narodowości, w obecném znaczeniu tego wyrazu: jest zaledwie świadomość chaotyczna przynależności do jednéj dotąd „ruskiéj“ kultury; pojęcie odrębności etnicznéj Rusi południowéj ani świta jeszcze. Komuż tedy Ruś tę dźwignąć, gdy śród niéj saméj sił niema, nawet ród dzielnego Daniela wygasa. Obok Polski, co zajęła ziemie czerwieńskie, jedna potężniejąca na jéj rubieży północnéj, śród Krywiczan, Litwa chyba zdolna po temu!

Istotnie, część Rusi południowéj jéj w dziale przypadłą „Litwa zdołała obronić, ubezpieczyć na czas.“

Przyznają to chętnie i historycy ruscy, przyznają co należy rodowi Gedymina, Olgierdowi, Witoldowi, Koryatowiczom, Olelkowiczom; tém chętniéj, że nie widzą w nich panów obcych sobie, nawet w synu Biruty. Podoba im się jeszcze Litwa i jéj kunigasy, przebaczają im zagarnięcie całej prawie Rusi starej—oni tak łatwo przyjmują jéj obyczaj, język, wschodnią wiarę. Ale niechno poczną ciż kunigasowie zwracać się ku zachodowi, ku katolicyzmowi, ku Polsce—to się im wnet praw po temu odmówi. Tymczasem nieodzowna to dla Litwy konieczność. Zagrożona przez krzyżackie zakony nie znajdując już ognia ożywczego w dogasającym zniczu i nie łudząc się co do rękojmi ocalenia swéj niepodległości przez przyjęcie powszechne obrządku wschodniego i zatonięcie w Rusi—musi ona szukać opory na słowiańskim zachodzie. Nie zdolna zatém sama sobie wystarczyć, oczywiście nie mogła téż i Rusi południowéj—„podnieść, zaludnić, urządzić i ku europejskiéj cywilizacyi przychylić.“

Nic to nie uszczupla zasług Witolda, Koryatowiczów, Olelkowiczów względem Rusi, wcale nie zmniejsza doniosłości siły odrodczéj samego żywiołu małoruskiego na jego własnym gruncie. Ależ tém nie mniéj nieustanne pustoszenia Tatarów wywoływały potrzebę ciągłych a ciągłych wznawiań zaludnienia, nie tylko zaraz po strasznych odwiedzinach Mengli-gireja; wznawiań z bardziéj ludnych i mniéj narażonych na spustoszenia, a więc przeważniéj koronnych

ziem rzeszy Jagiellońskiéj. Co zaś do urządzenia kraju—wiadomo, iż w. księstwo litewskie dopiero po ściślejszém zespoleniu z Polską, jako państwowy porządny organizm urządzoném zostało; porządek zaś ten swój zaprowadziło w ziemi wołyńskiéj i po całéj Ukrainie. Drugą połowę ówczesnéj Rusi południowéj, połowę zachodnią tj. Ruś czerwoną Polska zupełnie bezpośrednio zagospodarowała. I ztamtąd to silniéj może, jak przez Litwę, posuwała ku stepom dnieprowym cywilizacyą europejską.

Wobec całkowitego rozprzężenia narodowego Rusi staréj w ogóle, wobec bierności panującéj nad nią przeważniéj Litwy— „zadanie to historyczne przypadło na dział Polski".— Któż temu zaprzeczy? Przecież nie z Węgier ani przez zakony krzyżackie szerzyło się po Rusi uspołecznienie europejskie!

Zadanie zaś to—„będąc warunkiem przeważnym faktycznego ziem ruskich posiadania i posiadania tego moralném uprawnieniem, stało się z czasem jéj wysoką misyą dziejową."

Rzeczywiście—pełnienie tego zadania było dla Polski moralnym obowiązkiem względem Rusi a zarazem misyą historyczną w obliczu wymagań tego wysokiego stanowiska, jakie koleje dziejowe dały jéj zająć—od czasu pierwszego nawet związku z Litwą— wśród ludów słowiańskich i we wschodniéj Europie wogóle.

„I zadanie to (dotąd), skutecznie i gorliwie, (była) ona pełniła."

Najniewątpliwiéj! — mimo najbardziéj stanowczego protestu szkoły, z jaką i autor wstępu do obecnego zbioru historycznych materyałów się solidaryzuje. Tak—„dotąd" tj. do końca prawie pierwszéj połowy XVII-go w., do którego sięgały „Lustracye królewszczyzn ziem ruskich", wydane w V-m tomie „Źródeł dziejowych," zkąd właśnie szan. profesor przytoczył ze wstępu pod tyt. „Starostwa ukrainne" powyższe nasze zdanie. „Dotąd"—powtarzamy, Polska należycie „była" pełniła owo zadanie. Pełniła—dopóki, jakeśmy tam zaznaczyli, wprowadzane przez nią tu porządki nowe, nie podtrzymywane odpowiednio sprężystą ręką władzy najwyższéj i organów jéj miejscowych, nie poczęły się wypaczać a następnie, zupełnie rozluźnione, nie wytrzymały strasznego wstrząśnienia, socyalnego, skutki którego zniweczyły na długo wytrwałą pracę kulturową epok poprzednich.

Poczém oczywiście, gdyby nam postawiono pytanie—czy Polska przecie spełniła ową swą misyą, czy spełniła, dzielnie a konsekwentnie, swe zadanie w ogóle względem Rusi? za całą odpowiedź wskazalibyśmy na fakt jedynie, że niestety straciła Ukrainę a potém rozprzężona wewnątrz do ostateczności, chwytając się zapóźno środ-

ków ratunku i sama upadła politycznie, jako Rzeczpospolita, nie spełniwszy misyi życiowéj nawet względem siebie.

I któż tu przeciw takiemu zapatrywaniu się ściśle historycznemu może coś zarzucić? Gdzie tu „teorya“ z góry ułożona, gdzie „aksyomat“ nieuzasadniony?

Ale inaczéj zaprawdę rzecz wypadnie, gdy się komu podoba w tłómaczeniu tekst nasz zmienić, wywracając zarazem najzupełniéj jego znaczenie! Gdy zamiast: „I zadanie to dotąd, skutecznie i gorliwie, była ona pełniła“, poda się: „I etu zadaczu ona wypołniała tszczatielno i usierdno.“ Co za przeciwieństwo! W pierwszym razie mówi się jedynie w pewnéj określonéj epoce; w drugim zaś cios wymierzony, jakby sarkastycznie na potępienie bezwarunkowe misyi Polski, przez rozciągnięcie naszego sądu ogólnikowo na cały zakres samoistnego życia Rzpltéj. Nie posądzamy autora o umyślne podsuwanie innego znaczenia; skutek to prawdopodobnie niewczytania się tylko w tekst lub może i niedostatecznéj znajomości odcieni naszego języka. Zawsze to zmiana znaczenia radykalna; mniejsza, gdyby przeciwnik nasz z zasady, i w owéj epoce istotnego czynu, misyą Polski negował.

Tyle co do mnie osobiście. Nie ma jednak wątpliwości, że i dzisiejsi nasi badacze wogóle podobnież na ten przedmiot się zapatrują. Wprawdzie po owych nam zarzutach p. Władimirskij-Budanow dodaje, iż „z zadowoleniem winien zaznaczyć, że niektórzy z pisarzy polskich nie powtarzają już więcéj błędów swych współziomków.“ Ale nie domyślamy się, kogo z naszych najnowszych badaczy może miéć on w tym razie na względzie. Boć kto nie powtarza tylko sposobu widzenia swych poprzedników, nie dowodzi przez to jeszcze, iż go nie podziela; w takim razie musiałby wypowiedziéć i uzasadnić odmienne czy przeciwne zdanie swe własne,— a nic takiego przecie jeszcze wśród nas nie wypowiedziano.

Wogóle zaś odnośnie do dzisiejszych naszych badaczy parę słów jeszcze z szerszego zakresu dodać tu ośmielilibyśmy się. Nie o uwieńczenie naszéj przeszłości niezasłużonemi wawrzyny nam chodzi lub iść już tylko może: wcale siebie za pogrobowców nie mamy, nie poczuwamy w sobie potrzeby ekstaz epitafijnych, prawdy historycznéj chcemy poszukiwać — sami żywi — trzeźwo i bezobłudnie. Jaką ją znajdziemy, taką zapisujem — byśmy tylko, po jéj szczeblach, mogli zdobyć większą świadomość siebie w przeszłości, świadomość istotnego przebiegu życia zgasłéj Rzeczypospolitéj. Los jéj ostateczny sam wydał sąd o niéj. Ale nie umniejsza to wcale rzeczywistych jéj zasług cywilizacyjnych we wschodniéj Europie.

Lecz dzieje Rzpltéj ubiegłe — to dziedzina wspólna nam z Litwą i z Rusią—wspólne i sława i błędy. Złożonéj z tylu ludów zrzeszonych—historya jéj nie może być opowieścią życia jednego z nich tylko, choćby przewodniczącego, obok którego inne — niepodbijane—wyglądałyby jako ofiary podboju szczególniéj. Każdy z jéj ludów składowych zatém snuł niezaprzeczenie wogólnym pochodzie i własne swe dzieje, oddziaływając zarazem w ten lub inny sposób, w tym lub innym stopniu, na współzrzeszonych; ale tém nie mniéj brał udział czynny i w życiu ogólném zbiorowego społeczeństwa— jak Litwa tak i Ruś. Co do żywiołu małoruskiego—wywarł on nawet bardzo znaczny wpływ na rozwój ogólny Rzpltéj. Niewątpliwie było dużo ujemnego w tym wpływie Rusi; wskażmy tylko na rozpasanie jéj możnowładztwa, rozpasanie jéj kozaczyzny, starcie tych wzajemne, prowadzące do rozpasania ludu, bałamuconego nadto rozpasaniem walki hierarchicznéj, religijnością upozorowanéj. Ale nie mniéj widomy i wpływ jéj dodatni: naród mało-ruski bronił Rzeczypospolitéj długo własnemi piersiami, dał jéj ze swego łona tylu dzielnych męży, piśmiennictwu polskiemu tylu znakomitych pracowników.

To wszystko chętnie Rusi przyznajemy — i na trzeźwo. Nie ulegamy już bowiem owéj manii kozakowania fantastycznego, co nawiedzała jak zmora niedobra naszą poezyą, naszą literaturę i życie towarzyskie nawet, przez całe niedawne półwieku prawie. Nie posuniemy się pewno raz drugi aż do popisywania się w druku powtarzaniem takich niedowarzonych, o Ukrainie i Zaporożu, elukubracyi zadnieprskich ubiegłéj doby erudytów, jakiemi się popisywano u nas przed laty 30 jeszcze, przyprawiając je sentymentalném rozwodzeniem się, niby dla ekspiacyi ofiarnéj. Ale przyznamy wszystko, wpiszemy na karty historyi naszéj, cokolwiek dodatniego w oddziaływaniu Rusi na Polskę sami ruscy badacze więcéj nam wyświetlą. Lecz za to téż, niechże nam wolno będzie stanąć w obronie tego, co żywioł polski kiedykolwiek był wniósł i wnosi — na nieszczęście z własną stratą ostatecznie — dla Rusi.

Tak się zastrzegłszy, śmiało utrzymujemy daléj, że nawet to, co p. Władimirskij-Budanow rad nazywa „teoryą" u naszych badaczy, nie jest przesadném, naciąganém, a cóż dopiéro obłędném.

Michała Grabowskiego możemy zostawić na stronie: publicysta to, estetyk bardziéj niż historyk. Zresztą zapatrywanie się jego, wypowiedziane temu lat 30, grzeszy przedewszystkiém nieokreślonością swą ogólną i byłoby zupełnie błędném, gdyby je chciano literalnie zastosować do jednéj wyraznéj epoki chronologicznéj, np. pomongolskiéj, w któréj Polacy ledwie na skrawku Rusi i to Rusi Czerwonéj mogli gospodarzyć.

Inaczéj rzecz ma się z Szajnochą i ks. T. Lubomirskim.

Szajnocha roztoczył wspaniały obraz pochodu osadniczego polskiego żywiołu w dwóch zarysach: „Zdobycze pługa polskiego“ (w „Szkicach histor.“) i „Kresy pogańskie“ (w „Dwa lata dziejów naszych“). W pierwszym, bardziéj w szczegółowe fakta obfitym, wykazuje on zdobycze rolnika polskiego, bez różnicy czy nim był mazowiecki szlachcic szaraczkowy, czy kmieć w Rusi Czerwonéj, od czasu jéj przyłączenia do Korony przez Kazimierza W. zdobycze faktyczne, trwałe, niezaprzeczone. W drugim—podboje dalsze, już na kresach, bardziéj inicyatywy i kapitału, bez względu na jego postać, aniżeli rąk polskich. Chociaż i tychże nigdy nie brakło, tak Zaporożu jak i sielskim témbardziéj słobodom. W pewnych zaś epokach, jak np. w przełomie z wieku XVI na XVII, przypływ na Ruś dalszą żywiołu polskiego był nawet bardzo znaczny. Wogóle zaś odgrywały tu wciąż względną rolę, mniejszą lub większą, stosownie do miejscowości a czasu i—„plemienne, etnograficzne—jak to mianuje nasz przeciwnik — siły Polski.“

Ks. Lubomirski już systematyzuje pochód historyczny wpływu polskiego na osadnictwo i zaludnienie pustyń Rusi południowéj. Wypowiada się on najwybitniéj w następującéj uwadze: „Ciekawém téż byłoby wyśledzenie postępowego zebrania się kapitału czysto-polskiego, od czasu założenia Kazimierzowskich spichlerzy na Wiśle, nabycia Spiża i Siewierza, spłacenia za Bełz ruski; aż do wpływu wywartego stanowczo na losy reszty krajów ruskich, przez tenże kapitał, który wzmagając się, niepowstrzymanie dążył do działania po za granicami miejsca zrodzenia się swego. Najprzód tedy przywrócił do życia małą i średnią uprawą Ruś Czerwoną, spotkawszy w niéj pola żyzne; od połowy XVI wieku przeniósł swe działanie w pustynie podolskie i bracławskie; na początku w. XVII zwrócił się w Kijowskie; koło połowy zaś tego stulecia przekroczył nawet Dniepr i t. d.“ (Wołoskie osady). Nie przypuszczamy jednak, aby w pochodzie tym, trochę może za systematycznie pojmowanym, widział ks. Lubomirski nie tyle rozszerzający się wpływ ekonomiczno-kulturowy Polski, ile bardziéj posuwanie się gromadne etnologicznego żywiołu polskiego.

Solidarne pojmowanie przez historyków polskich wogóle sprawy kolonizacyi Rusi przez Polskę zawiera się tedy nie tyle w wysuwaniu naprzód motywu etnicznego, tezy zaludnienia Rusi żywiołem polskim, ile w podnoszeniu motywu, że tak powiemy, moralnego, kulturowego, jak inicyatywa, przewodniczenie i dokonanie rzeczy faktyczne. Przez wyrażenie: „kolonizacya Rusi przez Polskę“ rozumieją nasi historycy najmniéj zaludnienie jéj przez lud

polski. Gra przecie motyw ten rolę przeważną w zakolonizowaniu w w. XIV najbliższych ziem ruskich — chełmskiéj, bełskiéj, przemyślskiéj i z kolei Rusi Czerwonéj wogóle. Na dalszéj zaś Rusi, tam tylko może być mowa o zaludnieniu polskiém, gdzie się ono faktycznie wskazuje, jak na Podolu starém, Polesiu i wszędy, gdzie ślady onego do dziś namacalne, wszędzie, gdzie rojne wychodźtwo drobno-szlacheckie dosięgało w niepowstrzymanym wciąż pochodzie swym ku Ukrainie. Moc, którego to wychodźtwa łatwo dziś w Kijowie ocenić, przyjrzawszy się etnograficznie choćby resztkom tego obecnym — przy okoliczności wprowadzenia w życie nakazu władzy najwyższéj uwłaszczenia czynszowników gubernii zachodnich Rosyi.

Jeszcze jedna uwaga. Traktując o kolonizacyi Rusi południowéj wyłącznie, zdawałoby się, iż używszy tak określonego terminu, jużeśmy się zabezpieczyli od wszelkiéj wątpliwości w każdorazowém stosowaniu téj nazwy. Tymczasem nazwa ta, tak już uspecyalizowana, tyle jeszcze jest rozciągliwą, w znaczeniu równie geograficzném jak i historyczném, że trzeba wielkiéj pilności w jéj stosowaniu, by się nie narazić samochcąc na czyjeś dowolne znaczenia jéj w danym razie rozumienie. Nie łatwo to nam przecie. Nazwy „Ruś południowa“ bowiem bardzo rzadko używamy, stawiąc wszędzie na jéj miejsce, ze starego przyzwyczajenia, nazwę prostą „Ruś“ bez określenia bliższego. Jakoż wystarcza to nam zupełnie, gdy Ruś krywicką, białą, ogólném mianem „Litwa“ pospolicie obejmujemy, a dla Rusi północnéj, wielkiéj, nazwę „Rosya“ w języku naszym od stulecia ustaliliśmy. Lecz znowu sam ten termin „Ruś“— mniejsza, iż go w potrzebie rozszerzamy aż do oznaczenia przezeń całego obszaru dziedzin Rurykowiczów, całéj grupy ludów ruskich, wszelkich wyznawców obrządku słowiańskiego we wschodniéj połaci Europy; najczęściéj my go bardziéj jeszcze zacieśniamy, stosując go tylko do Rusi Czerwonéj, dla nas „Rusi“ *per excellenciam*, jako najbliższéj nas z jéj dzielnic. Czego naturalném następstwem staje się, że chociaż my sami doskonale się rozumiemy, używając w przeróżnych znaczeniach tegoż wyrazu, ale zato wystawiamy się u obcych na zbyt łatwe z ich strony podsuwanie dowolne pożądanego dla nich znaczenia, choćby takowe było najwidoczniéj sprzeczném z myślą autora, takową wypowiadającego.

Wracając jeszcze do kwestyi pochodzenia — z dalszego wątku uwag profesora kijowskiego pokazuje się jednak, że wcale nie-polską teoryą co do genezy etnologicznéj narodu mało-ruskiego winien on był przeciwstawić turańskiéj. „Do pewnego stopnia podobne do polskich—powiada on w myśl swego głównego założenia—

zostały wypowiedziane poglądy na etnograficzny skład ludności południowo-zachodniéj Rosyi przez niektórych pisarzy rosyjskich. Tak, podług mniemania M. P. Pogodina, dzisiejsze właściwości plemienia mało-ruskiego nie mogą być inaczéj wytłómaczone, jak przez przypuszczenie, że w epoce Batego i wogóle tatarszczyzny cała starożytna ludność Rusi kijowskiéj została w części wytępiona, w części zaś wysiedliła się na północ Rosyi, na terytoryum przyszłego państwa moskiewskiego; że na jéj miejsce zjawiła się zupełnie nowa ludność z Karpat, która nie żyła pierwéj wspólném życiem z innemi plemionami ruskiemi, a ztąd różniąca się do tego czasu od reszty ruskiego narodu (wielko-rosyan); nowa ludność Ukrainy nie ma nic wspólnego ze starożytném plemieniem Polan zamieszkujących krainę kijowską do Tatarów. Chociaż Pogodin, dodaje szan. profesor, mówi o ludności Ukrainy, lecz cel jego teoryi— wytłómaczenie etnograficznych właściwości całego plemienia mało-ruskiego, z konieczności zmusza do rozszerzenia zakresu zastosowania jego teoryi.“

To więc jest prędzéj teoryą etnograficzną przeciwległą turańskiéj, nie zaś poglądy pisarzy polskich, dotyczące innego rodzaju wpływów na Ruś.

W literaturze rosyjskiéj pierwszy, co zajmował się kwestyą kolonizacyi Rusi południowéj, był profesor uniwersytetu kijowskiego Maksymowicz, pobudzony ku temu ową paradoksalną teoryą Pogodina. Odparł on ten „pseudo-uczony najazd“, jak nie mniéj i podobnéjże wartości, choć innego całkiem rodzaju, pogląd Grabowskiego; lecz samego przedmiotu nie badał. Nie badał go i daléj wśród uczonych ruskich nikt specyalnie; chociaż cząstkowo, powiada p. Władimirskij-Budanów, dotykało go wielu, jak w pracach ogólnie historycznych, tak i poszukiwaniach oddzielnych, poświęconych innym pytaniom. Nam znana bliżéj „Kolonizacya pustyń“ Kulisza w jego historyi Rusi.

Jakkolwiek przecie badania uczonych ruskich nie obejmują — ciągnie daléj autor — pytania o zasiedleniu południowo-zachodniéj Rusi, ani co do przestrzeni, ani co do czasu; lecz zdobyli oni już kilka niewzruszonych danych, które—dopełnione wnioskami otrzymanemi z wydawanych właśnie materyałów historycznych — dadzą się sprowadzić do następnych punktów ogólnego schematu :

„1. Spustoszenie kraju przez Tatarów wcale nie było zupełném.“

Jedną wszakże musimy tu dodać uwagę, że lubo spustoszenie to, którego straszne, okropnością tragiczne obrazy, oświetlili nam nowsi badacze jeszcze jaskrawiéj, nie było wcale zupełném; w każ-

dym razie jednak, przy nieprzerwanych razziach, nigdy Ruś południowa nie była w stanie tak swe straty zażywić, aby nie potrzebować już zasiłku osadniczego z zewnątrz.

„2. Nowe zasiedlenie środkowych części (Wołynia i Halicza) po spustoszeniu przez Batego w XIII w. odbyło się w tym czasie, kiedy Polska nie mogła mieć na to najmniejszego wpływu, gdyż istniało tu wtedy niezależne państwo ruskie Daniela i jego następców. Pomimo powtarzających się najść Tatarów, zasiedlenie przywróconém zostało własnemi siłami narodu ruskiego (z nieznaczącą przymieszką innorodców) w sposób podobny, jak jednocześnie takież przywrócenie zasiedlenia odbyło się w Rusi północno-wschodniéj. Jako główni kolonizatorowie w téj sprawie występują oni sami książęta halicko-włodzimierscy.“

Nikt téż z polskich historyków (o publicystach frazeologach nie ma mowy) o wpływie Polski na wznowienie zasiedlenia Rusi w owéj epoce nic nie powiada. Nikt nie przywiązuje zbytecznego znaczenia do takiego świadectwa, jak owo, że już do Daniela cisnęli się „naroczytii bojare i inyje Lachowie.“

„3. W pierwszéj połowie w. XIV terytoryum południowo-zachodnich księstw ruskich rozpadło się pomiędzy dwa państwa: litewskie i polskie. W pierwszém zasiedlenie południowych kresów (kijowskich i podolskich) przywróconém zostało w tych granicach, w jakich ono istniało do zaboru tatarskiego i po części posuniętém daléj w stepy ku morzu Czarnemu, dzięki energii książąt litewskich z domu Gedymina“... „Jakkolwiek téż i w początku XV w. Ruś południowa wielokrotnie była pustoszoną na nowo przez Tatarów, lecz zasiedlenie jéj było przywracaném w tymże obrębie (do najścia Mengligireja 1482) bez wszelkiéj ze strony Polski pomocy. Książęta litewscy istotnie obronili południowe kresy ziem ruskich i posunęli naprzód nie litewską lecz ruską kolonizacyą, przyswajając sami bardzo prędko narodowość ruską. Przeciwnie w stepach kresowych Rusi Czerwonéj tj. części Podola, zagarniętéj przez Polaków, nie widać żadnych postępów kolonizacyi; tam rozdawane są polskiéj szlachcie po większéj części gotowe zaludnione dobra“.

Sama Ruś Czerwona, przemożna część ówczesnéj Rusi południowéj, zasiedlana właśnie w téj epoce przez żywioł polski, jak widzimy, nie wchodzi w zakres *schematu*. A jednak w niéj właśnie i właśnie w owéj epoce historycy polscy wskazują zasługi swego narodu. Ominięte przez Mongołów Mazowsze, zaoszczędzone, a z powodu wyjątkowego swego rozwoju, tłumnie rojne swym wolnym ludem, zostawało z powodu węzłów pokrewieństwa książąt w bliższych niż inne dzielnice Polski z Rusią Czerwoną stosunkach. Po

wygaśnięciu rodu Daniela jeden z książąt mazowieckich zostaje nawet panem Rusi i rozwiera wychodztwu mazowieckiemu wierzeje na oścież. A dalej idą już owe „zdobycze pługa polskiego," tak obrazowo skreślone przez Szajnochę. Pustynie, uroczyska, ziemie „na surowym korzeniu," rozdawane na Podolu, wcale téż nie świadczą, żeby były w chwili nadania osiedlone: pełno ich jeszcze i na początku XVII w. (Źr. dz. t. V). Wszystko to zaś razem wzięte zmienia postać rzeczy: żywioł polski czynnie przykłada ręki do podniesienia ekonomicznego bliższéj siebie Rusi; przemilczenie o tém faktu nie usuwa.

„4. W 1482 i następnych latach zaszło powtórne ogromne spustoszenie prawie całego terytoryum południowo-zachodniéj Rusi, osobliwie zaś okolic kresowych ziemi kijowskiéj; tutaj ocalały jedne prawie miejsca obronne i osady dokoła zamków. Pustynia, jaka skutkiem tego zaszła, trwała następnie i w pierwszéj połowie XVI w. Lecz z nowém tém spustoszeniem styka się początek odwrotnego ruchu agresyjnego narodowości ruskiéj na stepy tatarskie w postaci kozactwa dnieprowskiego i bożskiego. Zjawisko to jest samodzielną próbą ludności ruskiéj ubezpieczenia nakoniec swego terytoryum od najazdów z południa—próba, przedsięwzięta wbrew celom politycznym państwa litewskiego. Kozactwo samo w sobie jest zjawiskiem narodowo-ruskiém; skład kozackich towarzystw nie jest to stek ludzi wszelkiéj narodowości; główniejszego jego kontyngensu dostarcza Wołyń, Polesie, Siewierszczyzna i Białoruś, w części ziemie północno-ruskie (państwo moskiewskie), lecz nie Polska. Sąsiednie ziemie polskie, przeciwnie, odciągały kolonizacyą od stepów ku sobie, tak że dostrzegać się daje ruch odwrotny ludności ruskiéj ku Polsce."

Po wielkiém spustoszeniu Mengli-gireja osadnictwo polskie z tém większą siłą posuwało się ku Podolowi—nie przekraczając jeszcze jego granicy od stepów. Dosyć tu wspomnieć zabiegliwość osadniczą królowéj Bony w Krzemieńcu i Barze. U kolebki kozaczyzny Polacy nie byli—to prawda; ale wprędce poczęli sami jéj niańczyć. Ziemie szczero-polskie nie odciągają wcale kolonizacyi od stepów ku sobie—słabe tylko tego ślady w Mało-polsce właściwéj dostrzedz by się dały. Gdzie zaś szan. profesor dopatrzył wyraźniejszy ruch odwrotny ludności ruskiéj ku Polsce, tego się domyślić nie możemy. A niezmiernie byłoby to dla nas ciekawém—prosilibyśmy o fakta. Wszakże to nie ów, znany ze „Źródeł dziej." (t. VI, str. 116) fakt, tutaj uogólniony tylko? Charakterystycznym on jest z wielu względów, i pozwolimy sobie przytoczyć go w całości i nawet w języku oryginału? Jest-to wyraz zażaleń, przed rewizorem „hospodarskim" zamków ziemi wołyńskiéj (1545), ziemian ówczesnego Po-

dola litewskiego winnickich na sąsiadów swych koronnych starego Podola, za robiące im ujmę ekonomiczną korzystanie tych ostatnich z „nieosiedziałości“ ich poddanych. Zażalenia zaś te ciekawe rewizor notuje w słowach następujących:

„Niżli około osełosti tych ludej dajut panowie zemianie pryczynu, sztoż oni aczkolwek tak mnostwo ich w sebie maiut, odnakoż służby i pożytków z nich mało, tolko w hodu try dni służat, a chto ne służyt, tot po szesti hroszej daiet, a w tom bohatszy i pyszniejszyj mużyk niżli pan. A to dla toho sia dejet, sztoż hranica polskaja ne daleko: kak kotoryj czełowek wschoczet, zawinitli albo ne zawinit, tak idet procz, a wydania i sprawedliwosti żadnoje ne maiut i jeszcze prychodeczy odtol złodejstwo i szkodu czyniat. Za kotorym rozpuszczenstwom chłopskim, iż i sam na sebie i na pana niczoho nerobit, a nabołej wedaiet dorohu kudy wtekati, dla toho i złodejstwa i rozboi i wsi razy złyi w tom krai od nich samych i od zem ich płodiatsia, bo nemajuczy szto robiti, musit muż krasti abo rozbiwati, a żona czary czyniti.“ Po których to skargach ziemianie winniccy następną prośbę do władzy najwyższéj zanoszą: „A tak chotiaczy uskromiti naperwej hrech, a potom szkodu zemskuju, potreba iest na to welikoho osmotrenia i łaski i bacznosti hospodarskoje, żeby Ieho Miłost' hospodar raczył rozkazat' tuju ustawu, jako panom koronnym, tak i wołyńskim i podolskim uczyniti: nechajby panowie Polakowie żadnych ludéj bud' otczycow abo neotczyców, od Wołyńców i Podolan ne pryjmowali, a kotoryiby wtekali, tychby wydawali pod utraczeniem imenej, tak też i panowie Wołyńcy i Podolanie potomuż k nim sia zachowali. A hdy sia to dostanowit, tut sia w rychle okażet, jest li tyiż ludi w robotach i podaczkach panom swoim ne budut powołnejszyi i pożytocznejszy i w tych złostiach swoich smirnejszyi, a nabolej w potrebach hospodarskich i zemskich, kotoraja na nich prychoditi budet, żadnoje przyczyny znachoditi sobie ne mohut, a poki toho ne budet, tohdy niczoho dobroho tam sia sprawowati ne może.“ Musimy tu zaznaczyć, iż w tym razie idzie rzecz jedynie o pospolite bardzo przebieganie granicy na rubieży południowej koronno-litewskiéj, widome również i w stosunku z Wołoszczyzną mołdawską; nigdy zaś o fakt, mający wskazywać na jakiś ruch odwrotny ludności ruskiéj ku Polsce. Zato wymowne tu świadectwo innego rodzaju: oto zbiega lud nie tylko od „porządków polskich“, nawet ku nim od porządków litewsko-ruskich; nie było mu widać tak źle u sąsiednich panów koronnych, a jego panowie gniazdowi ruscy nie potrzebowali się aż od Lachów uczyć brania go w kluby, wystarcza im „hospodarska i ziemska potrzeba.“

„5. Od czasu unii 1569 r. Polska — formułuje daléj p. Władimirskij-Budanow — pierwszy raz otrzymała możność rzeczywistego wpływu bezpośredniego na losy Rusi południowo-zachodniéj, gdy województwa kiljowskie, bracławskie, podolskie *(sic)* i wołyńskie wprost do Korony przyłączone zostały. Z faktem tym łączy się (przy końcu XVI w.) ogromny i szybki przypływ kolonizacyi ku stepom południowo-ruskim. Okoliczność ta służy też właśnie za nieuzasadnioną podstawę wyżéj dotkniętéj teoryi pisarzy polskich o zasługach Polski w sprawie zasiedlenia spustoszałéj Rusi. Rzeczywiście było ono dziełem Polski, lecz wcale nie jéj zasługą. Nie Polska wysyłała kolonistów na puste ukrainy, życząc im dobra, lecz przeciwnie ludność uciekała z wewnętrznych zasiedlonych okolic Rusi od umacniających się tam porządków polskich (szlachetczyzny i poddaństwa) skutkiem unii 1569 r. i od zamieszek religijnych, wywołanych przez unię 1596 r. W stepach zawrzało nowe życie; stepy od wieków nie mające słowiańskiéj ludności osiadłéj, napełniły się siołami, miasteczkami, nawet miastami, pod osłoną społeczności wojennéj Zaporoża. Wszystkie te osady napełniały się wychodźcami nie z Polski, lecz z Wołynia, Siewierszczyzny, zasiedlonych części ziemi kijowskiéj i Rusi południowo-zachodniéj, z ujmą gęstości zasiedlenia tych ostatnich i na uciążenie doli pozostałych na miejscu. Zbiegowie spodziewali się na nowéj glebie dziewiczéj skryć się od prześladowania nowych porządków społecznych i państwowych i tam prowadzić daléj lub odtworzyć staroruski tryb gromadowładnego życia. Lecz nadaremnie. Rząd polski i szlachta natychmiast skorzystali z tego objawu, ażeby rozszerzyć granice kolonizacyi szlacheckiéj przez rozdanie nowych ziem polskim i spolszczałym ruskim magnatom. „Nieposłuszna“ kozaczyzna początkowo nie dawała odporu szlachectwu, kroczącemu po jéj śladach, gdyż osadnicy używali długoletniéj woli (do 30-tu lat) od wszelkich powinności, robocizn i opłat; lecz kiedy po drugim dziesiątku lat XVII w. termin téj woli upłynął i rozpoczęło się rzeczywiste stosowanie władzy szlacheckiéj, poczęły się protesty w postaci powstań kozackich. Gdy zaś powstania takie zostały przytłumione, natychmiast uwydatnił się istotny charakter wpływu polskiego na kolonizacyą stepów: ogromne tłumy osadników ustępowały na Zadnieprze w głębie stepów ukrainnych państwa moskiewskiego. W taki sposób porządki polskie, powstałe od 1569 r., przyprowadziły w ostatecznym swym wyniku do zmniejszenia ludności najprzód w środkowych okolicach Rusi południowéj, a potém i do nowego wyludnienia stepów; samochcąc przyczyniały się one do zasiedlenia sąsiedniego państwa ze szkodą własnego. Tymczasem

w domu, na terytoryum Rusi południowéj, posiadłość polsko-szlachecka nie przestawała posuwać się w ślad kolonizacyi kozackiéj; nie przyciągała jéj, lecz napierała wciąż daléj ku porohom Dniepru i południowemu Bohowi, dopóki napierana ludność nie odwróciła się nazad i nie dała fatalnego odporu na Żółtych-wodach i pod Korsuniem i nie pognała szlacheckiéj kolonizacyi nazad ku brzegom Wisły — przy Bohdanie Chmielnickim."

Tu właśnie z kolei znajdujemy wypowiedzianém najwybitniéj to, co z naszéj strony słuszniéj daleko moglibyśmy nazwać aksyomatem szkoły historycznéj małoruskiéj; tu jego jądro prawdziwe! Znana to nam oddawna piosenka, dziś tylko motywy jéj wzbogacone nowymi akordami, bardziéj usystematyzowane, podniesione zastosowaniem wszelkich wymagań prawdziwego artyzmu i ułożone w jeden żałobny tren, niby akt oskarżenia. Tragiczny jego finał, wspaniały potok tonów — i całość byłaby znakomitą; czemuż nie usunięto zeń zabłąkanych kilku akordów fałszywych, pochodzących w epoce rozżalań się — zapóżnych, bezowocnych!

Akordy te fałszywe—to same negacye, przeczenia. Odpierać ich ponownie nie potrzebujemy; wytknąć przecie choć główniejsze wypada, dla samego uwydatnienia przedmiotu.

A więc....

Parowiekowe wytężenia Polski — jéj rządu, panów i szczególnie wolnego ludu szlacheckiego, władającego tak dobrze pługiem jak i mieczem, nad zagospodarowaniem Rusi Czerwonéj, szeroce wciąż (mimo zabiegów restauracyjnych króla Daniela i jego następców) odłogami leżącéj, zasadniczo, widać mocą tego aksyomatu, są pomijane. Jeśli się zaś o nie potrąca niekiedy, zmniejsza się ich doniosłość negacyą polskiego rolnego osadnictwa tak przez szlachtę drobną jak i lud kmiecy — zbytecznego, gdy panom rozdawano niby tylko już zasiedlone ziemie. Zamilcza się téż o licznie spływającym wciąż ku Rusi małomiasteczkowym rzemieślniku polskim, szukającym tam chleba. Co zaś do wychodźtwa z tejże Rusi Czerwonéj daléj na Ukrainę — zapomina się, że nim przyjdzie koléj na zbiegostwo, posuwa się pierwéj naprzód lud wolny, a więc tutaj już szlachecki, a więc w bardzo znacznéj części szczero-polski, nie tylko spolszczony.

Co do dalszéj Rusi południowéj, Ukrainy, powiada się, że istotnie kolonizacya jéj po dokonanéj unii 1569 r. była Polski dziełem, lecz jako żywo nie jéj zasługą. Dla udowodnienia tego nie przebiera się w motywach. Ucieka się nawet do sentymentalizmu, skądinąd bardzo przykładnego; oto—nie wysyłała przecie Polska kolonistów ku ukrainnym pustyniom przez życzenie im dobra! I jakąż

idealną, wzniosłą skalą mierzy się w tym razie rzeczy powszednie ekonomiczno-społecznego życia! Polska, tj. niby rząd Rzpltéj, nie wysyłała nawet w ogóle kolonistów; bo system jéj był inny pod tym względem. Cały przestwór stepowy, uważany z zasady za własność królewską i Rzpltéj, zależał pierwotnie, również w zasadzie bardziéj, od rozproszonych po nim zamków hospodarskich. Siedzący w nich z ramienia władzy najwyższéj starostowie, przewodnicząc z urzędu objawom wszelkiego tam życia, przewodniczyli tém bardziéj i zadaniu zaludnienia ciążących ku tym obwodów, podniecając i regulując ile się dało wszelki ruch osadniczy. Nowopowstające też osady kupiły się początkowo tam, gdzie było bezpieczniéj, a więc w pobliżu zamków. Dla wzmożenia osadnictwa starostowie mieli prawo używać wszelkich środków, między którymi najskuteczniejszym okazywała się długoletnia wola. Nie dawali się oni, oczywiście, w gorliwości co do tego wyprzedzać nikomu; zanadto dużo bowiem mieli w tém interesu własnego. Wzywano tedy na słobody lud rozliczny. Niewątpliwie przeważali wśród niego przybysze z pobliższych ziem południowo-ruskich i litewskich, ale też nie brakło wychodźców i ze stron dalszych. W ten sposób królewszczyzny w bliższym promieniu zamków zaludniały się szybko. Pod ochroną ich a przy poparciu starostów, zapadała na stepach liczniéj i szlachta drobna, zdaleka losami tu przygnana lub dobrowolnie szukająca na nowinach lepszéj doli. A nie jeden pan brat zapuszczał się i w step głębszy po kozaczemu, kumał się z nieposłusznymi i ginął w ich towarzystwie zaporozkiém. Tyluż podobych znamy poimiennie, począwszy od pana Krzysztofa Kosińskiego. Starostowie nie byli jednak w stanie ogarnąć na rzecz królewszczyzn całego osadniczego ruchu, wzbierającego z niepowstrzymaną siłą w stepach, nie mogli dosięgnąć nieposłusznych. Próba, Batorego jeszcze domniemalnie, zrejestrowania kozaków i co za tém idzie, względnego uporządkowania drobniejszéj wolnéj posiadłości rycerskiéj nie udała się a pustynie zalegały bezbrzeżne, w których dla każdego znalazło by się miejsce. W takich warunkach władza królewska chwyciła się środka, może na owe czasy i najpraktyczniejszego w zasadzie: oto dla przyśpieszenia kolonizacyi pustyń poczęto, pod naciskiem potężnego możnowładztwa, rozdawać je onego członkom, jako najodpowiedniejszym niby osadczym, którzy posiadali i dostateczną siłę ekonomiczną do ich zasiedlenia i siłę zbrojną do ich obrony. Ale skutkiem tego Ukraina stała się niebawem istnym łupem kniaziów Wołynia i wielkich panów tak ruskich jak i polskich. Że i tamci byli już do tego czasu przyjęli kulturę polską, stali się Lachami, było to może dziełem Polski, lecz nie jéj winą. Obdaro-

wani istnie książęcemi nadaniami możnowładzcy ci wysyłali, podobnie jak i wysocy nominalni starostowie, na miejsce, ze swego ramienia, podstarościch i osadców rzeczywistych—ludzi wojennych rozumie się, szlachtę, nie zawsze spolszczałą jedynie. Bywali między nimi i rodowici Polacy od Wisły. Ci przywołując na słobodę (wolę) kogo się tylko dało, nie zapominali wszakże napewne i bliższych sobie krwią i obyczajem, choćby z obozowego licznych chorągwi ludu—chorągwi tak w owe czasy ruchliwych a różnorodnych co do swego składu. Że najczęściéj jednak tonęło to wszystko, przez kobiety, z czasem w masie typu miejscowego, ruskiego—to rzecz nie podlegająca wątpliwości.

Jeśli Polska tedy, jako rząd, jako Rzplta, nie wysyłała na stepy kolonistów, w sposób nowoczesny; wysyłała ich niezaprzeczenie z łona swego, jako naród etnicznie pojęty, jako społeczeństwo—i nie tylko w postaci zbiegów od coraz cięższéj w domu pańszczyzny. Posiadała ona ludu wolnego wtedy więcéj, niż jakikolwiek naród ówczesny może: jedno Mazowsze z Podlasiem przeważyło by na szali porównania. Były to źródliska siły ekonomicznéj i kulturowéj Polski, zkąd falami całemi odpływały nieustannie, jak odpływają dogasająco do dziś dnia jeszcze, wezbrane przyrostem zasoby kapitału żywego ku ukrainom. Tajemnica tego spoczywała w historyi oryginalnego ziemi tych pod względem społecznym rozwoju. Nie zbiegowie więc tylko zasilali wychodztwo. Co do samego zaś zbiegania ludu obciążonego pańszczyzną—takowe porywało nie tylko ludność „środkowych zasiedlonych okolic Rusi"; ogarniało ono wieśniaka - chłopa nie tylko Małéj lecz i Wielko-Polski, prowadząc go jakby etapami osadczemi coraz daléj od gniazda rodzinnego. Nawet zbiegi z miejsc lepiéj zasiedlonych Rusi nie byli to zresztą jedynie Rusini. W ziemiach czerwieńskich istniała już od paru wieków kolonizacya polska, zasilana wciąż nowym przybyszem. Dziś jeszcze na starém Podolu utrzymują się przy życiu bardzo dawne osady kmiecia polskiego—nie tylko katolickie, lecz i mówiące po polsku. A ileż to jeszcze przetrwało osad „budniczych" na Polesiu. Nie wątpimy też wcale, że i w późniejszéj „wojnie chłopskiéj" na Ukrainie brało udział wcale nie mało wieśniactwa polskiego, jak nie mało szlachty szczero-polskiéj zajmowało wybitne stanowiska między starszyzną zaporozką.

Powiadają nam daléj : ludność zbiegała z zasiedlonych miejsc Rusi „od wprowadzanych tam, skutkiem unii 1569 r. polskich porządków—szlachectwa i poddaństwa". Ciekawych się rzeczy, tutaj dowiadujemy. Unia ostateczna Litwy z Koroną miała zaprowadzić dopiero w ziemiach dalszych Rusi południowéj szlachectwo i pań-

szczyznę; gdy to pewna, że nic ona pod tym względem nowego nie przyniosła. Nawet nie ma tu miejsca dla kazuistycznego tłómaczenia: *„post*“, zatém *„propter.*“ Zbiegano dobrze i przed unią 1569, a zbiegano nawet, jakeśmy to widzieli, od rubieży ukrainnych ku Polsce. Dlaczegoż teraz porządki, od których lud zbiega, mają być „polskiemi“? Nie od polskich porządków zbiegały „chołopy“ na Don, Jaik i za góry Uralu! Nie potrzebowało téż rozbujałe bojarstwo czerwieńskie z epoki Romana i całego jego rodu dopiéro uczyć się od Lachów, jak wyzyskiwać pracę smerda i trzymać go w ręku. Potrafiło ono swoich książąt wieszać a byłoby miękiém dla wieśniaka! Na nic poszły przecie zabiegi Daniela. Od porządków tegoż „ruskich“ się uchylając, trzy wieki temu lud całemi okolicami uciekał się dobrowolnie pod opiekę Mongołów, woląc im „siać proso“ etc. — byle się uwolnić od starego domowego trybu. Skądże wreszcie takie uparte wysuwanie dotąd naprzód mniemanéj sielanki patryarchalnéj w prastarém życiu społeczném Rusi; zostawmy to poetom!

Albo znów — skąd owo tłómaczenie „polskich porządków“ przez „szlachetstwo i podaństwo“? Co to jest „szlachetstwo“ w tém tu zastosowaniu, co za istotne znaczenie poważne tego terminu? Czy mamy tu rozumiéć instytucyą czy klasę społeczną; jaki jéj związek wyjątkowy z pańszczyzną i zbieganiem od niéj ludu? Jako instytucya istniała ona wszędy ówcześnie — jednostajna w swéj zasadzie, choć tyle odmienna w upostaciowaniu; wszędy, nie tylko w Europie zachodniéj—jako *nobilitas.* Czyż tedy pod względem socyalno-ekonomicznym, w stosunku do ludu gminnego, nie odpowiada mu stare czerwono-ruskie bojarstwo, lub mniejsza, iż feudalnie uszczeblowana, klasa kniaziów, panów i ziemian wielkiego księstwa litewskiego przed unią? Rojne kniaziostwo Wołynia nie mniéj pewno dociskało lud poddany jak w szlachectwo przemianowane wcześniéj bojarstwo po Haliczyźnie Szlachta polska nadto, jako stan, nie była naprawdę wcale jednolitą; nie tylko ekonomicznie, lecz i socyalno-politycznie wybitne w niéj były trzy klasy: panów (magnatów), rycerstwa (jednowioskowego) i szlachty drobnéj, własnemi dłońmi skibę swą uprawiającéj. Ta ostatnia była najliczniejsza i z biegiem czasu dla siebie wyłączniéj zatrzymała ową nazwę „szlachty.“ Więc chyba takie tłumne w Polsce „szlachetstwo“, ubogie a dociskane w domu, ponoszące pewne ciężary narówni z chłopem—o czém niech świadczą księgi poborowe—nie wyciskało pewnie sąsiedniego kmiecia, lecz samo rwało się ku szerszym przestworom. Termin zatém „szlachetstwo“ nic właściwie w tym razie nie objaśnia; rzucony oderwanie, bez bliższego określenia, — w tonie specyficznym pewnego kalibru publicystyki rosyjskiéj i z pieprzy-

kiem w jéj guście—jest dla nas zupełnie niezrozumiałym. Wypada go, jako terminu wiele odcieni mającego, podobnie jak wyrazów kniaź, bojar i t. p. z wielką tylko oględnością używać. Wolno na tym koniku jeździć owéj publicystyce; lecz poważnemu uczonemu wprost się to nie godzi — jeśli nie chce wpaść w posądzenie, iż jest i sam opętanym zmorą „szlachetsko-jezuitskiej intrygi.“ Więc nie od szlachectwa zbiegał lud na stepy i nie od porządków polskich, lecz od wzmagających się ciężarów w domu, w dobrach prywatnych nadewszystko — przy otusze znalezienia tam lepszéj doli!

Żeby zaś nadto miał zbiegać w stepy lud ruski i od zamieszek religijnych, wywołanych przez unię 1596 roku — to chyba znów oddźwięk tylko staréj przygrywki. Czyżby nie przebrzmiała jeszcze? Wszak była to sprawa przedewszystkiém hierarchii, co najwięcéj bractw cerkiewnych; szlachtę ruską z początku obeszła trochę, ale żeby lud wiejski był tém zainteresowany, czuł się dotkniętym—tego nie widać zgoła. Miał on powody realniejsze, co go gnały z domu, nie kłótnie duchowne!

Co do twierdzenia zaś, jakoby kolonizacya stepów miała się odbywać pod osłoną bractwa zaporozkiego jedynie — to już może za wiele hołdu dla niżowych towarzyszy! A tyleż zamków królewskich po całéj Ukrainie, tyle zamków kniaziów potężnych, mnóstwo zameczków pańskich, a i samego Zaporoża Kudak jeszcze pilnuje! Aż zabawne to, gdy się jeszcze spotyka zużyte dawno pomysły dzisiaj w poważném dziele. Zaporoże wprawdzie samo się dobrze zasłaniało, ale żeby miało zasłaniać i Ukrainę—temu nieustanne najazdy Tatarów przeczą.

Że nowe osady na stepach zapełniali przeważnie przybysze nie z Polski piastowskiéj lecz z rozmaitych ziem ruskich, to rzecz najniewątpliwsza. Powtarzamy tu jednak, że wychodztwo z Rusi Czerwonéj nie było tylko krwi ruskiéj. Przeczenie absolutne wychodztwa z Polski właściwéj zbijają choćby zaznaczenia w księgach poborowych. Słuszném zato jest wielce wskazywanie na ziemie krywickie i Siewierszczyznę, pierwiastek biało-ruski bowiem odegrał wielką rolę w ożywieniu Ukrainy naddnieprzańskiéj.

Co to za „staroruski tryb gromadowładnego życia“, jaki by wychodźcy z krain bardziéj zasiedlonych na stepy mieli na nowo odtwarzać — tego nie pojmujemy należycie. Tak mało nam znana owa staro-ruska gmina, tak wytworzone niegdyś pojęcie o niéj trąci znowu idylicznym sentymentalizmem, podobnie do wymarzonéj kiedyś przez poczciwych doktrynerów idealnego panslawizmu gminy pra-słowiańskiéj, że odwoływać się do niéj już może zapóźno, albo raczéj jeszcze zawcześnie, dopóki drogą badań chyba odwrotnych, retrospektywnych nie nabierzemy o niéj z czasem dokład-

niejszego pojęcia. Że nie doszło do odtworzenia na stepach owéj idealnéj gminy staro-ruskiéj, bo Rzplita niby i panowie stanęli temu na przeszkodzie! Ale przecież nie odtworzono jéj i po „ruinie“ na Zadnieprzu, mimo całéj po temu swobody pierwotnie.

Naprawdę jednak — nikt temu przeczyć nie będzie — przy zastosowaniu od paru wieków już praktykowanego w zachodniéj połaci Rusi południowéj trybu rozdawnictwa pustoszy i do Ukrainy, Rzplita dopuściła się błędu. Zamiast bowiem rozdawania pustyń rzeczywistych wolnemu ludowi i wojennemu, jak to stało się było niegdyś na Podlasiu, przy uwzględnieniu jednoczesném powstałych już samorzutnie osad wolnych, jak to zrobiono np. na drewlańskiém Polesiu — wszystko razem, całemi krainami, z rozproszonymi po nich chutorami, wolnymi dotąd faktycznie a należącymi do „nieposłusznych“ starostom, rozdano, jak wiadomo, między kniaziów i możnych panów. Ta zaś wielka omyłka polityczna i ekonomiczna, może w ówczesnych warunkach i nieunikniona fatalnie, staje się zaczynem zniweczenia po upływie pół wieku całéj pracy kolonizacyjnéj Polski, całéj jéj względem Ukrainy zasługi. Istotnie— *latifundia perdidere Poloniam!* Nie odpowiedziała ich ogromowi należyta sprężystość rządu, coby mógł uciszać waśni oligarchów, uorganizować siłę obronną kozactwa i ubezpieczyć raz nazawsze rolnika, zgniotłszy Krymców w ich gnieździe. Po temu Rzplita nie miała siły niestety: w nieubłaganéj konsekwencyi błędnego punktu wyjścia, samochcąc musiała stanąć po stronie jednéj społecznéj klasy na Rusi — jéj możnowładców, jednego obrządku i jednéj narodowości — przez nich przybranych, i doczekała się burzy!

Myliłby się wszakże, ktoby upatrywał w zbrojnym proteście kozaków przeciw swym kniaziom i panom ujmowanie się zarazem i za ludem poddanym; owszem, nic podobnego nie widać w pierwszéj dobie powstań. Chodziło kozakom przedewszystkiém o ulegalizowanie, że tak powiemy, tych swobód i nabytków, które oni, jako społeczność wolnych ludzi wojennych, faktycznie już posiadali; chodziło o formalne uobywatelnienie, uszlachcenie. O chłopa kozak wcale nie dbał, lekceważył nim, dopóki mu nareszcie nie przyszło odwołać się do jego długo wzgardzanéj pomocy. Sprawa kozaków nie była wcale sprawą kmiecia, rolnika. Łączenie przedwczesne tych dwóch spraw tak różnych gmatwa tylko niepotrzebnie istotę rzeczy. Niezaprzeczenie uzbrajały kozaków przeciwko panom ruskim miejscowym nie tylko pobudki socyalno-polityczne, ale i ekonomiczne zarazem; lecz były to pobudki ich własne, nie solidaryzowane z interesem poddanego kmiecia, nazbyt czasem ufnego!

(D. n.) *Aleksander Jabłonowski.*



POEZYA NIE-PESSYMIZMU.

(Marya Konopnicka. Poezye. Serya trzecia. Warszawa. Gebeth. i Wolff. 1887, str. 349).

W dusznych i mrocznych życia społecznego chwilach, kiedy nie tylko „hydra pamiątek zatapia szpony" w sercu zbolałém, ale téż gady zobojętnienia, nieufności we własne siły i pessymizmu w niém się legną obficie, jakże-to błogo posłyszéć głos silny i dźwięczny, wychodzący z piersi, która odczuwając wszystkie bóle i smutki, znając nasze wady i ciężkie pognębienie, nie straciła przecież ani wiary w żywotność narodu, ani nadziei w przyszłość.

Jeżeli we wszelkich sprawach usposobienie i nastrój zarówno jednostek jak i mas całych jest czynnikiem nadzwyczaj ważnym a nieraz decydującym, to pojawianie się takich głosów poczytywać musimy za objaw lepszego zwrotu, gdyż nie są one oczywiście wynikiem tylko indywidualnego natchnienia, lecz wyrazem pewnéj przynajmniéj grupy społecznéj.

Zbyt już długo „brzmiał na strunach wieszczów żal", zbyt długo ponury, beznadziejny pessymizm wyżerał nam serce, pozbawiając otuchy i wiary w siebie, ażeby objawu takiego nie powitać radośnie.

P. Konopnicka nie po raz pierwszy téj struny dotknęła, ale dawniéj głuszyły ją inne o tonach wyrażających niepewność, zwątpienie, ból, rozpacz. Poetka sobie, społeczeństwu, światu i Bogu ciągłe zadawała pytania, w co wierzyć, za czém iść, co robić. Teraz (w 3-éj seryi swoich Poezyi) od pytań przeszła do twierdzeń. Widocznie umysł jéj znalazł punkt oparcia, z którego może nie tylko rozejrzéć się wokoło siebie, ale i dojrzeć drogę, którą pójść potrzeba.

Nie oddaje się ona bynajmniéj jakiejś optymistycznéj radości, jakiemuś nieopatrznemu marzeniu, któreby jéj wszystko w róż-

wych przedstawiało barwach, zasłaniając widoki przykre i rozczarowujące; owszem widzi ona jasno grozę położenia, widzi braki wewnętrzne, widzi przeszkody straszne w urzeczywistnieniu choćby najmniejszego ideału, lecz równocześnie téż dostrzega możność wydobycia się z nieszczęść, pokonania zapór, odrodzenia duchowego.

Boli poetkę bierność ducha słabego, co chowa „swój ból oswojony jako gadzinę, gdy wyrwą jéj jady“, co się daje zwyciężać bez boju gotów „zrzec się dziedzictwa światłości,“ byle go tylko, z gnuśnego spokoju nie wyrwał okrzyk przyszłości“; przeraża ją postępowanie tych, „co biegając w palącym się gmachu z wygryzionemi od dymu oczyma, w kąt się chowają z nędznego przestrachu, zamiast wyjść krokiem olbrzyma“, a nie mając odwagi hańby nazwać hańbą a nędzy nędzą, łudzą się pozorami spokoju zwodniczego. Więc „w gorzkiéj zadumie“ patrzy na ziemię i widzi nad nią „gwiazdy coraz bledsze“ i widzi „słońca gasnącą koronę w mgłach, które smętną przyoblokły nocą wszystko, co światłem jest i co jest mocą“, i smutnie a pięknie maluje spustoszone pola życia:

Kwiaty się nasze skarżą łez swych rosą,
Że woń ich z wiatrem wiejącym ucieka,
Że wiosny nasze nic z sobą nie niosą,
Że od żniw naszych nikt chleba nie czeka.
Kwiaty się nasze skarżą...

A więcéj jeszcze smutku i goryczy budzą w niéj dowody płytkości ducha, bezsilność woli i dłoni, strupieszałość serca wieku, o którém powiada:

Nie stargasz nawet i pajęczéj przędzy...
Jedna z fal morza, co zowie się życiem,
Już cię ogłusza—drzemiące w swéj nędzy,
I jeden oddech szerokiéj przestrzeni
Przeraża ciebie, iż krew twą rumieni...

I w rozżaleniu głębokiém „trupami“ zowie nas, pogrążonemi w mogile „własnéj niemocy“, bośmy utracili „duszę życia — życia wolę“; i z gryzącym sarkazmem szalonym zwąc tego, kto chce na morskiéj toni gasić pragnienie“, wznosi toast na cześć wina, bo:

My tyle właśnie mamy zapału,
Ile go mieści czara z kryształu,
Tyle uniesień, co plan w téj czarze,
I tyle ognia, co w tym puharze!
Płomień z helotów piersi nie bucha..,
Brzęk szkła tak bawi, jak brzęk łańcucha...

Ludy się kędyś prą falą mętną,
Szumem ich wzbiera dziejowe tętno.
Nad żaglem trzeszczą maszty przegniłe,
To tylko żyje, co żyć ma siłę...

— A nam tymczasem młynek na strudze
Obraca plewy swoje i cudze...
Górą mielizny! Na głębiach—giną.
Niech żyje wino!

Lecz nie! to bluźnierstwo względem ducha narodowego; trupami nie jesteśmy, a owego ognia wewnętrznego jest niewątpliwie więcéj niż na dnie puhara; tylko przykrywa go gruba warstwa popiołu, licznemi naniesiona pogorzelami. Niecierpliwych i nerwowych, którzyby pragnęli, ażeby ogień ten żarzył się ciągle jasno i buchał płomieniem, razić może stan, w którym się on znajduje, ale przeczyć jego istnienia niepodobna. Poetce nie można mieć za złe, gdy przeklina błyskawice natchnień, za któremi „grom żaden nie dyszy, by zatrząść zestarzałym i bezwładnym światem“, oraz grom, „po którym nie drżą ludy i nie płoną lasy“, a „cała stara nędza żyje i w staréj pleśni drzemią starych bezpraw czasy.“ A nie można mieć za złe dlatego, że rozumiemy i oceniamy jéj położenie, jak położenie każdéj duszy gorącéj, zamkniętéj w ciasnych i dociskających obrębach. „Ciężka-to zaiste rzecz — możemy wraz z nią powiedziéć — ciężka rzecz jest pod wichry się zrywać i wyłamane pióra nieść do góry i miéć na czole znak wieku ponury i duszę pełną łez,—a przecież śpiewać, jak ptak co spada.“ Ze spółczuciem też składamy w sercu cichą jéj skargę, że nie może mówić do nas, jakby chciała:

Po co śpiewać? Po co targać smutnie
Struny, które ozwać się nie mogą?
Idź poeto, strzaskaj swoję lutnię,
Porzuć szczęty nad rozstajną drogą...

Niech odmieńce wśród życia biesiady
Dla wesela swoję lirę stroją,
Jak z wyrwaném żądłem liche gady,
Co się w tańcu za piszczałką roją.

Ich to święto! Piersiami pełnemi
Niech okrzykną toast znikczemnienia.
Wy odejdźcie, o pieśniarze niemi,
Pełni ogniów wzgardy i serc drżenia.

Poetka jednak nie odejdzie, gdyż wszystkie jéj sarkazmy i gromy były wyrazem miłości a nie pychy, gdyż ona wierzy i ufa tym sercom, co jéj słowa słuchają i pragnie obudzić w nich nanowo drżenie wielkie i święte, zapał i cześć dla ideału. Ona sama czuje się „ziarnem przeklętém krwawego siewu i cmentarnéj roli“; ona sama przechodziła wszystkie stopnie apatyi, rozczarowania, przygnębienia, rozpaczy; więc się nauczyła wyrozumiałości i cierpliwości. Ale że czuje się przytém rodem z wielkiego cmentarza i krwawéj roli, więc zgadza się pić gorycz ale z morza, pozostawiając

strumyki smutków i cierpień powszednich innym mniéj dzielnym duchom; więc kołacze do serc bratnich, by w nich wywołać ten sam wielki bohaterski nastrój. Z tą myślą zwraca się do nich, mówiąc:

Bo nam się trzeba jak płomień wyrzucić
W górę, z ogromną siłą i ze wzgardą
Dla téj małości, co nas chce zawrócić
I zdjąć nam z czoła ostatnią myśl hardą,
Myśl, co się blasków paliła koroną
Nad każdą głową wielką—a zelżoną...
Nam trzeba wzbić się własnemi skrzydłami,
Gdy nas odbiegły gdzieś anioły smętne,
I krwawe pióra na zorzę kłaść złotą,
Jak ptaki gnane ku słońcu tęsknotą.

Gorąco tedy przyklasnąć winniśmy poetce, gdy stłumiwszy w sobie ból w tém przekonaniu, że „nie łez nam potrzeba lecz siły“ (str. 98), parafrazując słowa psalmu, stara się wlać otuchę w dusze, co są jak „zdrój bezwodny, płacz bez głosu, las wyrwany z libańskich gór tronu“, i woła na podobieństwo proroka:

Więc ja mam głos! Więc ja wam śpiewać poczną!
Ja płomień tchnę w te smutki wasze mroczne,
I pieśnią wam przyśpieszę serca bicie,
Na nowy bój, na nowe męskie życie!
Więc ja mam głos! Ja ptak spętanych skrzydeł,
Zerwanych strun narodu lira brzmiąca...
Na wichrach pieśń uniosę z ziemi sideł,
I gniazdo jéj położę w blaskach słońca.
Więc ja mam głos! Pobitych krzyk jest we mnie
I łuny miast i winnic spustoszenie,
I miecza ostrz przenika mnie tajemnie
I cisną mnie zelżywych pęt rzemienie...

W prześlicznéj pieśni: „Contra spem spero“, poetka, choć wié, że „odleciały te ptaki daleko, co nam na skrzydłach niosły chwały zorzę i z rzek już naszych te wody nie cieką, które szły w morze“, chociaż jest ogarniona „piekieł naszych“ sferą, oczyma przecież szuka „dnia blasków i słońca“, i „w głębi mogił czuje życia dreszcze“, a „przeciw nadziei i przeciw pewności wystygłych duchów i śmierci wróżbitów, wierzy w jutrznię błękitów i w gwiazdę ludów. W piosence na „Nowy Rok“ zaznaczając, że w duszy ludzkiéj tkwi niepokonana siła, pędząca ku dniom jutrzejszym, wzywa do jedności bratniéj, bo „jak się człowiek po gromadzie spojrzy w ciężki czas, to na sercu rękę kładzie: jeszcze kupa nas!“ W jednym zaś z fragmentów (str. 53) powiadając, że „niedoli kres gdzieś musi istnieć przecie“, lecz że go z po za łez nie widać, każe otrzeć „spłakane powieki“, gdyż przyszłość to trud, wymagający

potęgi lwiéj, nie jęków, działania, nie zaś oczekiwania, bo „kto czeka, ten na syna swego ramię spycha ten krzyż, pod którym sam się łamie, i żądać śmie, by przyszłe pokolenia znów stary bój podjęły i cierpienia.“ Nam potrzeba „serca, co się tchem wieku jak iskra zapala, jako płomień wybucha, a jak piorun gaśnie“; a jeśli kto takiego serca nie ma i woli „wywczasów ciszę“, ten jest „najnędzniejszym z nędzarzów téj ziemi.“ Nam potrzeba „wszystkie tęsknoty swéj siły, co próżno mdleją u każdéj mogiły“, wytężyć w przyszłość i szukać blasków świtu, a nie przeklinać tylko brzemię życia; gdyż wówczas jedynie można się spodziewać „dnia majowego przebudzeń“; albowiem „wielkością czynu nie martwą pokorą dzieje ludzkości są płodne. . .“

Poetka wié, że „my słońca nie zdejmiemy z nieba, by rozwiać cienie po przepaściach nocy“; jedno przecie „Każdy z nas zrobić powinien — więc może“:

Może za rękę wziąć chłopskie to dziecię,
Co stoi przed nim w służalczéj pokorze,
I poprowadzić je na ciche pola,
Gdy ranek bije smugami złotemi
I ciepłém słowem przemówić o ziemi,
Którą uprawiać przypadła mu dola,
O jutrze, które wyorać nam trzeba,
Łzami i potem skrapiając te łany,
Gdzie każdy kłosek na przyszły kęs chleba
W wspólnéj nadziei ma być zasiewany,
Bo tylko takiéj przyszłości nasiona
Wzejdą i chwast ich złośliwy nie zaćmi,—
A potém w syna swojego ramiona
Popchnąć to dziecię i rzec: wyście braćmi.

Taki jest główny ton nowéj seryi „poezyi“ pani Konopnickiéj, ton czysty, dźwięczny, podniosły, niezamącony sprzecznościami, wahaniem, niepewnością. Poetka czuje, że uderzyła w strunę, która brzmiéć będzie długo i donośnie, budząc ze snu ospałych, nasuwając myśli i poglądy szersze tym, którzy się w obrębie spraw codziennych, powszednich zacieśniają, wywołując cześć dla ideału. Może ktoś zarzucić, że mamy w słowach jéj same ogólniki bez dokładniéj określonych i wskazanych torów działania; ale na to odpowiedziéć łatwo uwagą, że zadaniem poezyi nie jest kreślenie programu politycznego czy społecznego, ale wywoływanie nastroju, któryby do przyjęcia pewnych poglądów, do urzeczywistniania pewnych dążności usposabiał. Który poeta potrafi przemówić do serc, który zdoła wzruszyć i zapalić do czynu, ten spełnił to, co w zakresie jego działalności, jako poety leżało. Szczegóły działania i jego kierunek musi już nakreślić rozwaga, licząca się z siłami

i okolicznościami. Poetka nasza dostrzegłszy wśród społeczeństwa oznak martwoty duchowéj, uderzyła w dzwon trwogi i powołała do ocknienia się z niéj słowami gorącemi i pełnemi siły; odrzuciwszy precz od siebie „pieśń słowiczą a miłosną", zawiodła taką, „co na orlich skrzydłach lata, chorągwianą pieśń ogromną" (str. 165, 166), ażeby dodać bodźca leniwym, ducha osłabłym, otuchy wątpliwym. Niepodobna zaprzeczyć, że pieśń taka przyszła bardzo w porę i życzyć jéj należy w interesie dobra ogólnego, żeby znalazła odgłos jaknajszerszy i wywarła skutek zamierzony.

Oprócz pieśni, będących wyrazem dobitnym tego męskiego, entuzyastycznego nastroju, w III-éj seryi „Poezyi" p. Konopnickiéj znajdujemy inne, które w tonie łagodniejszym, ale ku temuż samemu zmierzają celowi. Najmniéj dostrojone są do całości „Freski", w których skreśliła poetka scen parę z życia dziejowego. W „Kaloskagatos" wystawiła przeciwieństwo wykwintnego wychowańca cywilizacyi z tłumem biednym, ogłupiałym i rozbestwionym, który przecież nie winien swojéj ciemnocie i upodleniu, bo owi wykwintnisie umieją nim tylko pogardzić a nie podnosić go ku światłu i uszlachetniać. „W pirejskim porcie" spotykamy się z mniéj lub więcéj dowcipnemi gawędami ukształconych i nieukształconych sofistów. „Demos Cezarowi" wyśpiewuje ironiczne a raczéj sarkastyczne słowa pozdrowienia. „W rocznicę Termopilów" nieszczęsny Grek pod żelaznem panowaniem Rzymian nie miał ani na czém, ani komu ofiarować kwiatów i pochodni; zbolały więc „nad hańbą przeżył dzień wesela." W „Janie Husie" widzimy proroka, który nie nad własném boleje cierpieniem, ale nad przyszłością swego narodu, i w ekstazie umiera spokojny, bo przeczuwa, że naród ten po wielu wiekach znów będzie wolny. „Pieśń Żyrondystów" — to ubłogosławienie męczenników, co giną za Francyą i wolność ludu.

Inny dział Poezyi ma napis: „Piosenki i pieśni." Są to klejnociki liryczne, śpiewności pełne, a smutne smutkiem nie jednostkowym lecz ogólnym po téj krótkiéj zorzy kraju, „najpiękniejszéj z zórz, co od morza szła do morza złotem polem zbóż." Po pradziadach objęliśmy długi — powiada poetka — ale przecież stać nas na płużyce, więc „jeśli nasza dobra dola pod ziemią leży, przeorajmy wszystkie pola na zagon świeży." Ale zanim do tego dojdzie, zanim ukaże się „dzionek błogi i słoneczko boże", zanim „rycerze zapalą gwiazdy w złotéj koronie", smutno poetce, smutno każdemu sercu bolejącemu nie nad sobą tylko. „Jedne kwiaty zwiędły mi — woła ona—drugie porwał wicher zły, a te trzecie, te ostatnie, poją moje górskie łzy." W oddziale „Na palecie" rozwijają się daléj smutkiem i tęsknotą owiane obrazki jaru, gaju, lasów, gór, drogi

wiejskiéj, po któréj chodząc, zadumana poetka marzy o dobrych słowach i złych uczynkach, co się tu kłębiły:

Dobre słowo wciąż odkwita
To w kwiat polny, to w kłos żyta...
Stara krzywda głazem leży
Na pustkowiu, na rubieży,
Pod siwemi mchy...
W dumach, dumkach oto chodzę
Po téj cichéj, wiejskiéj drodze.
Nad schyloną moją głową,
Lecą smętnie i echowo,
Jakieś skargi.. łzy....

W działach „Po rosie” i „Z chaty” rozlega się nuta wieśniacza, oddawna już najmiléj brzmiąca w ustach p. Konopnickiéj, wdzięczna swoją prostotą i naturalnością, serdeczna uczuciem szczerém.

W wierszu „Do granicy” stylem przypominającym opowiadanie Matki Makryny Słowackiego, z upodobanym temuż epitetem „lichy“, który i w innych poezyach III-éj seryi nieraz powraca, czytamy bolesne, niemal tragiczne dzieje wypędzania rodzin polskich z ks. Poznańskiego. Opowiadającą jest wieśniaczka, która prosto, bez deklamacyi, tylko ze zwrotami do Ukrzyżowanego, opisuje smutki, cierpienia i bóle gromadki, a i swoje też własne. Jakże pięknym, jak wzruszającym jest opis cierpień i zrezygnowanego bólu matki, grzebiącéj swe dziecię w polu podczas wygnańczego pochodu:

Trzy dni my takie i trzy mieli noce;
Gwiazdy nas kładły i gwiazdy budziły.
A ze mnie wyszły ostatnie już moce
I duch, i wszystkie ze mnie wyszły siły,
Com je dobyła z siebie, niosąc dzieci
Jedno po drugiém, przez dwa dni i trzeci,
A było już ich, jako w koniczynie
Onych listeczków, trojgo... A ten czwarty
Zastygł mi w ręku i poszedł w olszynie
Cudzéj, pod krzyżem odprawować warty,
I czekać, aż mu pióreczka odrosną,
Żeby do domu zaś odlecieć wiosną,
Jako ten gołąb, co nie chce od strzechy
Odstać a indziéj zażywać pociechy...
W białym on piasku bez trumienki leży.

Przejrzeliśmy tak główniejsze działy utworów oryginalnych p. Konopnickiéj, pomieszczonych w III-éj seryi. Wszędzie zaznaczyć nam wypadło myśli i uczucia podniosłe, zharmonizowane w sobie, dotykające szlachetnych stron duszy ludzkiéj. Skupienie i dojrzałość talentu wszędzie tu widoczne. W wykonaniu zdarzają się jeszcze

pleonazmy i tautologie, ale już nie w takiéj jak poprzednio ilości; ton liryczny walczy zwycięsko z retorycznym. Słowa niezawsze jeszcze mają dosyć siły i plastyki, ażeby zostać wierném odbiciem uczuć lub poglądów, czasami wypowiadają nie to, coby z logicznéj wynikliwości było spodziewaném, czasami zadaleko wybiegają poza myśl, którą sformułować miały; lecz nie wchodząc w drobiazgi, ogół dykcyi uważać można za prawdziwie piękną szatę treści. Gdy dawniéj wśród powszechnego niemal chóru samych uwielbień dla poezyi p. Konopnickiéj, ja może jeden znajdowałem powody do nagan, z tém większą przyjemnością oddaję hołd obecnie szczery talentowi poetki — a zwłaszcza rozumnemu i szlachetnemu skierowaniu jego ku podniesieniu ducha wśród przygnębionego społeczeństwa.

P. Chmielowski.





LIBERALNE POGLĄDY
NA ŚRODKI POPRAWY BYTU ROBOTNIKÓW.

H. Fawcett. Praca i zarobki. Przełożył Ignacy Świętochowski. Warszawa, 1887.

Sprawa warunków pracy produkcyjnéj i wynagrodzenia za nią należy dziś do kwestyi dnia i budzi zajęcie w szerokich kołach ogółu. Książka, któréj tytuł podaliśmy w nagłówku, poświęcona jest właśnie rozbiorowi téj kwestyi. Stanowi ona wyjątek z obszernego podręcznika ekonomii b. profesora uniwersytetu w Cambridge. Kiedy dzieło to doznało tak gorącego uznania wśród publiczności angielskiéj, iż ukazało się w szóstem wydaniu, wyjęto z niego pięć rozdziałów, traktujących o kwestyi robotniczéj, i ogłoszono je w oddzielnéj broszurze dla spopularyzowania poglądów autora na tę sprawę wśród warstw najbliżéj nią zainteresowanych, a niezamożnych. Broszura ta spotkała się z większém jeszcze powodzeniem, niż całość dzieła i przetłómaczona została na język włoski i francuski. Z tego ostatniego przekładu przyswoił ją literaturze naszéj p. Ig. Świętochowski wraz z obszerną przedmową tłómacza paryskiego, Artura Rafałowicza. Niestety, jednak zmuszeni jesteśmy wyrazić zdanie, iż lepiéj by było poprzestać na samym utworze Fawcetta. Przedmowa bowiem p. R. jest prawie tylko parafrazą tego, co we właściwym tekście mówi Anglik. Trocha cyfr bezładnie w tym wstępie rozrzuconych i utopionych w płytkiéj częstokroć gadaninie pożytku czytelnikowi nie przyniesie, a może go zrazić do więcéj pouczającego traktatu pisarza angielskiego.

Fawcett jest liberałem czystéj wody i, co zatém idzie, gorącym zwolennikiem samopomocy, chociaż robi w tym względzie pewne, drobne zresztą ustępstwa na rzecz ducha czasu. Za ogólne kryte-

ryum wartości projektów, mających na celu poprawę bytu robotników, bierze on odpowiedź na pytanie: „czy proponowany środek wywrze wpływ taki, ażeby ubogi zaczął (?) rachować na własną inicyatywę?“ Niestety, większość ubogich zmuszona dotąd była i jest jeszcze obecnie we wszystkich krajach europejskich rachować prawie wyłącznie na własną tylko inicyatwę, a jednakże „środek“ ten nie zdołał nigdzie wysuszyć morza niedoli. Musi więc kryteryum to być chyba za ciasne i niedostateczne. Prędzéj już, choć i tu z silném zastrzeżeniem, możnaby się zgodzić na drugi zasadniczy pogląd autora, a mianowicie, że „każdy projekt, choćby jego inicyatorowie ożywieni byli jak najlepszemi chęciami, pogorszy tylko złe, któremu chciałby zaradzić, jeżeli w zasadzie jego tkwić będzie osłabienie odpowiedzialności osobistéj; jeżeli będzie doradzał ludowi oglądać się więcéj na pomoc państwową, aniżeli na siebie samego.“ Gdybyśmy to zdanie przyjęli w dosłownem jego brzmieniu, to musielibyśmy potępić wszelką pomoc państwową, gdyż każda „*osłabia* odpowiedzialność osobistą“. Tymczasem nawet sam autor tak daleko nie idzie, kiedy w pewnych razach pomoc państwa uznaje za potrzebną. Lepiéj by więc może było postawić zasadę, iż państwo ma prawo i obowiązek czynić zadość tym tylko potrzebom, którym inicyatywa prywatna równie korzystnie i skutecznie zaradzić nie może. Takie ograniczenie społecznéj działalności państwa konieczne jest równie ze względu na interes rządu, jak i społeczeństwa. Przekroczenie téj granicy przez państwo krępuje niepotrzebnie swobodę jego obywateli i najczęściéj przynosi szkodę ich interesom moralnym i materyalnym. Kiedy zaś to nastąpi, w społeczeństwie rodzi się i szybko wzrasta ferment niezadowolenia, które z czasem, ogarnąwszy szerokie warstwy, wywołuje nieprzewidziane następstwa zarówno smutne i niebezpieczne dla stron obu.

Wychodząc z zaznaczonego wyżéj stanowiska, odrzuca Fawcett bezwarunkowo wszystkie te projekty poprawy bytu robotników, które domagają się jakiejkolwiek interwencyi państwa. Zbija więc przedewszystkiém żądanie regulowania zarobków przez państwo. W tym względzie podzielamy w zupełności jego zdanie. Dopóki ceny towarów określać będzie wolna konkurencya, dotąd i o cenie pracy będzie musiało rozstrzygać prawo podaży i popytu na zasadzie swobodnéj umowy stron. Gdyby państwo zechciało normować wysokość płac roboczych, musiałoby zarazem zagwarantować minimalne ceny produktów pracy, inaczéj bowiem mogłoby doprowadzić przedsiębiorców do bankructwa. Jest to prawda tak jasna i prosta, iż niepodobna pojąć, jak jéj ktoś może nie zrozumiéć. Że zaś przy wymianie międzynarodowéj, na któréj oparty jest cał-

kowicie dzisiejszy system produkcyi wszystkich krajów cywilizowanych regulowanie cen towarów przez państwo jest niemożliwe, tego nawet dowodzić nie potrzeba:

Co do tak zwanego „prawa do pracy“, czyli podjęcia przez państwo obowiązku dostarczania pracy zarobkowéj każdemu obywatelowi, który jéj w zakładach prywatnych znaleść nie może, to wprowadzenie go w życie uważa autor za możebne jedynie pod warunkiem, ażeby państwu przysługiwało zarazem prawo regulowania wzrostu ludności. Inaczéj bowiem, przy znanéj lekkomyślności w zawieraniu związków małżeńskich wśród warstw najuboższych, prawo do pracy stałoby się instytucyą wychowawczą dla dziedzicznych nędzarzy. Gani téż angielski ekonomista podejmowanie przez państwo prac publicznych w celu dania zarobku robotnikom pozbawionym zajęcia, jak to miało miejsce kilkakrotnie w wieku bieżącym we Francyi, lecz godzi się natomiast z obowiązującém w jego ojczyźnie *prawem o ubogich*. Na zasadzie tego prawa, wydanego po raz pierwszy w r. 1601 przez królowę Elżbietę dla saméj Anglii, przywróconego w niéj po rozmaitych mniéj szczęśliwych zmianach w r. 1834 i rozciągniętego z pewnemi modyfikacyami w r. 1838 na Irlandyą, a w kilka lat późniéj i na Szkocyą, każda parafia obowiązana jest utrzymywać wszystkich swoich mieszkańców, nie mogących sobie znaleść środków do życia. Dla zebrania potrzebnych na ten cel funduszów, władze miejscowe upoważnione są do nakładania na własności nieruchome, to jest ziemie i domy, pewnego podatku. Ci jednakże z pomiędzy ubogich, którzy zdolni są do pracy nie mają wogóle prawa (chociaż dopuszczają się w tym względzie wyjątki) otrzymywać wsparcia w swych mieszkaniach, lecz obowiązani są przebywać w t. zw. *domach pracy*, gdzie poddani zostają rozmaitym ograniczeniom swobody osobistéj, surowemu rygorowi w sposobie życia. Tak np. z wielką trudnością dozwala im się przyjmować odwiedziny znajomych; młodym małżonkom nie wolno zamieszkiwać razem itp. Dzieje się to dla tego, ażeby domy pracy nie stały się przytułkiem dla próżniaków, którzy chcieliby pędzić wygodne życie bez trudu. Natomiast wstęp do takiego domu otwarty jest dla każdego mieszkańca odpowiedniéj parafii bez żadnych trudności. Tym sposobem domy pracy zabezpieczają wszystkich poddanych angielskich od głodowéj śmierci, lecz czynią życie swym pensyonarzom na tyle przykrém, że nikt do nich bez konieczności się nie zapisuje i dłużéj nad nieodzowną potrzebę w nich nie pozostaje. Jest to system dla biedaków, którzy na swą nędzę niczém nie zasłużyli, bezwątpienia zbyt surowy i niesprawiedliwy, lecz ze względu na potrzebę zapobiegania próżniactwu i niesumiennemu

wyzyskowi miłosierdzia przez ludzi zdolnych do pracy może—niezbędny. Tak przynajmniéj dowodzi Fawcett, powołując się na doświadczenia przeszłości. Od roku bowiem 1750 do 1834 prawo o ubogich uległo w Anglii pod wpływem idei humanitarnych znacznemu złagodzeniu, zwłaszcza co do udzielania wsparć ludziom zdolnym do pracy, skutek zaś téj szlachetnéj łagodności był taki, że pauperyzm wzrósł do niesłychanych przed tém rozmiarów. Podatek na ubogich dosięgnął w wielu parafiach tak znacznéj wysokości, że pochłonął przeszło połowę dochodów, płacących go właścicieli majątków nieruchomych. Ta to właśnie okoliczność spowodowała, iż parlament angielski zmuszony był przywrócić dawne prawo Elżbiety w całéj jego surowości.

Ciekawy jest bardzo fakt, że głośna anarchistka francuska, Ludwika Michel, doznała, jak zapewnia Fawcett, bardzo miłego wrażenia w podróży swéj do Londynu w r. 1883, poznawszy systemat angielskiego prawa o ubogich. Zwiedzając dom pracy w Lambeth, odezwała się, że „gdyby ubodzy we Francyi posiadali podobne urządzenia, któreby im zapewniały legalne zabezpieczenie w razie ostatniéj nędzy, do wielu skarg znikłyby powody i ona nie miałaby potrzeby podnosić głosu za ich usunięciem.“

Za najpewniejsze środki poprawy bytu robotników, mających zajęcie, podaje Fawcett podniesienie ich oświaty i wykształcenia fachowego, oraz związki robotnicze (*trade-unions*), stowarzyszenia współdzielcze i udział w zyskach z przedsiębiorstwa. „Nie ulega wątpliwości—mówi autor, dowodząc wpływu oświaty na polepszenie doli pracowników,— że robotnik inteligentny jest zwykle produkcyjniejszy od robotnika nie inteligentnego. Zmiany w procesach przemysłowych, jakie bywają następstwem udoskonalenia narzędzi, przyswoi sobie zawsze prędzéj i łatwiéj człowiek z pewném wykształceniem. Wreszcie, nie trzeba spuszczać z uwagi wpływu, jakiego należy oczekiwać na samę skuteczność przemysłu, jeżeli podniesie się poziom moralny robotnika. Im więcéj robotnik zasługuje na zaufanie pracodawcy, im jest uczciwszy, tém mniéj wymaga kosztownéj nad sobą kontroli i dozoru. Jeżeli pracuje pilnie z pewną myślą przewodnią, robota jego polepsza się, zarówno pod względem jakości, jak i ilości, a w warunkach takich, każdy nakład, zrobiony z kapitału i pracy, opłaca się daleko korzystniéj; znajdzie się zawsze nowe jakieś źródło, przy pomocy którego, zarówno praca jak i kapitał, mogą miéć wszelki tytuł do dodatkowéj nagrody.“ Należy przytém dodać, że Fawcett uważa podniesienie zarobków za sprawiedliwe i pożądane tylko wtenczas, kiedy ono nie przynosi żadnego uszczerbku zyskom przedsiębiorcy, lecz owszem wywołuje równo-

legły ich wzrost. Że to nie zawsze może miéć miejsce i że takie życzenia dla robotników są cokolwiek zbyt... *skromne*, przyzna nam chyba każdy szczerze współczujący niedoli tych milionów biedaków, którzy pracując nad siły, całe życie napróżno borykają się z nędzą. Zdaniem naszém, słuszną by było rzeczą odjąć na ich korzyść pewną część zysków bogaczy, do czego wreszcie dążą już dzisiaj pod naciskiem opinii ogółu wszystkie rządy państw cywilizowanych rozmaitemi drogami.

Jednę z tych dróg między innemi stanowi utrzymywanie szkół bezpłatnych kosztem państwa. W Anglii zostały one zaprowadzone prawem z r. 1870. Fawcett przyznaje temu aktowi bardzo dobroczynny wpływ tak na podniesienie poziomu moralnego i umysłowego robotników, jak i na płynące stąd korzyści dla pracodawców i bogactwa, oraz dobrobytu narodowego wogóle; żałuje on nawet, że z pod prawa tego wyjęta została Irlandya i domaga się dla niéj sprawiedliwości w tym względzie; a jednakże pomimo to wszystko liberalny wstręt do interwencyi państwa zdołał go skłonić do wyrażenia poglądu, iż lepiéj by było, gdyby prawo to miało charakter jedynie środka przejściowego i żeby ludność uboga była zmuszona z czasem sama myśléć o sposobach kształcenia swych dzieci i sama ponosić potrzebne na ten cel koszta. Co dziwniejsza, to to, że ile razy autor występuje przeciwko pomocy dla ubogich ze strony państwa, czyni to zawsze niby w imię ich własnego dobra, przytaczając najczęściéj jako argument w tym względzie tę okoliczność, że państwo czerpie swoje dochody prawie wyłącznie z podatków, a te najciężéj dotykają zazwyczaj właśnie ludność ubogą. Prawda, ale odeprzéć na to można naprzód, że w każdym razie pewną część podatku, z którego skorzystają biedni, zapłacą bogaci, a następnie, że rozkład podatków pomiędzy rozmaite warstwy ludności zależy często wyłącznie od woli rządu; słuszniéj by więc może było domagać się od niego oszczędzania w takich razach biedaków, aniżeli nie robienia dla nich niczego z tego powodu, że oni zazwyczaj płacą większą część ciężarów państwowych. Gdzie logika, gdzie etyka, która do takich wniosków i żądań upoważnia?!

Związki robotnicze *(trade-unions)* pozyskują sobie uznanie autora dzięki temu, iż są wytworem wolności i samopomocy, lecz z téj samej téż zasady domaga się on surowych kar za wszelkie z ich strony gwałty i wywieranie przymusu na robotników, nie chcących się łączyć. Robotnik odosobniony, nie mający żadnych zasobów pieniężnych i zmuszony skutkiem tego zgodzić się na wszelkie warunki, byleby jako tako mógł wyżyć, znajduje się wobec praconabywcy w położeniu bardzo niekorzystném. Dla zrównoważenia

więc pozycyi muszą się pracownicy łączyć pomiędzy sobą w celu wzajemnego wspierania się i wspólnéj obrony od wyzysku ze strony kapitalistów. Walkę taką środkami pokojowemi uważa Fawcett za zupełnie naturalną i konieczną, a jakkolwiek ubolewa nad szkodami, jakie obu stronom przynoszą zmowy, to jednakże nie uważa za rzecz słuszną prawnego ich zakazu. Zakazy takie są nadto zbyteczne już z tego powodu, że ofiary i cierpienia, jakie ponosić muszą robotnicy w czasie bezrobocia, mogą być uważane za zupełnie wystarczający hamulec przeciwko ich nieoględności. Podobnież z drugiéj strony obawa strat, wyrządzanych przez dłuższą przerwę w produkcyi, czyni i przedsiębiorców skłonniejszymi do ustępstw na rzecz słusznych żądań ich pracowników. Tym sposobem wzajemne nieporozumienia przy wolności zmów wyrównywają się łatwiéj i z większém prawdopodobieństwem zadośćuczynienia wymaganiom sprawiedliwości, aniżeli przy systemacie zakazowym.

Za najlepszy sposób zapobieżenia zmowom uważa Fawcett dopuszczenie robotników do udziału w zyskach. Przytacza on kilka przykładów podobnego postępowania z robotnikami, które wydały świetne rezultaty dla stron obu, o ile zawarte umowy były sumiennie dotrzymywane przez pracodawców. Nie zawsze to jednakże miało miejsce. Winniśmy przytém dodać, że dbałość angielskiego liberała o dobro robotników jest i tu, podobnie jak w innych kwestyach, bardzo umiarkowana. Udział robotników w zyskach uważa on za pożądany i potrzebny głównie tam, gdzie dozór nad pracownikami jest trudny z powodu ich rozproszenia w czasie zajęć, a więc przedewszystkiém w rolnictwie, oraz w tych rodzajach przemysłu, gdzie nie można znacznéj liczby robotników skupić w jednym warsztacie pod okiem właściciela lub dozorcy. I tu więc właściwie chodzi głównie o interes przedsiębiorców, nie robotników. Zdaniem mojém, kwestyą tę należałoby traktować z innego zupełnie stanowiska, a mianowicie uznać *prawo* robotników do udziału w zyskach i domagać się uregulowania zasad tego udziału odpowiednią ustawą. Prawo to powinno przysługiwać robotnikom jako wynagrodzenie za ryzyko utraty zarobku w razie ograniczenia produkcyi, oraz jako zachęta do usilniejszéj i skuteczniejszéj pracy, do najmożliwszego oszczędzania narzędzi i materyałów i wogóle do starań o powodzenie przedsiębiorstwa, a wreszcie jako środek zaprowadzenia sprawiedliwszego podziału bogactw w społeczeństwie. Do żądania tego nie można zastosować żadnego z tych zarzutów, jakie słusznie czynią ekonomiści projektom socyalistów rewolucyjnych, lecz na bliższy rozbiór téj sprawy nie mamy tu miejsca. Wkrótce zapewne poświęcimy jéj w *Ateneum* oddzielny artykuł.

Rozdział o stowarzyszeniach współdzielczych jest w książce Fawcetta najlepiéj może opracowany i na równi z rozdziałem, poświęconym prawu o ubogich, bardzo zajmujący. Główne w nim miejsce poświęcono naturalnie historyi dzielnych „pionierów Rochdalskich.“ Przytoczonych przez autora szczegółów powtarzać tutaj nie będziemy, odsełając czytelnika do saméj książki. Nadmienimy tylko, iż wzmiankowane stowarzyszenia cieszą się zupełném i zupełnie zasłużoném uznaniem uczonego profesora. Przeciwny on jest tylko zakładaniu ich z pomocą państwa, jak tego chcieli Ludwik Blanc i Ferdynand Lassalle. W téj sprawie podzielamy w zupełności pogląd autora, gdyż przemawia za nim zarówno teorya, jak praktyka. Dotychczasowe doświadczenia historyczne, w tym kierunku dokonane, wykazują, że te tylko stowarzyszenia rozwijają się pomyślnie, które powstały drogą własnych usiłowań, wszystkie zaś powołane do życia przez państwo upadły, a nawet z tych, które tylko otrzymały wsparcie od rządu, utrzymało się zaledwie jedno.

Jeżeli do tego, cośmy wyżéj przedstawili, dodamy jeszcze kasy oszczędności, kasy chorych i wzajemnéj pomocy, zakładane z własnéj inicyatywy robotników i utrzymywane głównie z ich własnych funduszów z niewielkim niekiedy dodatkiem *dobrowolnych* ofiar ze strony łaskawych pracodawców, to wyczerpiemy już cały arsenał środków poprawy bytu klasy robotniczéj, uważanych przez Fawcetta za jedynie racyonalne i niezawodnie prowadzące do celu. Trzeba dodać, że wielu innych ekonomistów szkoły liberalnéj posuwa się jeszcze daléj w uwielbieniu dla samopomocy i potępia bezwarunkowo nawet szkoły bezpłatne i angielskie prawo o ubogich. Żadnéj interwencyi państwa: wolność nieograniczona śmierci głodowéj, lub wybicia się na wierzch własnemi siłami!—oto ich hasło!

Tymczasem wszystkie, zalecane przez Fawcetta, instytucye wprowadzone zostały w Anglii w życie oddawna i większość ich rozwinęła się już nawet potężnie i wspaniale, a pomimo to setki tysięcy ludzi są tam dotąd pogrążone w ostatniéj nędzy, miliony zaś w dotkliwym niedostatku stoją ciągle nad jéj brzegiem, który się lada chwila zarwać może. Dla zniesienia więc tego zła samopomoc widocznie wystarczyć nie może.

I państwo bezwątpienia cudów nie dokaże i raju na ziemi dla wszystkich ludzi zaprowadzić nie zdoła, lecz kiedy do niedawna miało ono głównie, a może nawet wyłącznie na pieczy interesa warstw uprzywilejowanych, to musi i powinno teraz zwrócić się w przeciwnym kierunku, by wyrządzone upośledzonéj większości za jego pomocą, lub pod jego ochroną krzywdy i szkody do pewnego stopnia przynajmniéj naprawić.

Ze wszystkiego tego, cośmy wyżéj powiedzieli, wynika, że broszura Fawcetta nie może być bynajmniéj uważana za jakąś ewangelią rozumnych poglądów na kwestyą robotniczą. Ponieważ jednak zawiera ona wiele wiadomości pożytecznych i ciekawych, obok niejednéj myśli zdrowéj, przeto polecamy ją łaskawym względom naszych czytelników. Czynimy to tém goręcéj, że tłómacz cały zysk z wydawnictwa przeznaczył na rzecz ulepszeń w szpitalu na Pradze, którego jest kuratorem. Źle by więc było, gdyby jego dobre chęci i bezinteresowna praca, wyłożona w kierunku tak pożytecznym i na cel tak sympatyczny, miały nie przynieść spodziewanych przez niego owoców.

Pod względem formy wykład Fawcetta jest jasny i popularny, a tłómaczenie polskie staranne i poprawne.

W. Wścieklica.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Rzecz o Socyalizmie napisał Mścisław Edgar Trepka doktór filozofii. Warszawa. 1888. T. I. XXVIII + 229; T. II. str. 233.

Obeznanym cokolwiek z przedmiotem traktowanym przez autora wiadomo, jak w literaturze naszéj głucho o wilkołaku zwanym socyalizmem: parę broszur, kilka artykułów po czasopismach, parę tłómaczonych książek, oto wszystko, co ostatniemi laty ogłoszono. Więc téż „rzecz" p. Trepki, jako obszerniejszy traktat o bardzo interesującym przedmiocie, zasługuje na bliższe poznanie.

W tych dwóch tomikach mamy zawarte 3 części: w pierwszéj znajduje się pobieżny rzut oka na doktryny socyalistyczne od najdawniejszych do naszych czasów; w drugiéj mamy pobieżną krytykę mniemań socyalistów o głównych i drugorzędnych czynnikach produkcyi, a zatém krytykę pojęć socyalistycznych o ziemi, kapitale, pracy, kredycie itp. Autor przeprowadza tę krytykę porównawczo, przypominając czytelnikowi czego i jak o tych przedmiotach uczy ekonomia, a jak się na nie zapatruje socyalizm. Nareszcie w części trzeciéj, zatytułowanéj „Reformy społeczne", dowiadujemy się jakieby należało zaprowadzić reformy w sferze umysłowéj i moralnéj tudzież w zakresie bytu materyalnego.

Zacznijmy od części pierwszéj i idźmy kolejno z autorem od jednego rozdziału do drugiego. Część ta, jak powiedziano, obejmuje szkic historyczny doktryn socyalistycznych. Jest to bardzo dobra metoda, gdy piszący o pewnym przedmiocie starał się sam poznać i następnie chce czytelnika nauczyć, co przedtém w tejże sprawie mówiono i pisano. Tym sposobem zaznajamiamy się z wielu punktami, które późniéj szczegółowo będą roztrząsane. Autor szuka początków socyalizmu już w starożytnym Wschodzie, ale tam go nie

znajduje i uważa za całkowicie zbyteczne badać „czy własność była podówczas indywidualną, czy wspólną“ (I, 25). Nie wiemy, dlaczego miałoby to być zbyteczne, ani dlaczego takie badanie „może zajmować archeologów“, mogłoby ono bardzo dobrze zajmować i ekonomistów, jak niejednego z nich zajmowało.

Bądź co bądź, kolebki socyalizmu na Wschodzie nie znajdujemy. Szukajmy jéj w Grecyi. Tu znów zamiast socyalizmu, mamy krótki szkic o organizacyi społecznéj i taką konkluzyą: „około VI w. przed Chr. wyswobodzenie klas niższych staje się faktem dokonanym“ (I, 29); tymczasem na następnéj stronnicy czytamy, że „cudowny i barwny kwiat swobód publicznych Grecyi wybujał na grubéj warstwie niewolniczego nawozu“. Jakież to więc było wyswobodzenie klas niższych? Jeżeli Ateny w IV w. przed Chr. na 400000 mieszkańców liczyły zaledwie 21000 wolnych obywateli, co znaczy frazes o wyswobodzeniu klas niższych? Autor miarkuje zatém swoję pochwałę, dodając: „bez zaprzeczenia, są czarne plamy i na greckiém słońcu“ (I, 31).

Teraz przeskakujemy do Platona, którego, jak utrzymuje autor, nowocześni socyaliści chcą podać za ojca swoich teoryi. Rzeczywiście, rozebranie i ocenienie Platońskiéj rzeczypospolitéj, byłoby na miejscu w dziejach komunizmu; ale trzebaby tego rozbioru dokonać bardziéj szczegółowo i wskazać różnicę jaka zachodzi między „Rzecząpospolitą“ a „Prawami“ Platona. Autor zaś upewnia tylko, że Platon „nie jest bynajmniéj socyalistą“. Istotnie, Platon nie jest socyalistą w duchu Lassalle'a lub Marxa, ale bo téż wówczas o dzisiejszym socyalizmie nikomu się nie śniło; nie było do niego gruntu, nie było wielkich legionów wyzwolonego proletaryatu. Swoją drogą, dać poznać treściwie czytelnikowi poglądy Platona na organizacyą społeczną taką, jaką on sobie wyidealizował, oparty na tém, co koło siebie widział—byłoby może pożyteczniéj, niż patetycznie wołać: „Platon *wyklucza* (zapewne usuwa) ze swéj rzeczypospolitéj nauki i sztuki: niewdzięczny!“ (I, 34).

Z kolei przelotem wstępujemy do Rzymu, gdzie wprawdzie niektórzy autorowie, jak Pliniusz, Marek Aureliusz, głoszą bardzo humanitarne czasami idee, które p. T. wysoko podnosi, wołając: „co za różnica naprzód, co za odskok od Grecyi uświęcającéj niewolnictwo“ (I, 42); jednakże nie było się z czego cieszyć, bo los niewolników rzymskich był opłakany. W dziejach Rzymu o socyalizmie nie słychać, chybabyśmy do téj kategoryi zaliczyli agrarne pokuszenia Grachów lub bunt Spartacusa: ale autor tego zdania nie podziela. Skoro zatém w Rzymie o socyalizmie nie słychać, opuszczamy go i przechodzimy do świata chrześcijańskiego.

Zdarza się nieraz czytać twierdzenie, jakoby początkowa gmina chrześciańska w Jerozolimie była komunistyczną, jakoby ideał życia chrześciańskiego najwidoczniéj wcieliły klasztory. Jest to nieścisłe. Od życia na wspólności dóbr opartego, od ubóstwa uważanego za cnotę, do komunizmu niezmiernie daleko. Autor téż nie solidaryzuje chrześciaństwa z socyalizmem, ale to, co o niém mówi wymagałoby dłuższéj dyskusyi, by się z nim można zgodzić. Raz powiada, że chrześcianizm nie zagrzewał do pracy produkcyjnéj, że idealnym jego typem jest nie robotnik, lecz żebrak (I, 44); że nie wyzwolił niewolnika, nie równouprawnił kobiety—a tuż za tém czytamy, że chrześcianizm „wyanielił" jednostkę za pomocą dobrowolnych męczarni, modlitwy i umartwienia. Chrześcianizm nie był w stanie zreformować rządu i społeczeństwa rzymskiego, może nawet byłby się posunął do „apostazyi", ale go wyratowali z téj otchłani barbarzyńcy germańscy (I, 46). Nie mamy miejsca na polemizowanie z autorem; zauważymy tylko, że w téj charakterystyce dużo jest niekonsekwencyi, a najgorsza, że nie znajdujemy rodziców socyalizmu. Jakoż, p. T. konkluduje, że ani pośród myślicieli greckich, ani w Rzymie, ani w chrześciaństwie nie mógł znaleźć ojca socyalizmu (I, 47).

Może w wiekach średnich znajdziemy socyalizm? Autor załatwia się z niemi krótko:—powiada bowiem, że „kilka (ile?) wieków ery naszéj," słusznie (?) powleczone zostały cieniem nocy" (I, 48); zkąd tedy p. T. dowiedział się, że „los robotników miejskich i klasy rzemieślniczéj nie był w pierwszéj połowie wieków średnich godzien zazdrości" (I. 54). Przypuszczamy, że tak było—tylko trzebaby złożyć dowody szczegółowe. Tak samo, gdy autor mówi o drugiéj połowie średnich wieków, o feodalizmie, radzibyśmy się dowiedzieć czegoś o poruszeniach pospólstwa w Anglii i Francyi, o tych ludziach, którzy śpiewali: Kiedy Ewa kądziel przędła, Adam ziemię kopał, Nikt nikogo nie panał, nie chłopał. Tymczasem p. T. wspomina o Wat-Tylerze i o Żakeryi zaledwie w kilku wierszach. Warto przeczytać co o Tylerze i rozruchach w Anglii pisze J. Rogers (*Six centuries of work and wages*); znalazłby się początek socyalizmu prędzéj, niż w Grecyi i Rzymie. Oczywiście, ludzie ówcześni jeszcze nie sformułowali pojęcia nadwartości (*Mehrwerth*); ale możnaby ich wystąpienie związać z dzisiejszym socyalizmem bez zbytecznego naciągania.

Zbaczamy do utopistów średniowiecznych—szkoda jednak, że o żadnym nie znajdujemy wzmianki; ci zaś, o których autor wspomina, jak Savonarola, Morus, Campanella lub Harrington, nie należą do średnich wieków. Że zaś w wiekach średnich nie brakło marzy-

cieli i demagogów z dążnościami komunistycznemi, którzy jeszcze przed Proudhonem własność nazywali kradzieżą, to powinno być wiadomém z dziejów kościelnych i świeckich.

Zbaczamy do Francyi, i dowiadujemy się nareszcie, kto był ojcem socyalizmu nowoczesnego—oto nie kto inny, tylko Colbert (I, 80). Gdyby p. T. dodał, że w robotach Colberta znać to, co dzisiejsi nazywają socyalizmem państwowym, możnaby się z pewném zastrzeżeniem zgodzić na taką kwalifikacyą potężnego ministra; w przeciwnym razie, nie widzimy jego ojcowstwa, ani związku z socyalizmem nowoczesnym. Przed opowiadaniem o reformach Colberta we Francyi należało dłużéj i szczegółowiéj roztrząsnąć ruch komunistyczny widoczny w wojnie chłopskiéj i pokuszeniach Anabaptystów. Jakoż, autor dotyka tego przedmiotu, ale tak przelotnie, iż z jego dorywczych uwag nie można wynieść pojęcia, do czego ruch ówczesny zmierzał. Dzisiejsi socyaliści bardzo chętnie cofają się do wojen chłopskich (Engels, Lassalle), widząc w nich zwiastuny swoich dążności.

Fizyokratyzm i idee humanitarne wieku XVIII, o których p. T. mówi w osobnym rozdziale, mają rzeczywiście związek z nowoczesnym socyalizmem, najprzód ze względu na głoszoną wówczas powszechnie zasadę swobody wszelkiéj pracy—*laisser faire*—za którą poszło we Francyi zniesienie cechów i przygotowywanie rąk wolnych do wielkich fabryk; powtóre, ze względu na idee rozwijane przez encyklopedystów. Niewątpliwie i Rousseau i Voltaire posieli sporo idei humanitarnych, chociaż socyalizmu dzisiejszego nie przeczuwali.

To, co autor opowiada o Rewolucyi francuskiéj i jéj reformach w porządku społecznym i politycznym, także zostaje w związku z utopiami socyalistów francuskich z pierwszéj połowy wieku bieżącego—żeby jednak w rozwoju ludzkości nie było „ważniejszego epizodu“ nad owo wstrząśnienie, zapewne nie wszyscy się zgodzą. Słowem, historyczne wzmianki, mające na celu poszukiwanie protoplastów spółczesnego socyalizmu, jako pewnéj teoryi ekonomicznéj, dają plon bardzo skąpy. Właściwie, początku socyalizmu należy szukać w rozwoju wielkiego przemysłu fabrycznego, a więc w drugiéj połowie przeszłego i w bieżącym wieku.

Gdyśmy dotarli nareszcie do téj fazy gospodarstwa społecznego, w któréj staje się ono przemysłowo-fabryczném, stajemy oko w oko z rodzącym się proletaryatem, a tém samém i z socyalizmem.

Najwięcéj stosunkowo miejsca poświęcił p. T. socyalistom francuskim i to dawniejszym, jak St.-Simon, Enfantin, Fourrier, Cabet, Blanc, Proudhon i inni—za to o nowszéj fazie socyalizmu we Fran-

cyi (po 1871) nie znajdujemy żadnych wiadomości: ztąd obraz ten wygląda jakby nieco przestarzały i niedokończony.

Jeszcze ułomniéj naszkicowany socyalizm w Niemczech, — wprawdzie spotykamy się tu z nazwiskami Rodbertusa, Lassalle'a i Marxa, ale prace ich teoretyczne i agitacya są bardzo pobieżnie traktowane. Również pobieżnie nakreślono uwagi o stowarzyszeniu międzynarodowém robotników (internacyonał).

Pojmujemy, że autor nie zamierzał pisać historyi socyalizmu, lecz tylko wstęp niejako do niéj; zawsze jednak trzebaby taki wstęp o wiele mniéj potrzebnych dygressyi skrócić, a wiele potrzebnych szczegółów dodać, ażeby przedsionek ściśléj spoić z resztą budynku. Zaniedbano np. powiedzićć cośkolwiek o ruchu socyalistycznym w unii północno-amerykańskiéj, o chartystach w Anglii, o takichże objawach w Hiszpanii i Włoszech.

W ostatnich rozdziałach (od XVIII) zastanawia się p. Trepka nad pytaniem, o ile państwo, kościół i nauka mogą być uważane za sprzymierzeńców socyalizmu. Państwo weszło po części na drogi, jakie socyalizm wskazywał, głównie w Niemczech przy spółdziale i za inicyatywą ks. Bismarcka. Oczywiście, państwo chce tą drogą sparaliżować roboty socyalistów i odciągnąć od nich klasy pracujące, przez zapewnienie im opieki na starość lub w chorobie. Trudno dla téj jego dążności nazywać państwo sprzymierzeńcem socyalizmu, jak czynią feudalni junkrzy; ale p. Trepka jest liberalnym reformistą i chciałby społeczeństwo zbawić nie przez rządy, lecz przez społeczeństwo.

Czy chrystyanizm i kościół mogą być uważane za sprzymierzeńców socyalizmu? Autor sprawiedliwie twierdzi, że pomimo idei braterstwa, wspólnéj chrystyanizmowi i socyalizmowi, pomimo zwracania się obu do mas ludowych, słuszność nie pozwala utrzymywać, ażeby kościół urzędowo, jako organizm stanął po stronie socyalizmu walczącego przeciw rodzinie, własności i religii (I, 198). Upatruje wszakże pewne zbliżenie między obu dopiéro za dni naszych w Niemczech (Ketteler). Objawem tego zbliżenia są związki robotników, majstrów i czeladzi, a także wieśniaków. Wszystko to prawda; ale nieprawdą jest, jakoby kościół przyczynił się w znacznéj części do agitacyi socyalistycznéj, jakoby się solidaryzował z socyalizmem demagogicznym (I, 200—201). Kościół jak gdzieindziéj tak i w Niemczech dąży do rozbrojenia socyalizmu demagogicznego, pragnie zażegnać burzę przezeń gotowaną, odmawia rozgrzeszenia członkom należącym do towarzystw socyalistycznych, a nareszcie formalnie potępił go w encyklice Leona XIII (1878).

Co do spółudziału nauki, *respective* ekonomii politycznéj, w popieraniu dążeń socyalistycznych, rzeczywiście pewien odcień ekonomistów, zwanych *Katheder-socialisten* (Ad. Wagner, Brentano, Held, Schäffle) o tyle może być uważany za stronnika socyalizmu państwowego, o ile chciałby rozmaite instytucye publiczne lub przedsiębiorstwa powierzyć eksploatacyi państwa, o ile zaleca środki prawodawcze w dziedzinie pracy, ubezpieczeń lub zdrowotności, ażeby poprawić los klasy robotniczéj. Jest-to więc nadużycie wyrazu, gdy się takie dążenia utożsamia z socyalizmem wojującym.

Skończyliśmy przegląd historycznéj części dzieła p. Trepki, okazując, że wiele mu brakuje do pożądanéj dokładności; teraz przyjrzyjmy się dalszemu ciągowi, t. j. części drugiéj.

Część druga rozpoczynająca drugi tomik pracy p. Trepki zawiera, jak wyżéj nadmieniono, dogmatyczno-krytyczny wykład pojęć socyalizmu o głównych i podrzędnych czynnikach produkcyi. Autor postępuje tu metodą porównawczą, mianowicie zastanawia się nad pojęciami socyalizmu o własności ziemskiéj, kapitale, pracy i zarobkach, jako pierwszorzędnych czynnikach produkcyi, tudzież o drugorzędnych, jak machiny, kredyt, i przeciwstawi tym pojęciom pojęcia ekonomii politycznéj. Oprócz tego, rozważa podział dochodu społecznego i zadanie państwa w gospodarstwie społeczném.

Wiadomo, że nawet najbardziéj konserwatywni ekonomiści przyznają teraz socyalizmowi niejaką słuszność w krytyce dotychczasowéj ekonomii; otóż byłoby bardzo pożądaném, ażeby ekonomiści ze swojéj strony przesieli krytyczném sitem pojęcia, sofizmata i paradoksa socyalizmu. Jakoż, nie zaniedbano tego obowiązku i dzisiaj niemasz ekonomisty, któryby się nie rachował z tym obowiązkiem. Nie wyliczamy ich, dodajemy tylko, że między innymi, porządną odprawę socyalizmowi dał Leroy-Beaulieu (*Le collectivisme, examen critique du nouveau socialisme*. 1884).

Idziemy koleją rozdziałów i przyglądamy się, co zawiera pierwszy zatytułowany: Socyalizm i organizacya społeczna. Organizacya społeczna, jaką dzisiaj widzimy, przejawia się w rodzinie, gminie, prowincyi i państwie; do tych czterech ogniw dodawszy naród i ludzkość, będziemy mieli cały łańcuch społecznych czynników. Kościół jest także niepoślednim czynnikiem, ale autor dość lekko go traktuje, mówiąc, że „obecnie powaga kościoła przestała być koniecznością i z rzędu instytucyi koniecznych zeszła do rzędu możliwych“ (II, 5). Twierdzenie to ani jasne, ani z rzeczywistością zgodne, jak świadczą spółczesne zdarzenia w państwach europejskich. Wszakże nie chcemy rozpoczynać w tém miejscu polemiki i poprzestajemy na zaznaczeniu naszéj niezgodności z autorem.

Organizacya społeczna teraźniejsza jest wynikiem długiéj przeszłości i wielu krwawych walk, owocem zaś jéj wyzwolenie jednostki najprzód z niewoli, potém z poddaństwa i ze służebności. Wyzwolenie to jest rodzajem świętości, dodaje autor. Ani słowa— tylko medal ten ma i drugą stronę; jednostka stała się wolną, jedynie brak jéj środków do spożytkowania wolności, brak jéj pracy i co zatém idzie, chleba: wolno jéj umierać. Wybornie taką wolność scharakteryzował już rzymski poeta mówiąc, że wolność ubogiego jest taka:

Odepchnięty, prosi, a gdy go skułakują, błaga
By mu wolno było odejść z resztką zębów.
(Libertas pauperis haec est:
Pulsatus rogat, et pugnis concisus adorat
Ut liceat paucis cum dentibus inde reverti).

Autor miarkuje przecież ten dytyramb na cześć wolności i rozumie błąd indywidualizmu, który mniema, że wyzwoliwszy osobnika ze wszystkich więzów, dał mu wszystko, co mu dać należy. Biada osamotnionemu! Społeczeństwo nie jest kupą piasku, a jednostki jego, to nie ziarnka piasku, lecz osoby, ludzie, których wiążą interesa, uczucia, idee — więc nie możemy być sobie obcy i obojętni. Właśnie socyalizm, jako przeciwstawienie indywidualizmu, chciałby jednostki związać, ale zarazem pozbawić je wolności, odebrać im własność i skazać na życie niemal więzienne, wprawdzie bez głodu, ale i bez tych dodatnich stron bytu, które się tylko pod wolnością rozwijają. Lekarstwo gorsze zaiste od choroby.

Po jednostce następuje w organizacyi społecznéj rodzina, z początku patryarchalna, potém klasyczna. O stanie społeczeństwa przedpatryarchalnym p. T. nie wspomina, a nawet dodaje, że „niepodobna wymarzyć takiego dzikiego stanu, gdzieby nie istniała“ (II, 12). Autor zdaje się nie wiedzieć o pracach nowszych etnografów i o tym stanie społeczeństwa, który nazywają matryarchalnym. Trzeba przypuścić, że w owym prastarym wieku rodzina (jeżeli można tak nazywać chwilowy związek) wyglądała inaczéj, niż w epoce patryarchalnéj; dzisiaj może nie jest „sanktuaryum“, jak obrazowo mówi p. T., ale jest godną poszanowania instytucyą. Czy socyalizm uważa małżeństwo i rodzinę tylko za środek zaspakajania popędów cielesnych, czy chce z niéj mieć tylko szkołę ciasnego egoizmu, jak twierdzi autor, nie będziemy się o to spierali; ale to pewna, że jemu chodzi nie tyle o rodzinę, co o spadkobranie w rodzinie. O téj ostatniéj, socyaliści nie sformułowali jasno swojego zdania; zwykle wymyślają na „mieszczuchów“, że małżeństwo uczynili spekulacyą pieniężną, że zamienili kobiétę na niewolnicę, na zbytkowny mebel, na *Kindergebärmaschine*.

Że socyalizm chce zachować organizacyą państwową tylko póty, pókiby przez państwo nie zlikwidował całego społecznego zasobu, to nie ulega wątpliwości, i to, co autor mówi o stosunku jego do państwa, jest dość wiarogodne; ale nie pisalibyśmy się na twierdzenie, iż „teorya utrzymująca, że w miarę postępu cywilizacyi rola państwa stanie się coraz mniejszą, jest chorobliwą mrzonką“ (II. 27). Nie mogąc znać tych form bytu społecznego, jakie odleglejsza przyszłość zrodzi, powiedzielibyśmy, iż na teraz forma państwowa jest potrzebna, albowiem w jéj ramach indywidualność narodowa najbezpieczniéj się przechowuje. Socyaliści jednak narodowość lekceważą.

Ziemię jako czynnik produkcyi socyalizm pragnąłby z własności prywatnéj zamienić na ogólną. Dwie drogi nasuwają się do przeprowadzenia tego planu: albo przez podatek tak wysoki, iżby zmusił posiadacza ziemi pozbyć się jéj na rzecz państwa, albo przez doraźne wywłaszczenie teraźniejszych posiadaczy, a następnie wydzierżawianie za pomocą publicznéj licytacyi. Obie te drogi prowadzą do gwałtu i nie można się spodziewać, ażeby którekolwiek państwo cywilizowane chciało probować tego eksperymentu.

Tak samo i kapitał, jako drugi walny czynnik produkcyi, nie ma łaski u socyalistów; można powiedzieć, że krytyka socyalistyczna głównie bije na kapitał i kapitalistów. Tymczasem bez kapitału w téj lub innéj formie produkcya jest niemożliwa; socyaliści rozumieją to tak dobrze jak i ich przeciwnicy, dlatego nie myślą go niszczyć, tylko chcieliby go uczynić dostępnym dla mass wydziedziczonych. Dokonać tego można równie tylko gwałtem: odebrać mającym, a dać go pozbawionym. Rzeczywiście, taką likwidacyą socyaliści zapowiadają, a dokonać jéj ma proletaryat.

W tém rozumowaniu o potrzebie kapitału do produkcyi, autor w ogóle trzeźwo patrzy na rzeczy; nie pojmujemy tylko jakim sposobem dostało się tam zdanie, iż „niema żadnéj warstwy społecznéj, ba ani jednéj najuboższéj jednostki, którąby nie posiadała części, albo przynajmniéj cząsteczki kapitału“ (II. 42). Zapewne autor i sakwy dziadowskie uważa za kapitał, co byłoby prawdą, o ile czasami dziady w łachmanach chowają spore sumki na wyposażenie swoich córek.

Mówiąc o zarobku, p. T. zarzuca socyalizmowi, jakoby chciał, iżby robotnicy sami sobie oznaczali stopę płacy. Jestto twierdzenie mylne. Socyalizm chce zupełnie usunąć zarobek uważając go za nową formę niewoli. Autor o kilka wierszy przedtém słusznie zauważył, iż socyalizm potępia zarobek sam w sobie, nie wiemy zatem poco by doradzał robotnikom stanowienie jego stopy, na co

zresztą nie przystałby żaden przedsiębiorca. Autor daléj pociesza robotników, że zarobek nie ma w sobie nic upokarzającego—jakoż tak jest w istocie—ale mniéj uzasadnioną jest dla nich inna pociecha, że mogą sobie zakładać spółki kooperacyjne i sami być przedsiębiorcami. Zawsze w takim razie wystąpi pytanie, zkąd wziąć kapitału. Pomoc filantropów zawodna; pomoc ze skarbu musiałaby powstać kosztem kontrybuentów. Stowarzyszenia kooperacyjne cośkolwiek mogą zdziałać w rozwiązaniu problematu socyalnego, ale p. T. zdaje się przeceniać ich doniosłość (II., 60—64).

Nareszcie, gdy i spółki kooperacyjne nie pomogą, to czyż klassa robotnicza nie może się w razie bezrobocia i głodu nasycić z majątku ogólnego? Oto są szkoły, muzea, ogrody publiczne, parki, wystawy i t. p. Majątek ten rośnie „z gwałtownością śnieżnéj lawiny“, można w nim czerpać jak w skarbcu otwartym (II., 97). Zdaniem autora, w tym skarbcu leży rozwiązanie (?) problematu socyalnego. Cała ta tyrada nie nasyci głodnego.

W części téj, którą rozważamy, mielibyśmy jeszcze niejedno do nadmienienia—ale i tak nad zamiar urosło to sprawozdanie; więc przechodzimy do trzeciéj i ostatniéj części zatytułowanéj „Reformy społeczne“. Zabawimy tu krótko, bo autor dorzecznie radzi, iż dla wytrącenia broni z rąk socyalizmowi należy przedsiębrać reformy, nie rewolucye: reformy w dziedzinie bytu moralnego, umysłowego i materyalnego. A więc powiada p. T. „oczyścić, podnieść i spotęgować zmysł moralny w masach“ (II. 119). Kto się ma podjąć tego zadania? Klasy przewodniczące, a to w imie własnego interesu, zabezpieczenia własnego bytu. Ale kto będzie oczyszczał zmysł moralny klas przewodniczących, jeżeli, jak się to zdarza, poziom ich etyczny wcale nie jest wyższy od poziomu klass niższych? Łatwiéj wskazywać obowiązki klasom wyższym, niż je skłonić do ich wykonywania.

W dziedzinie oświaty, radzi autor zakładać szkoły, a dzieci przyuczać do oszczędności, wydawać książki tanie, odpowiednie do stopnia rozwoju umysłowego, tworzyć biblioteki i czytelnie, ażeby klasy robotnicze odzwyczaić od szynkowni i rozbudzić zamiłowanie przyjemności szlachetniejszych.

W zakresie bytu materyalnego, należy dążyć do budowania zbiorowym kapitałem domów mieszkalnych dla klas pracujących, zakładać stowarzyszenia spożywcze w celu lepszego żywienia robotnika, inne stowarzyszenia dla zaopatrywania go w sprzęty domowe i odzież. Wiele zrobiono już w ulepszeniu mechanizmu pracy wglądając w warunki sanitarne fabryk, rozłączając pracowników męzkich i żeńskich, określając czas pracy i t. p. Jednakże więcéj je-

szcze zrobić na tém polu można i potrzeba jeżeli społeczeństwo chce się zabezpieczyć od wstrząśnień grożących pochłonieniem dotychczasowéj cywilizacyi.

Taka jest treść dzieła p. Trepki. Chociaż niejedno mieliśmy do powiedzenia, a jeszcze więcéj byłoby punktów spornych—bo przedmiot to niewyczerpany—wszakże sądzimy, że czytelnik i z tego utworzy sobie pojęcie o wartości książki i może zechce sam bliżéj się z nią zapoznać.

Rozstając się z autorem i z jego dziełem, chcemy jeszcze dotknąć niektórych omyłek bądź rzeczowych, bądź językowych. Wydrukowano ich po kilkanaście w obu tomikach, ale na prawdę zebrałoby się trzy razy tyle. Najwięcéj zawinił tu zecer, a może korrektor.

Tak np. Acteon miał nabrać siły gdy się dotknął ziemi; ekonomia podobnie nabrała siły, gdy z abstrakcyjnéj stała się utylitarną. Chodziło widocznie o Anteusza, syna Pozejdonowego. Z Granchów zrobił zecer greków. Zdaje się, że tenże psotnik monady Leibnitza przerobił na nomadów (I. 47 i 91); Dühringa nazwał Dütringiem, a z Bockha wystrugał Boocka. Ale już nie zecer odniósł banki Lawa do XVII w. a Marxa zrobił jeszcze żyjącym. Nie on również, lecz autor wykierował Rodbertusa na ojca socyalizmu niemieckiego (I. 165) a Proudhona na olbrzyma.

Język książki jest dość potoczysty—chociaż nie bez błędów. Oto próbka: nie osobą *a* rzeczą; tyraniczny; pisarz brzemienny socyalną rewolucyą (Rousseau); cień Robespierr'a przychodzi stłumić myśl rozpromienioną; generacya klęła na St. Simona; mgnienie laski czarodziejskiéj; wymóg zamiast wymogów; nieuchwycalny plan; tradycyonalni ekonomiści; truizm; koniec końców; obdarzać machiny napaściami; równościowy podział dochodu; humanitarne idee śpieszą nędzarzom z pomocą; żyłą natury ludzkiéj jest sympatya itd.

K.

= **Z lat minionych.** *Trzy powieści historyczne dla młodzieży przez Teresę Jadwigę, z trzema rycinami. (Warszawa, Gebethner i Wolff. 1887, str. 242).*—Znana już dobrze dziatwie naszéj autorka w trzech opowiadaniach, zawartych w tym zbiorku, odmalowała dość szczegółowo i starannie trzy chwile dziejowe: bitwę pod Obertynem, wojnę chocimską i walki kozackie, łącząc oczywiście z wypadkami historycznemi dzieje osób pojedyńczych, przez fantazyą wytworzonych, dla uwydatnienia jakiéjś nauki moralnéj albo pewnego rysu charakteru. Bohaterkami są tu kobiety, każda w swoim rodzaju

piękna i dobra, rozumna i dzielna. Wszystkie znajdują się w położeniu wyjątkowém, dającém im możność dokonania jakiegoś czynu pożytecznego, który dusze ich rozpromienia a zarazem staje się bodźcem dla czytelniczek do myślenia o sprawach ważniejszych od codziennych powszednich zatrudnień. W „Mojéj pieszczotce“ mamy nową młodziutką Grażynę, odważną i śmiałą jak tamta, rycerskie ćwiczenia lubiącą i dzielnie odpierającą napaść bandy Kafunka na zamek rodzinny w nieobecności ojca, który pod wodzą Tarnowskiego przeciwko Wołochom pociągnął, — ale szczęśliwszą od bohaterki Mickiewicza, bo Irena Zawistowska samego tylko powodzenia doznaje. W „Rycerzu błękitnym“ spotykamy się z dwoma odmiennemi charakterami kobiecemi. Regina surowa dla siebie i dla innych, poważna, cierpka nawet w obejściu, Alina, przeciwnie wesoła, trochę trzpiotka, myśląca o stroju i podobaniu się, ale zarazem łagodna, wyrozumiała, poświęcająca się—to dwa typy dodatnie sióstr o usposobieniach odmiennych. Autorka większą otacza sympatyą Alinkę swoję i wykazuje w opowiadaniu wyższość serca przebaczającego nad skrupulatnie trzymającego się surowych reguł. Brat ich dzielny Wacław w chwili popłochu pod Cecorą umknął wraz z innymi z obozu; a dziadek, strzegący pilnie zasad honoru, nie chciał nawet słuchać jego tłómaczenia i uważał go za umarłego zakazując wspominać o nim w domu. Regina, choć serdecznie kochała brata, ściśle przecież zastosowała się do wymagania dziadka; Alina zaś pokryjomu widywała się z Wacławem, pielęgnowała w chorobie, obudziła w nim chęć naprawienia błędu i skłoniła do pójścia na wyprawę chocimską, by tam odznaczyć się czyny dzielnemi, może aż zanadto wielkiemi, jak na nieznanego w dziejach bohatera, pozyskać pochwały wodzów i powrócić z niemi pod dach rodzinny, gdzie go dziadek, jako oczyszczonego z plamy przyjął serdecznie. Kontrastu pomiędzy usposobieniami sióstr nie chciała zaostrzać autorka, choć się on sam ze względów psychologicznych narzucał, wolała w łagodnym tonie pojednania powieść swą doprowadzić do końca. W najobszerniejszém wreszcie opowiadaniu p. n. „Krwawe chwile“ bardzo drażliwéj dotknęła autorka struny, przedstawiając w formie popularnéj, zrozumiałéj dla dzieci, powody wojen kozackich w nadużyciu władzy panów, a szczególniéj rządców nad poddanymi na Ukrainie. Występuje tu więc już w dzieciach z jednéj strony pycha pomiatająca chłopami, przemoc stanowiska społecznego, z drugiéj zaś siła fizyczna, nienawiść plemienna, zawziętość namiętna. Te ujemne czynniki, które sprowadziły klęski obustronne, są w powieści Jadwigi Teresy zrównoważone dobrocią Zofii, córki dumnego kasztelana Żabickiego, i wdzięcznością Ołeny,

córki futornika. Nie chciała autorka i słusznie przedstawiać oddziaływania tych dodatnich czynników w sposób natychmiastowy. Ołena za ostrzeżenie Zofii o zamierzonym napadzie ginie z ręki swoich; dom Żabickiego został zburzony, majątek zniszczony; syn jego ugodzony śmiertelnie przez brata Ołeny, Hrycia, umarł z gorączki; ale Zofia nie przestała czynić dobrze chłopom, dopomagała im i niosła słowa pociechy i umoralnienia, a drugi brat Ołeny, Ostap wiernym synem Polski się okazał. Bardzo pięknie w duchu chrześciańskim i w duchu zgody plemiennéj kończy Teresa Jadwiga, podsłuchując słowa liści i traw, które zdają się mówić: „Wy co wysoko stoicie, bądźcie dobrzy dla waszych biednych braci, kochajcie ich i uczcie, a wiernych druhów z nich mieć będziecie... Śpij spokojnie, kozacze, śpij spokojnie, synu Ukrainy, chłopskie serce w tobie biło, przecież umiało ono kochać, dłoń twa dzielniéj od wielu umiała bronić ziemi ojczystéj. Wszystkie te trzy opowiadania pod względem psychologicznym są dobrze i trafnie oddane; nie wdają się w żadne zawiłości i subtelności, ale poprostu i szczerze biorą najzwyklejsze, ale też i najgłębsze uczucia ludzkie i przebieg ich malują; pod względem estetycznym nie posiadają wprawdzie zalety wielkiéj pomysłowości lub szczególnie pięknego wykończenia, ale posiadają dosyć plastyki, nie są suche, bezbarwne; pod względem historycznym wreszcie oparte są na badaniach najnowszych; a jeżeli znajdują się w nich omyłki, jak np. wspomnienie wojska kwarcianego w r. 1531 (str. 14), te raczéj zdają się wynikiem chwilowéj nieuwagi niż niedostatecznego przygotowania.

== Taż sama autorka ogłosiła p. n. **Z różnych sfer** *(Warszawa, F. Hösick, 1888 str. 345, z rycinami Czesława Jankowskiego)* cztery powieści dla dorastającéj młodzieży, osnute na stosunkach spółczesnych. Nie przedstawia w nich postaci naczelnych jako istoty doskonałe, które dla innych wzorem być winny, lecz przeprowadza poprawę ich z rozmaitych wad wskutek bolesnych doświadczeń życia; jedna poświęcona jest patologii charakteru męskiego, trzy inne—kobiecego. Wiedząc, że z ujemnych usposobień, przyzwyczajeń, nałogów otrząsnąć się niełatwo nawet młodzieży, autorka rozwija długie pasmo prób i niepowodzeń, przez które przechodzić muszą jéj osobistości powieściowe, zanim się ze swych ułomności wyleczą. Jeżeli zważymy, że w dawniejszych powiastkach dla dzieci dość było jednego słowa, jednego przykładu, jednego fałszywego kroku ukaranego jakąś przykrością lub chorobą, ażeby dzieci i młodzież stawała się posłuszną, uczynną, pracowitą, skromną, słowem dobrą; to poczytamy za zasługę naszéj autorce, iż osobom swoim nie dawała tak łatwych, bo na papierze tylko odnoszonych zwy-

cięstw nad sobą samemi, iż uczyniła je bardziéj rzeczywistemi, iż nie łudziła ani wychowawców możnością rychłego oddziałania na przetworzenie charakteru wychowańców, ani młodzieży możnością szybkiego naprawienia swych niewłaściwych postępków. Nie sądzę, ażeby przedstawienie długiéj i mozolnéj drogi prowadzącéj do poprawy mogło wpływać zniechęcająco na młodzież do pójścia nią, boć najprzód, w charakterach młodocianych jest dużo żywotności i sprężystości, która zmusza do ruchu, do działania, a powtóre, istnieje w nich także, przynajmniéj w wielu, popęd do zwalczania trudności i im one większemi się wydają, tém popęd ten silniéj się rozwija. Idzie głównie o to, ażeby proces psychologiczny był rozwinięty zgodnie z prawdą, nie zaś fantazyjnie. Autorka nasza starała się to uczynić i w znacznéj, w przeważnéj nawet części dokonała tego z powodzeniem. W „Kolegach" paniczykowato wychowany, pyszniący się ze swego rodu i zamożności chłopiec, oddany do szkół, przechodzi czyściec upokorzeń doznawanych od spółuczniów, ale się swoich wad nie pozbywa, bo chociaż pewne strony kształcącéj się dziatwy, jak uczucie i praktykowanie sprawiedliwości, szlachetne oburzanie na wszelkie objawy fałszu i obłudy, działają nań uzacniająco, to inne, jak złośliwość, płatanie bolesnych figlów zrażają go do niéj i sprawiają, że chłopak szkoły opuszcza i kształci się w domu, gdzie wpływ rozumnego opiekuna Władysława zobojętniany bywał pobłażliwością szlachetnéj ale słabéj matki. Dopiero zubożenie, potrzeba szukania środków utrzymania w pracy zawodowéj, konieczność zyskiwania sobie przyjaźni ludzkiéj, ażeby z téj pracy mieć odpowiedni pożytek, widok szlachetnych postępków u tych, których posądzał Wacław o nienawistne względem siebie usposobienie, o niższy nastrój duchowy, powoli, bardzo powoli działają na jego umysł i serce, wywołują w nich zmiany, zakończone wyleczeniem się z pychy i samolubstwa. Powieść „W Społeczeństwie" maluje nam przykre przejścia młodéj panny, przybranéj przez kobietę bogatą za córkę, ale niezabezpieczonéj prawnie ani co do nazwiska ani co do majątku. Po śmierci opiekunki zostaje sama, bez zabezpieczonego bytu. Posiada jednakże wiele ambicyi i energii; postanawia zużytkować swe wykształcenie, przyjmuje obowiązski nauczycielki w domu zacnym i rozumnie prowadzonym. Okazuje się jednak, że do zawodu nauczycielki nie jest przygotowaną; gdy się o tém z podsłuchanéj rozmowy dowiedziała, opuszcza ten dom, chcąc się kształcić. W Warszawie styka się z kobietą lekkomyślną i przewrotną, która odrywa ją od zamierzonéj pracy i wciąga do zabaw, przyczyniając się do poróżnienia Maryi z dobrze jéj życzącemi osobami. Popędów szlachetnych nie zdołała jednak w niéj za-

bić Alicya. Pokonawszy się, Marya zdobywa patent nauczycielki wiejskiéj i obejmuje obowiązki. Kilkomiesięczne jéj życie z lekkomyślną Alicyą utrudnia jéj działanie, bo dziedziczka zawiadomiona o niém, patrzy na nią nieufnie; potrzeba było dużo wytrwałości, ażeby te wyobrażenia o sobie rozproszyć. W charakterze Maryi nie uwydatniła z początku autorka zarozumiałości i uporu i dopiero w ciągu powieści, ze szkodą częściową prawdopodobieństwa, wprowadziła je, chcąc widocznie próby swéj bohaterki przeciągnąć. O wzorowych pedagogach autorki należy zauważyć, że zanadto wierzą w reguły, jak się to okazuje z uwagi o rzeczownikach zakończonych na *j* i *dz* (str. 144) lub z zapytania: dla czego chléb nazywa się chlebem (str. 146). — W trzeciéj powieści p. t. „Zaprzedana“ mamy mało prawdopodobną historyą stryjaszka z Ameryki, który wymaga od swéj synowicy, żeby wraz z matką przeniosła się na mieszkanie do Berlina, gdzie ją miały otoczyć wszelkie wygody. Lubo matka tęskniła za Warszawą, Anna lubiąca stroje i zabawy nie myślała opuszczać tak miłéj dla siebie siedziby i chociaż nie czuła się szczęśliwą, pozostała na łasce stryja, zamiast pracować na własne utrzymanie. Czwarta powieść „Iza Harpley“ jest wzięta z angielskiego, przedstawia zaś wyleczenie z zazdrości i nieszczerości dziewczyny z dobrém zresztą sercem; niebezpieczeństwo, choroba, sądy ludzkie, serdeczność rodzinna są środkami leczniczemi. — Język powieści p. Teresy Jadwigi jest czysty i wogóle poprawny; należałoby tylko stanowczo zaniechać takiego galicyzmu, jak: „on jest lepiéj“, gdy się mówi o chorym; używał go, prawda, Kraszewski, ale przykład najznakomitszego nawet autora nie może usprawiedliwiać rażących błędów językowych.

= **Po za domem**, *powieść dla młodzieży przez Ludwika Niemojowskiego. (Warszawa, 1888, str. 122).* — Autor chciał wskazać młodym czytelnikom potrzebę nauki, posłuszeństwa starszym i karności za pomocą przykładu chłopca, który lubiąc tylko swawole i rozrywki, podmówiony przez rozpuszczonego próżniaka Franka, uciekł z domu, ażeby tylko nad książką nie siedzieć. Obaj dostali się w ręce cyganów—było to oczywiście kiedyś dawniéj, nie w czasach dzisiejszych — żywić się musieli bardzo lichą strawą, znosić wszelkiego rodzaju niewygody. Franek łatwo się jakoś przyzwaczaił i życie tułacze polubił; ale w duszy jego towarzysza ocknęło się uczucie dla rodziców i rodzeństwa i pobyt u cyganów czyniło nieznośnym. Musiał się sztuk akrobatycznych uczyć, odgrywać pantominy. Usiłowania wydostania się na wolność długo były bezskuteczne, aż razu pewnego na Węgrzech, ocaliwszy od napadu rabusiów bogatych państwa, dostał się do domu bogatego, gdzie zaczął pilnie przykła-

dać się do nauki. Całkowicie poprawiony odwieziony wreszcie został do rodziców. Treść ta, bardzo niewiele mająca w sobie kształcących pierwiastków, może się tylko wyobraźni młodej podobać; szczególną zachętą do nauki stać się chyba nie może. Obrobienie, z początku dość staranne, od połowy książki jest zaniedbane tak dalece, że autor nie rozwiązuje nawet głównéj, przez siebie wymyślonéj zresztą trudności, jak się dowiedziano o miejscu pobytu rodziców bohatera. Język powiastki dużo ma niepoprawności.

═ **Myszy króla Popiela**, *opowiadanie przedhistoryczne przez autora* „*Króla Kraka* i *królewny Wandy*,“ *z 6 rycinami.* (*Warszawa, Gebeth. i Wolff, 1888, str. 216*). — Książka ta pisana sposobem zrozumiałym nawet dla dzieci dziesięcioletnich, jest wynikiem, łatwo dającéj się wytłomaczyć, chęci dopełnienia wyobrażenia luźnych i skąpych wiadomości, jakie nam przekazały kroniki o tak zwanych dziejach niepewnych. Że myszy zjadły króla Popiela, o tém dowiaduje się dziecko bardzo wcześnie i niepokoi rodziców i wychowawców pytaniem, jak to stać się mogło. Powieść obecna rozwiązuje to pytanie obszernie i szczegółowo. Autor, oparłszy się na przypuszczeniu Szajnochy, przez myszy rozumie tych rozbójników morskich, Normandów, co śmiałością wypraw i dzielnością w całéj Europie niegdyś się wsławili; ale nie przyjmuje drugiéj hipotezy historyka, że Popiel także z Normandów pochodził. U niego Popiel to Polak żonaty z córką księcia obotryckiego Hilderyką, nienawidzącą Niemców i chrześcijaństwa, dumną, żądną władzy, okrutną, podmawiającą męża do wszelkich niegodziwości, przedewszystkiem do otrucia stryjów, pod pozorem, że spiskują przeciw królowi. Popiel, myślący na początku powieści tylko o jadle, napoju i zabawie, daje się powodować jej podszeptom i odstręcza od siebie wszystkich ziemian i rycerzy, którzy się zaczynają skupiać około Piasta, „władyki“, jak go niewłaściwie nazywa autor. Gdy normandowie wszyscy, pokonawszy i zniszczywszy gródek Bożywoja nad Notecią, pojawili się na Gople, zbudziło się w Popielu jak się zdawało całkiem zamarłe, a jak się okazuje zdrzemnięte tylko oddawna męstwo, stawi on przy nader szczupłéj pomocy opór dzielny wrogom, chroni się na wieżę murowaną na wyspie wśród jeziora, morduje wielu napastników i ginie wówczas dopiero, gdy już wszystkie siły wyczerpał. Na śmierci jego nie kończy się jednak powieść; finał zwiastuje zwycięstwo Polaków nad Normandami. Piast po świetnéj obronie swego gródka, widząc pierzchających nieprzyjaciół, wypada wraz z załogą, ściele trupem mnóstwo rycerzy i zmusza przerzedzone szeregi do pośpiesznéj ucieczki. Rzecz cała pisana jest bardzo żywo, akcya postępuje szybko, pod względem zadowolnienia wyobraźni dziecin-

néj wybornie się książka ze swego zadania wywiązuje; ale czy może oddziałać kształcąco? W pierwszéj połowie najwydatniejszą rolę ma złe, okrutna Hilderyka; słyszymy o samych podstępach, knowaniach, otruciach; w drugiéj połowie mamy same niemal obrazy zabójstw, pożóg i t. p.; przytem grubijańskie wymyślania aż zanadto często się pojawiają. Takich środków podobania się umysłowi chłopców należy używać jak najoszczędniej, bo porywczy temperament potrzebuje miarkowania nie pobudzania. Najlepszym w téj książce ustępem jest epizod, odnoszący się do gródka Bożywoja (str. 85—160). Język wogóle jest poprawny; styl żywy, kiedyniekiedy jednak zaniedbany.

— **Wyprawa po skarby ukryte wśród puszczy**, *przygody podróżników w Australii. Wolny przekład z francuskiego przez M. F. Zaleską, z rycinami.* (*Warszawa, Gebeth.* i *Wolf, 1888, str. 245*). — Mimowolny zabójca skazany na wygnanie do Australii, zebrał przy pomocy przyjaznego sobie plemienia Nga-no-tko ogromne bogactwa w złocie, a nie mogąc sam wyjechać, wezwał dzieci swe, żeby przybyły do niego, dając im wskazówki, jak mają sobie postępować. Dzieci spełniają to życzenie, lecz zanim do owego plemienia się dostały, przebyły mnóstwo przygód i poznały całą w poprzek Australią. Właściwém téż zadaniem książki jest zapoznanie młodych czytelników z królestwem zwierzęcem, roślinném i mineralném téj części świata, a to na tle zajmujących wypadków, których czytanie uprzyjemnia zapoznawanie się z krajem i jego osobliwościami. Same te wypadki mają znaczenie pedagogiczne, gdyż wdrażają w umysł potrzebę ostrożności, wytrwałości, męstwa, miłości bliźnich, przyjaznego postępowania ze wszystkimi, oprócz ludzi złych z gruntu. Charakter francuski odbił się w książce nie tylko w sposobie opowiadania, ale nawet w wystawieniu Niemca jako nikczemnego zdrajcy.

— **Z siół, pól i lasów**. *Zbiór nowel przez Adolfa Dygasińskiego* (*Warszawa*, 1887, dotychczas dwa tomy, str. 261, 217). O talencie autora jako nowelisty nie potrzebujemy się tu rozszerzać; przed trzema laty podało *Ateneum* (1884, t. IV) rozbiór pierwszych jego utworów w tym kierunku, wskazując nowość i oryginalność pomysłów opartych na dokładnéj i trafnéj obserwacyi życia zwierząt, oraz skłonność do robienia dowcipnych, a nieraz głębokich refleksyi nad tém życiem w stosunku do ogólnych praw, rządzących światem. Od tego czasu p. Dygasiński wzbogacił piśmiennictwo nasze znaczną liczbą obrazków i nowel, w których przedstawiał albo jak poprzednio malowidło z bytu zwierzęcego, albo je zdejmował z bytu wieśniaków. Obecnie zgromadził rozproszone po czasopismach

utwory i w książkowéj formie czytelnikom je podał. Zbiór ten, podjęty nakładem samego autora, składać się ma z czterech tomów; rozmaitością swéj treści może zainteresować najrozmaitsze sfery ogółu czytającego. W ogłoszonych dotąd dwu tomach mamy dwanaście opowiadań i szkiców, w których żart, koncept, dowcip, obserwacya, rozwaga, fantazya naprzemiany występują, dostarczają dobréj zdrowéj i pięknie przyrządzonéj karmi umysłowi. „Jazda ze Ziurdanką“ jest ładnie, jowialnie opowiedzianą anegdotą o przygodach guwernantki francuskiéj wiozącéj z jednéj wsi do drugiéj wanienkę z karpiami, wyborną szynkę i dwa roczne kotki. „Co kto lubi“ jest również anegdotą bardzo charakterystyczną i dowcipnie rozwiniętą o przygodzie zapalonego i zbiedniałego koniarza, który pieniądze pożyczone na kupno fortepianu i zadatek dla nauczycielki obrócił na nabycie dwu pokaźnych bułanków, które mu się niezmiernie podobały, ale mu rozbiły wózek krakowski i jego samego na ciężkie poturbowanie naraziły, nie mówiąc już o tém co go za powrotem od wymownéj magnifiki czekało. „Od świtu do świtu“ to ładna sielanka, zakończona tragicznie, o zręcznym, uprzejmym wielce i miłym ogrodniczku, który umiejąc sobie zjednać na rynku kieleckim bardzo szeroką klientelę, wywołał zarazem niechęć spółzawodników i spóźniwszy się raz z powodu zagadania się z Marysią, córką kowala, na targ, doznał srogiego od przekupki despektu, wziął go mocno do serca, nie sprzedał ogrodowizn i kwiatów, lecz rozdał je darmo dziewczętom, czém obraził Marysię, która sobie na poczekaniu wynalazła innego kawalera, przepędził noc całą pod gołém niebem, a w końcu nie mogąc wybrnąć z gmatwaniny, utopił się w stawie. Ponieważ autor nie należy do tych, którzy dla efektu zmyślają zdarzenia, wierzymy więc, że i ten wypadek z Julkiem wziął z rzeczywistości; drażliwe usposobienia, zrażanie się niepowodzeniem i kończenie zawikłań środkiem radykalnym, jakim jest śmierć, nie są tylko przecież przywilejem warstw przecywilizowanych. „Żérty chłop“ to wyborny obrazek wieśniaka dobrego, uczciwego, pracowitego, ale potrzebującego nadmiernéj ilości strawy. Ta właściwość organizmu naraża go na śmieszność, pobudza do zrywania plebańskich śliwek, do karmienia się niezdrowemi odpadkami dworskiéj kuchni, zmusza go do opuszczenia ze wstydu wsi, szukania zarobku gdzieindziéj a wreszcie przyprawie o śmierć. Autor ma sympatyą do tego żértego chłopa dla jego przymiotów dodatnich, za złe bierze ludziom niewyrozumiałość dla właściwości organicznéj; ale przypuściwszy nawet, że ludzie by się inaczéj względem Maćka Opozdy zachowywali, to czyżby prędzéj lub późniéj owa właściwość organiczna nie zgubiła go; właściwości tego rodzaju

trzeba tylko leczyć, jeżeli to rzecz możliwa. „Złodziéj leśny" to znowuż równie charakterystycznie jak w „Żertym chłopie" odtworzony pociąg do potajemnego przywłaszczania tego, co „Bóg stworzył i rozsiał" jako rzeczy należącéj do wszystkich. Nędza pobudziła Franka do okradania lasów skarbowych, a nałóg łatwego zarobku odpędził następnie wszelkie skrupuły, dopóki się gwałtowną śmiercią nie skończył. „W puszczy" to już powieść osnuta ze stosunków w warstwach ukształconych, z przymieszką jednak fantazyi i z przeważnym żywiołem natury i zwierząt. Ukrzywdzony przez brata Stanisław Strojomirski, zamieszkał w lesie, gdzie sobie zrobił legowisko w wypróchniałym pniu olbrzymiego dębu i stał się postacią fantastyczną dla mieszkańców wsi okolicznych. Doraźnie wymierzał sprawiedliwość względem złodziejów, rabusiów i zdrajców, nad bratem jednak zemsty nie szukał, poprzestając na zaspokojeniu potrzeb w sposób najskromniejszy. Po jego smutnéj śmierci w zapalonym dębie i po śmierci brata, synowica, wyrozumiawszy swoje położenie, zrzekła się majątku nieprawnie posiadanego i obróciła go na cele dobroczynne. „Demon" to dzielnie zobrazowany zalew giermanizmu na ziemiach naszych. Obrazki p. n. „Na zwłokach zwierzęcia", „Podwórzowe dramata", „Na niebie i na ziemi" są poświęcone odmalowaniu życia zwierząt domowych w stosunku do najbliższego otoczenia ludzkiego i w związku ze zjawiskami powietrznemi. Pod względem estetycznym nie należą do najlepszych utworów p. D., ale zajmują i zastanawiają obfitemi spostrzeżeniami, zazwyczaj bardzo bystremi i trafnemi, oraz uwagami, które mają na celu wykazać, jak ściśle świat ludzki łączy się z przyrodą. Zbiór nawet p. Dygasińskiego należy do liczby tych książek, których czytanie nigdy zmarnowaniem czasu nazwać się nie może.

= **Marya Konopnicka. Cztery nowele.** *Z portretem autorki. (Warszawa, T. Paprocki, 1888, str. 305).* — Książka ta daje poznać talent znanéj poetki z nowéj strony. Wprawdzie nowele, w niéj pomieszczone, są przedrukiem tylko z fejletonów czasopism, ale pojawiając się tu po raz pierwszy w skupieniu, pozwalają bliżéj się przyjrzéć właściwościom pisarskim autorki. Rzecz naturalna, że pierwszą z nich jest poetyczność, uwydatniająca się szczególniéj w opisie krajobrazów i w charakteryzowaniu ludzi. P. Konopnicka korzysta niewątpliwie z obserwacyi przedmiotów i ludzi rzeczywistych, ale je przepuszcza przez pryzmat fantazyi i dopiéro w tęczowych barwach przenosi je do noweli. Zupełnie fałszywych rysów nie znajdziemy tedy w nich; niektóre odtworzone są nawet z widocznèm staraniem o zachowanie cech realistycznych; ale ogół ich sprawia wrażenie raczéj poematu prozą, aniżeli zarysu powieścio-

wego. Weźmy np. opis Warty podczas „najścia wód wiosennych“, jako najkrótszy i najwyraźniéj przedstawiający nam przykład takiego przerabiania obserwacyi przez wyobraźnię: „W pianach cała i bryzgach, *jak ptak biały*, zrywa się skrzydlata i pod mostem, wyniesionym wysoko, szumi i huczy tak *niekarnie*, jakby jarzma tego z drzewa a żelaza na *hardym* swym grzbiecie znosić nie mogła. Wody jéj, zebrane z szerokich łężnych rozlewów, *jak hufiec rozbity*, wpadają w koryto, wspinając się jedne na drugie, i tak spiętrzone prą się nawałem na pole; trzeszczące pod ich naciskiem, byle prędzéj *od przymusu* uciec i ponieść się w kaskadach na szersze spadki i podmiały, i *mdleć* u brzegu, niosąc resztę piany i błysków gniewnych w coraz słabiéj pulsujących falach.“ Nieprawdaż, że opis ten uosabiający rzekę, przeprowadzony w wykwintnych porównaniach, gdyby ujęty był w rymy, nie potrzebowałby się wstydzić swych rymowanych braci; w powieści trąci już trochę archeologią prozy poetycznéj, która miała niegdyś swą świetną dobę, kiedy nią pisali tacy, jak Zygmunt Krasiński. Dziś przywykliśmy już do większéj prozy, czy do większéj prostoty. — Drugą właściwością nowel p. K. jest ich budowa raczéj dramatyczna, niż powieściowa: autorce chodzi raczéj o skreślenie scen, czy grup malowniczych, niż o przeprowadzenie wątku przez wszystkie fazy kolejne, jakie przechodził, zanim do pewnego punktu został dociągnięty. Wyjątek w tym względzie stanowi tylko obrazek p. n. „Wojciech Zapała“, przedstawiający wiarusa, który, przejęty miłością i uwielbieniem dla „nowożytnego boga wojny“ Napoleona, dokonał dzieła bez żadnego uprzedniego przygotowania, wyrzeźbił z dębczaka postać ukochanego wodza, ażeby go ukazać oczom wnuka. Tu ponieważ sama osnowa nie kryła w sobie zawiłości żadnych, mamy opowiadanie bez przerw i przeskoków, całkiem w charakterze epicznym utrzymane. Inne nowele, jako bardziéj skomplikowane, są złożone ze scen, które spajać musi dopiéro wyobraźnia czytelnika. „Michał Duniak“ to tragiczna historya syna mieszczanki o oczach urocznych i żyda marzyciela. Osierocony przez matkę, przytulony przez ojca, budzi istnieniem swojém niechęć we współwyznawcach Uriela i w pogardzonym przez Kasię konkurencie; a niechęć ta prowadzi go na śmierć w nurtach zamarzniętéj rzeki. „Ultimus“, to dzieje zemsty odepchniętego przez szlachciankę konkurenta mieszczanina, który syna jéj wciągnął do szajki koniokradów i przemytników, ażeby go zhańbić. „Pod prawem“ wreszcie znajduje się biédna Hanka, która oszukana przez kochanka, wsadzoną została do więzienia za kradzież przezeń popełnioną, gdyż nie chciała go wydać, trzy lata posiedziała w więzieniu, a wypuszczona z czerwonym paszportem,

ciężko pracuje na wyżywienie, poniewierana przez wszystkich, ale niezłamana nieszczęściami i pogardą. Zalecanki sekretarza odepchnięte zmuszają Hankę do ucieczki z miejsca wyznaczonego na pobyt, tułania się po Warszawie, opłacania się podrzędnym figurom urzędowym, powtórnego więzienia i odstawienia do Grójca, powtórnéj ucieczki i skazania jako niepoprawnéj złodziejki na Sybir. Dziewczyna niewinna, za swą łatwowierność i szlachetność haniebnie karana, za wytrwanie w cnocie prześladowana, za chęć pracowania ścigana jak zwierz w lesie, ginie marnie, gdy jéj uwodziciel, a zarazem istotny przestępca, zabezpieczony od wszelkich poszlak, pędzi życie lekkomyślne, a według życzeń swoich szczęśliwe. Ostatnia ta nowela, a raczéj powieść ma najwięcéj rysów realistycznych i najgłębsze zostawia po sobie wrażenie: jest protestem przeciwko fatalnemu prawu, które jakby najgrawając się ze słabości ludzkich, żelaznemi przepisami tak obsacza ludzi niewinnych, że ich do występku popychać się zdaje; nakazuje poprawę, a nie dostarcza środków i sposobności do niéj. Autorka nigdzie się nie unosi, nigdzie nie wybucha, nigdzie nawet uczucia swego nie zaznacza; w przedmiotowéj formie opowiada dzieje prawdziwie tragiczne, czasami tylko rzuconém słówkiem ironii dając wskazówkę czytelnikowi, jak ma rozumiéć sytuacyą. Usposobienie, zachowanie się, słowa Hanki pełne są wszędzie prawdy. Bolesne wywiera powieść wrażenie, ale dobroczynne.

— **Adam Nowicki**. 1) **Ojczyzna, nowele i szkice** (*Kraków, 1887, str. 128*); 2) **Czy pamiętasz**, *szkic z życia* (*Kraków, 1887 str. 21*). Pierwszy swój zbiorek utworów powieściowych poprzedził autor przedmową, w któréj zaprotestował przeciwko zarzutowi robionemu młodzieży, jakoby żyła bez ideału i bez programu. Jako świadectwo istnienia w jéj duszy uczuć szlachetnych, skupionych około jednego zasadniczego, mają służyć wydane przez p. N. nowele i szkice, osnute na tle patryotyczném. Ponieważ nie należymy do tych, którzy w młodzieży widzą zanik idealnych dążności, przypuszczamy chętnie, że autor podając swoje myśli i uczucia za wyraz znacznéj części rówieśników swoich, nie mylił się, i przyjmujemy jego utwory jako dowód zajęcia duszy przedmiotami pełnemi wagi i znaczenia i rozpatrywania ich ze stanowiska szlachetnego i podniosłego. Przyznając tę zaletę treści jego zbiorkowi, nie możemy jednak równie pochlebnie odezwać się o jéj obrobieniu. Jest ono bowiem jeszcze bardzo słabe, składa się prawie z samych komunałów; nie zauważyliśmy żadnéj sceny, odznaczającéj się świeżością i barwnością. Jedynie w „Tajnym radcy“ pomysł wywleczenia przez malców starego munduru, który w ojcu obudził najprzykrzejsze wrażenia, wy-

różnia się zpośród pospolitości. Zużytą frazeologią najlepiéj uwydatni całkiem seryo wypowiedziany frazes: „Widok był to tak wstrętny, że księżyc *chciał się ze wstydu* całkiém schować po za chmury" (85). Szkic „Czy pamiętasz", ogłoszony osobno, opowiada mdłym sposobem wielce już spospolitowane dzieje zmarnowanego i spodlonego talentu wskutek lenistwa i słabości charakteru.

= **Notaryat hiszpański.** *Fragment z dziejów prawodawstwa tego kraju w skróceniu opowiedział Adam Niemirowski. Warszawa, 1887, 8-ka, 88.* Autor téj książki znany jest w piśmiennictwie prawniczém z poprzednich dzieł swoich, jak „Pogląd dziejowy i zasadniczy na stanowisko obrońcy" (1869), „O aktach urzędowych i z podpisem prywatnym" (1873), „O odpowiedzialności regentów" (1873), „Wykład notaryatu dziejowy i porównawczy" (1876), „Przegląd ustaw notaryalnych" (1880), wreszcie „Bibliografia powszechna notaryatu" w 1884 r. wydana. W tymże roku przełożył z Kroackiego „Szkic dziejowy notaryatu przez Pappafawę". P. Niemirowski jest nadto czynnym nader pracownikiem na niwie dziennikarskiéj, a same tytuły prac jego w téj sferze zajmują przeszło 8 stronnic druku petytem. Tu działalność jego jest wielce urozmaiconą i niemal wszechstronną: prawo, ekonomia, rzeczy społeczne, historya, życiorysy, podróże, korespondencye, krytyka, studya literackie, bibliografia, sprawozdania, humoreski, felietony—są tu reprezentowane. Po nad wszystkie jednak gałęzi wiedzy autor upodobał sobie notaryat, jemu też poświęcił pracę, któréj tytuł podaliśmy na czele. Wykład swego przedmiotu ułożył on w sposób następny. Po słowach wskazujących źródła, na jakich praca się wsparła, mamy w § 1. Rzut oka na rozwój prawodawstwa w Hiszpanii: § 2 zawiera dzieje notaryatu w tym kraju; § 3 jest dalszym ciągiem poprzedniego, zajmując się wiekiem XIX; w § 4 skreślono obraz prawodawstwa obowiązującego obecnie; § 5 przedstawia organizacyą „junt", t. j. ciał wybieralnych, sprawujących nadzór nad notaryuszami; w § 6 wyłożone są szczegóły, dotyczące naukowego przygotowania notaryuszów; § 7 wskazuje, jak wielu było mężów sławnych w magistraturze". Ostatni wreszcie § 8 poucza nas o „stanie obecnym" notaryatu hiszpańskiego. Jako osobny dodatek dołączono w końcu obszerny rozbiór dzieła p. Stefana Muczkowskiego p. tyt. „Austryacka ustawa notaryatu".—Na wydanie sądu krytycznego o pracy p. Niemirowskiego odważyć się nam niepodobna, notaryat bowiem hiszpański był dotąd dla nas prawdziwie *terra incognita.* Wyrazimy więc tylko wdzięczność autorowi, że nam wrota do téj nieznanéj krainy otworzył, ale wyrazimy i żal, że tekstów hiszpańskich, które obficie przytacza w odsyłaczach, nie podał raczéj w przekładzie, aby zrozu-

mienie ich ułatwić czytelnikowi polskiemu, a tém samém i dać możność kontroli. W jednym przypadku (str. 14), gdzie w odsyłaczu (3) jest tekst łaciński, niezupełnie by się zgodzić można z autorem. Powiada on, że prawodawstwo aragońskie i katalońskie „zredagowane było w tym samym duchu“, co i prawodawstwo kastylskiego Alfonsa Mądrego, które „daje pierwszeństwo notaryuszowi przed świadkiem na punkcie wieży“. Przytoczony tekst prawa mówi tylko to, że notaryusz może sporządzić testament bez obecności świadków, byle po sporządzeniu przywołał ich i oświadczył, że oto spisał ostatnią wolę testatora. Przepis ten, jak nam się zdaje, miał tylko na względzie pożądane niekiedy zachowanie treści testamentu w tajemnicy.

= Z obfitéj, jak zwykle, wiązanki wydawnictw kalendarzowych wspomnimy tu: 1) „**Józefa Ungra Kalendarz illustrowany**“, odznaczający się obszernym działem literackim, licznemi drzeworytami i wiadomościami informacyjnemi;—2) „**Kalendarz powszechny**“, który od lat 10 wydaje swym nakładem księgarnia *Teodora Paprockiego*, zawierający oprócz części astronomicznéj zbiorek poezyi, nowelli i artykułów treści społecznéj; — 3) „**Gość**“, kalendarz opracowany przez *K. Promyka* (cena złp. 1), znany od lat ośmiu, a zawierający między innemi dokładny opis ubiegłego roku pod względem zjawisk atmosferycznych, urodzajów, cen i wypadków, oraz przegląd ważniejszych, objawów życia społecznego, szczególniéj zaś gminnego i wiejskiego, wiadomości o nowych dla kraju naszego prawach, wspomnienia o wszystkich w ciągu roku zmarłych a zasłużonych ludziach i t. d.; — wreszcie 4) „**Rocznik medycyny krajowéj**“, wydawany staraniem i nakładem D-ra J. Rogowicza, wraz z przeglądem piśmiennictwa lekarskiego polskiego za rok 1886. Dziesiąty to już tom tego wydawnictwa, tak pożytecznego dla lekarzy, zawiera w końcu dodany dziennik dla rozmaitych notatek, adresów i t. d.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Pożądania wojenne z rozpaczy. — Co rok ubiegły dorzucił do naszych nieszczęść.— Okólnik arcybiskupa poznańskiego.—Nieprzyjaciel wewnętrzny.—Entuzyazm jubileuszowy wzamian za krzywdę.—Skąpstwo narodowe i ofiarność religijna.—Cło rolne i przemysłowe bankructwo.—Zaszczytna samodzielność.—Obłąkanie bez gieniuszu.—Wykształcenie fachowe.—Pytanie o szkołach żeńskich.—„Przegląd Lwowski" o wojnie 1831 roku, oburzenie publicystów i młodzieży.—Przeciwnik przekonywany kułakiem.—Odstępstwo od tradycyi z powodu listu „Starego szlachcica".—Przekonywanie przeciwnika nie kułakiem.

Znowu nadszedł czas obrachunku rocznego.

Dwanaście miesięcy temu horyzont zasłaniało nam zupełnie straszliwe widmo wojny. Przez cały czas ten ani na chwilę jedną nie usunęło się z przed oczu naszych, i dziś nie wiadomo—bliższe ono, czyli też dalsze? Pochód wojny nie ominie zapewnie najzaciszniejszéj wioseczki w kraju naszym, każdą siedzibę pokryje zgliszczami, zburzy tę trochę dobytku, jaką można było uciułać w najcięższych czasach, a może nawet zniszczy ostatnie iskierki nadziei doczekania doli nieco chociaż lepszéj.

Niejednokrotnie publiczni i prywatni oskarżyciele nasi rzucali zapytania i podejrzenia, że my pragniemy i usiłujemy ściągnąć na świat wojnę?

My mieszkańcy z nad Wisły i Warty!

Dyplomaci wiedzą zapewne, zwykli śmiertelnicy domyślić się mogą łatwo, o co chodzi Niemcom, lub innéj potencyi, kiedy dąży do wichury, walk i zwycięstw. Działa tu, jeżeli nie chęć zaokrąglenia granic, to potrzeba nowych rynków ekonomicznych lub pożądanie wpływu politycznego, sławy, potęgi...

Co nas to wszystko obchodzić może, dla czego i kogo mamy pchać (!) lub pobudzać do wojny. Chleba powszedniego nam brak, brak nam powietrza to też fantazye szczęśliwych dalekie

są od umysłu naszego. Chyba chodziłoby o pojenie się widokiem płonących biednych chat ubogich wiosek naszych, ale w takim razie moglibyśmy to zrobić bez pomocy żołdactwa pruskiego. Kto może być sprzymierzeńcem, lub i obrońcą naszym podczas wojny i po wojnie? Co więc wydawać się może oskarżycielom naszym, gdy nieustannie w ten lub inny sposób wypowiadają podejrzenia swoje, gdy w głębi duszy widzą w nas zawsze burzycieli pokoju świata?

My, więcéj niż ktokolwiek w Europie, łakniemy warunków, sprzyjających pracy, która nam téż, więcéj niż komukolwiek, jest potrzebną. Dopiero gdy gdzie, jak w Prusach, przemoc nas od niéj odrywa, nie przestaje myśléć nad sposobami wydarcia ostatniego kęsa strawy, pozbawia języka, istniéć zakazuje,—wtedy milknie rozsądek, ustaje rachuba, a rozpacz wł.dać zaczyna. Wtedy każda zmiana jest dobrodziejstwem, ręce chwytają i ciągną za każdy napotkany powróz, bez względu na to, że zaciskają może stryczek na własnéj szyi.

Nie potrzeba dokładnéj znajomości rzeczy, nie potrzeba dokładnego i blizkiego przypatrywania się, aby to pojąć, aby zrozumiéć nasze usposobienie.

Gdy rozrost demokracyi socyalnéj grozić się zdawał Niemcom krwawą walką wewnętrzną, ks. Bismarck rodaków swoich nie oskarżał o żadne wrodzone popędy zbrodnicze, ale rozumiał, że kto jutra pewnym być nie może, ten go nie ceni; ażeby zażegnać burzę, aby przejednać wydziedziczonych, rozpoczął starania o poprawę bytu klas pracujących. To jedyny, ale niezawodny środek.

Oskarżyciele nasi, wierzący szczerze w słowa własne—jeśli tacy istnieją—niechaj zwrócą uwagę na dzieje roku ubiegłego. W powietrzu wisi wojna, wojna według wszelkiego prawdopodobieństwa straszniejsza, niż wszystkie te, jakie obecnie żyjący ludzie pamiętają, wojna doniosłość skutków któréj przewidziéć się nawet nie da; wszystko ulegnąć może przemianie, niewiadomo czy rozpoczęte plany dadzą się dociągnąć do końca; szczęk oręża rozlega się jako panujący głos chwili, kredyty wojskowe pochłaniają oszczędności państw i obywateli,—otóż w takim czasie żelazny kanclerz nie zapomniał o nas i rok ubiegły nie był wcale lżejszym, niż żałobne jego poprzedniki.

W Wielkopolsce, gnieździe naszego plemienia, o którém mówią nam najdawniejsze legendy i podania, język polski zepchnięty był od lat wielu do głębin życia prywatnego. Urzędownie, jak zbrodniarz pozbawiony był praw wszelkich. Miasta, wioski, ulice, wszystko chrzczono na sposób germański, zacierano związek z przeszłością, zacierano wszelkie ślady pochodzenia kraju i narodowości.

Tolerowano mowę polską już tylko w pewnych klasach szkoły jako cudzoziemską, ale potrzebną mieszkańcom, w tym roku i to zniesiono. Dziecko ulega karze, jeżeli przez omyłkę z ust mu się wyrwie słowo jedno w języku rodzinnym. To wszystko nie wystarczało ks. Bismarckowi. Kilka miesięcy temu został język polski ze szkoły usunięty zupełnie, a dawno projektowany zamach zmuszenia poznańczyków do cudzoziemszczyzny nawet w rozmowie z Bogiem i z sumieniem własnem—spełniony. Dotąd nieprzyjaciel był zewnętrzny, znany, nieposiadający zaufania, dziś wsparł go drugi, potężniejszy, niebezpieczniejszy—bo sprzymierzeniec wczorajszy—hierarchia kościelna. To nieszczęście ogłaszają nam okólniki arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego i biskupa chełmińskiego, a pisma miejscowe stwierdzają je w zupełności. Rządowe rozporządzenie, dotyczące wykładu religii po niemiecku datują się jeszcze z r. 1873; arcybiskup Ledóchowski oparł się temu wtedy i w niższych klasach przestano uczyć katechizmu katolickiego. Ks. Dinder okólnik swój, sankcyonujący zamach pruskiego kolegium szkolnego, rozpoczyna od ubolewania, iż dzieci pozbawione były przez lat tyle wykładu religii i oświadcza, że, chcąc kres położyć temu smutnemu stanowi rzeczy, znosi zakazy swego poprzednika. Ma to więc być dobrodziejstwo dla dzieci, dla rodziców, dla całéj prowincyi polskiéj!

. . . .

Broniąc się od przeświadczenia, że uczucia narodowe zwietrzały, że w téj chwili zdolni jesteśmy jedynie do samolubnego wegetowania, trzeba było i chciało się przypuścić, że to tylko brak środków materyalnych, bieda jest przyczyną bezsilności. Ale w końcu roku ubiegłego rozpoczęto krzątaninę około uświetnienia 50-téj rocznicy kapłaństwa Ojca świętego...... Tutaj proboszcze zbierają obfite datki; kosztowne prezenty i inne dowody gorliwéj miłości sypią się tak szczodrze, jak gdybyśmy mieli świeże powody do wdzięczności i uznania. Jesteśmy krajem katolickim i naturalnie nie wziąć zupełnie udziału w jubileuszu niepodobna było; ale uroczyste nabożeństwa, gorące modły za długie życie i szczęśliwe panowanie następcy Piotra Świętego, nareszcie listy, adresy, telegramy, przesłane na ręce kardynała Ledóchowskiego, słowem, moralne zjednoczenie się z uroczystością w Rzymie byłoby wystarczyło. Takie postąpienie uważalibyśmy za najwłaściwsze i za pożądane, nie myślimy jednak potępiać nikogo, kto datek posłany Ojcu Świętemu, uważał za koniecznie potrzebny dla zbawienia wiecznego i dla szczęścia w życiu doczesném; nie mielibyśmy nic przeciwko ofiarności, gdyby równolegle nie były tak lekceważone inne obowiązki.

. . . .

Na okólnikach poznańskich nie kończy się jednak lista klęsk naszych zeszłorocznych. Wzmocnione zostały również środki materyalnego zrujnowania. Świeżo uchwalone cła od zboża, sprowadzanego do Niemiec, mogą w fatalny sposób odbić się na rolnictwie naszém, które i tak w latach ostatnich przechodzi bardzo ciężkie chwile i z trudnością znaleść może nabywców. Co będzie daléj, trudno przewidzieć. Znawcy utrzymują, że energiczne wzięcie się do ratowania zagrożonéj pozycyi, giełdy produktowe, magazyny, szukanie bezpośrednich stosunków z odleglejszymi rynkami mogą jeżeli nie usunąć zupełnie, to w każdym razie znacznie zmiejszyć dotkliwe skutki klęski. Czy jednak wobec trudności powzięcia zbiorowych decyzyi i niepodobieństwa niemal, a w każdym razie kolosalnych trudności wprowadzenia ich w czyn, da się cokolwiek zrobić, trudno mićć nadzieję. Więc co będzie?..

I na tém nie koniec. Najprzód części dziennikarstwa warszawskiego niegdyś, a późniéj kupcom i przemysłowcom rosyjskim przywidziało się, że fabryki w Królestwie rosną jak grzyby po deszczu, że zasypiemy swemi wyrobami cały wschód, ba, może nawet, dzięki temu, że ziemia jest okrągła, dojdziemy wkońcu do zachodniéj granicy. Na czém się opierała naiwna fantazya publicystów, trudno wiedzieć, to pewne jednak, że w téj i owéj głowie ekonomiczny podbój wschodu jaśniał, jak program, jak zbawienie. Gdy udało się zyskać na wschodzie setkę rubli za wyroby nasze — krzyczano na milion. W rzeczywistości były to złudzenia. Powoli zaczęto wprowadzać do Królestwa i metalowe wyroby z dalszych gubernii, i mąkę-krupczatkę, i płótno Jarosławskie, i buty, szyte na maszynach, i nawet bawełniane materye. Hurtowny skład chustek chłopskich, prowadzący handel na całe Królewstwo, mający obrotu od 400000 — 500000 rs. tylko za 100000 sprowadza towarów z Zawiercia, resztę kupuje w Moskwie. Kiedy roczna produkcya 10 gubernii Królestwa dosięga 191 milionów rubli, jedna gubernia Moskiewska wytwarza na 217 milionów. Zdawało by się więc, że my nie mamy się czém chwalić, a inni nie mogą nam czego zazdrościć, a tymczasem zdaje się, że ubożuchny ten nasz przemysł skazany został na zagładę, jako niebezpieczny.

Prof. uniwers. w Moskwie, Janżułł, pracę swoją, poświęconą wyłącznie poznaniu przemysłu naszego, rozpoczyna od słów: „Nie masz zaiste kwestyi, która by w ciągu dwu lat ostatnich żywiéj zajmowała społeczeństwo rosyjskie, a szczególniéj Moskwę — centrum rosyjskiego przemysłu — nad kwestyą bardzo szybkiego powstania i rozwoju w Królestwie Polskiém, a głównie w pogranicznym jego pasie, licznych fabryk i zakładów przemysłowych.“ Jak dziwnie, jak

nieprawdopodobnie brzmią te słowa dla nas! My tu na miejscu nigdy nie przypuszczaliśmy, aby szelest tłoków w łódzkich fabrykach mógł budzić gdziekolwiek istotną grozę. Narzekanie na nadmierny rozrost przemysłu w Królestwie braliśmy raczéj za świadomą ironię z naszéj nędzy, za ten głos, który w bajce Lafontaina oskarża jagnię o mącenie wody, chociaż wie, że ono pije w dole strumienia. Nasze pojęcie o rzeczy było słuszne, opinia w Moskwie myliła się. Pr. Janżułł, zbadawszy rzecz dokładnie, wykazał, iż przemysłowcy z okręgu moskiewskiego mają pod wieloma względami przewagę nad zawiślańskimi współzawodnikami, a „o poważném niebezpieczeństwie, jakie mogłyby dla całości przemysłu rosyjskiego przedstawiać fabryki polskie, *nie może być mowy...*"

Pomimo jednak tego, że uczony ekonomista zdarł w ten sposob ze skarg nawet *pozory* słuszności, na tegorocznym jarmarku w Niżnim Nowogrodzie przemysłowcy ze środkowych guberni wręczyli p. ministrowi skarbu podanie, czy memoryał, żądający opieki nad wytworczością gubernii środkowych, gdyż ją może zabić konkurencya z *„uprzywilejowanym kresem."* Fabrykanci łódzcy ujrzeli miecz groźny nad rentą i nad fabrykami swemi, pojechali więc do Petersburga z kontr-memoryałem, w którym dowodnie wykazali, że owe *przywileje* sprowadzają się do nieco tańszego węgla i do mniejszych pretensyi właścicieli, po za tém we wszystkich innych względach pozostają oni w warunkach gorszych niż przemysłowcy moskiewscy. „Kraj" zapewnia, że deputacya łódzka przybyła do stolicy państwa za późno, gdyż przed podaniem memoryału sprawa była wistocie załatwiona zgodnie z żądaniem, wniesioném w Niżnim Nowogrodzie, a brakowało tylko ostatecznéj sankcyi Rady ministrów, i dla tego zdołano uzyskać nieznacznie jedynie ustępstwo. O ile to słuszne, trudno nam tu wiedzieć, pewném zaś jest, że na nasz przemysł padło brzemię różniczkowych taryf i odmiennych ceł na bawełnę na różnych granicach.

W sporze pomiędzy dwoma okręgami przemysłowymi prasa rosyjska stanęła po stronie Łodzi, nawet „Nowoje Wremia" i „Kijewlanin" podziwiali dziwaczne pretensye fabrykantów wschodnich

. . . .

Memento, jakie nasz przemysł otrzymał, nie pozwala oddawać się wielkiéj radości z powodu coraz częściéj już zapowiadanego otwierania szkół fachowych. Dotąd jedna niemal była tylko droga kształcenia dzieci: oddać do gimnazyum, a potém do uniwersytetu. Szkół realnych rządowych znajduje się w całém Królestwie tylko trzy, a i te również fachowego wykształcenia nie dają, lecz podo-

bnie jak gimnazya, są tylko szczeblami do szkoły wyższéj, zwanéj specyalną, ale do uniwersytetu zbliżonéj. Tymczasem stan rzeczy jest taki, że młodzeniec po skończeniu wyższego zakładu naukowego, chcąc nie odjeżdżać daleko, musi stukać w palce, postawiwszy sobie pytanie: co robić? Późniéj, prawnik uczy geografii, matematyk pisuje sprawozdania teatralne — a są to jeszcze szczęśliwe wypadki zahaczenia się o jakiekolwiek miejsce. Z normalnego więc dotychczas u nas biegu wykształcenia i jednostka i społeczeństwo małą odnosiły korzyść praktyczną. A tymczasem rzemiosła ani pod względem fachowym, ani moralnym nie podnosiły się. Do warsztatu szedł tylko syn biedaka, który czasami czytać umiał, ale na jednéj książce, a terminowanie odbywało się w ten sposób, jak za czasów, kiedy jeszcze strzelano z łuków i procy. Praktyka wykazała, że szkoły niedzielne nigdy napełnić się nie mogą. Do fabryk znowu trzeba majstrów sprowadzać z Niemiec, bo wyrobnik, bez wyższych dążeń i bez żadnéj ogłady umysłowéj, wykształcić się nie może, a t. z. praktyka wielu ludzi ściągnąć i wyrobić nie potrafi, gdyż jest utrudniona, niesystematyczna, rozwlekła i przykra. Do tego dodać należy i to, że nawet przed dekretami tegorocznymi znaczna ilość kandydatów do szkół się wcale dostać nie mogła.

To téż kiedy p. minister oświaty bardzo zniżył rogatkę, prowadzącą do szkoły średniéj i zrobił z niéj niemal „Ucho igielne“, w prasie rosyjskiéj odezwały się zdania krytykujące, u nas przyjęto nowe postanowienia obojętnie, a nawet tu i owdzie odezwały się głosy zadowolenia. O zasadę niebardzo się troszczono, a przy miejscowych warunkach bieżącéj chwili nadzieja otrzymania szkół fachowych była bardzo przyjemną. Nowa ustawa zmuszała nas do tego, cośmy powinni byli sami zrobić dobrowolnie—dawać dzieciom naszym wykształcenie fachowe, a przez to stanowisko niezależne.

Chodzi teraz o to: kiedy, gdzie i jak założone zostaną szkoły fachowe? Podobno nie wszystkie części państwa dostaną je odrazu. Sądząc z zapowiedzi, spotykanych tu i owdzie, na nas kolej przyjdzie jeszcze nieprędko. Zapewne jednak, gdy normalna ustawa zostanie ostatecznie zatwierdzoną, można będzie zakładać szkoły prywatne. Należałoby teraz o tém już myśléć, aby późniéj czasu niestracić.

Ponieważ mowa o szkołach, pozwolę sobie rzucić w powietrze jedno pytanie, może téż kto na nie kiedy odpowie? Jaka myśl przewodnia kierowała założycielami, czy założycielkami szkół żeńskich średnich? Dla czego udarowane one zostały takim, a nie innym programem? Czy są one instytucyami przygotowawczemi do uniwersy-

tetu i dla tego wedle sił naśladują gimnazya męzkie, czy też daj: wychowanie przeciętnéj obywatelce, która ma zostać żoną i matką, a w takim razie, dla czego tam nie uczą nic takiego, co w tym zawodzie jest koniecznem? Obecnie we Francyi bardzo krzątają się około wyrobienia kursów, programów i wprowadzenia w życie t. z. *ekonomii domowéj*, która obejmie buchalteryą domową, sztukę prowadzenia gospodarstwa, hygienę rodzinną itd. itd. Czy by nasz ogół nie mógł się czego o tém dowiedzićć od rzeczoznawców?

Tyle o zewnętrznych niedolach, z których poruszyliśmy tylko ważniejsze i świeższe, teraz przejdźmy do wewnętrznych.

W dniu 29 listopada „Przegląd lwowski" między innemi napisał taką apostrofę: „Wielbić błędy polityczne, choćby takie, które wyrosły z gorącéj miłości kraju, sofistycznie dowodzić, że są one bądź co bądź dodatnim objawem życia narodowego, to nierozumnie, nieszlachetnie, więc i niepatryotycznie. Gorąca miłość ojczyzny wtedy jeno warta ołtarza, gdy idąc w parze z przezornością, nie klęski, ale pomyślność narodową sprowadza. Więc nie wielbić należy wojny z 1831, jako promiennego w dziejach faktu, lecz trzeba gorącą łzą żalu oblać tę klęskę i w skupieniu ducha zastanowić się: co by to dziś było, gdyby tyle gorących i ofiarnych istnień, zamiast zginąć za kraj, dla niego żyło i pracowało? Takie rocznice nie jako istnieją, żeby był pretekst do bankietów składkowych i bombastycznych toastów, do kiwania komuś palcem w bucie i okpiwania siebie; lecz po to, by naród oddawał się kontemplacyi. Są one jako słupy milowe, przy których podróżny winien się zatrzymać, przypominać wszystkie momenty przebytych kolei i wyciągnąć wnioski, aby nimi sobie mógł dalszą drogę oświetlać."

„Przeglądu lwowskiego" nie znamy, ustęp powyższy wyjęliśmy z „Kraju", który te tylko kilka wierszy, widocznie najważniejszych, przedrukował. Jeżeli cały artykuł napisany był w takim samym tonie i duchu, nie ubliżał ani pamięci zmarłych, ani czci żyjących, to można się z nim zgadzać lub niezgadzać, ale oburzającego w nim *nic* nie widzimy.

W przeszłości naszéj muszą chyba być jakieś błędy i kroki fałszywe, jeżeliśmy doszli do tego, czém dziś jesteśmy; chcąc zdobyć lepszą przyszłość, trzeba, pod groźbą zagłady, spojrzéć na całą przeszłość krytycznie, niema chwili na tyle świętéj, któréj by nie należało rozstrząsnąć i obejrzéć, nie ma zdania na tyle niepopularnego i sprzecznego z uświęconemi wierzeniami ogółu, którego nie należało by wysłuchać spokojnie i rozważyć dokładnie, a bez uprzedzeń. Inaczéj żadna poprawa, żaden postęp jest niemożliwy; inaczéj bożyszczem, gwiazdą przewodnią, wskazówką działalności ży-

cia całego może być błąd, którego skutki dźwiga już nie jedno pokolenie. Można kochać przeszłość, czcić pamięć bohaterów, którzy życiem stwierdzili miłość swoją i dobre intencye, a pomimo to wydobywać sobie przestrogi z ich życia.

Wypowiedzenie zdania, które oburzy napewno tłumy, które zaprotestuje przeciwko powszechnym mniemaniom, które zazgrzyta przykro na uczuciach ogółu, wymaga dużéj odwagi i niejednemu w ostatniéj chwili przez usta nie przejdzie, choćby się przed tém na wygłoszenie go zdecydował. A jednak w zdaniu takiém może tkwić *prawda*! Kierownicy opinii publicznéj niepowinni nigdy szykanować takich śmiałych wystąpień, jeżeli tylko one są szczere, poważne i nie noszą na sobie cech waryactwa, bezwarunkowo zaś nigdy nie powinni tolerować kułakowych karceń człowieka za przekonania. Nie naszém jest zadaniem bronić, ani potępiać zasady i wywody „Przeglądu“, ale domagamy się, aby każdy mógł brać udział w obradach nad wspólną dolą, i aby go za poglądy nie ścigały ulicznikowskie napaści.

. . . .

Obłoki, co się przesuną nad spiekłą ziemią, nie miną bez śladu,—nas klęski i nieszczęścia niczego nie nauczyły. Jak zawsze nad opinią cięży szał i roznamiętniona, lekkomyślna niedojrzałość, bez poczucia solidarności, bez wyrozumienia, pewna siebie, jak arcykapłan w służbie w przedwiecznéj nieomylności. Konserwatyści czczą jedne bożyszcza, rewolucya—inne: biada bluźniercom! Gdzież tu możebny postęp, gdzie rozwój, gdzie przyszłość? Niczegośmy się nienauczyli!

Ale mniejsza o młodzież, nikt pewnie na nią kamieniem z siłą nie rzuci, bo każdy ma grzeszne wspomnienia z czasów gorączkowéj niedojrzałości; ale co warci kierownicy opinii, przyprowadzający swoich przeciwników do porządku nie argumentami, ale burdą uliczną? Ośmiu zwycięża jednego—co za szlachetne uczczenie pamięci bohaterów, jacy następcy!

Niechcę noworocznéj kroniki zamykać faktem przykrego brutalstwa i dla tego na zakończenie zwrócę jeszcze uwagę na zjawisko wprost odmiennéj natury.

W korespondencyi z Podola („Kraj“ r. z. N. 35) „Stary Szlachcic“ zastanawia się nad tém, *jak* i *gdzie* my dążymy? Zaimek *my* oznacza polską część podolskiego społeczeństwa. Odpowiedź na to pytanie brzmi ponuro, jak marsz pogrzebowy. Według analizy „Starego Szlachcica“, sfera, o któréj mówi, składa się ze 1) *strawionych*, albo *przegniłych* (arystokracyę, którą upadek dochodów przypędził nareszcie do „ukochanéj ojczyzny“), 2) *wystygłych i śpiących*

(zamożni obywatele), 3) *bezsilnych* (drobiazg szlachecki) i 4) *wydziedziczonych*. Jedni są straceni dla przyszłości przez zwyrodnienie i brak sił moralnych, drudzy przez brak środków materyalnych. Z jednych *nic* nie będzie, drudzy zaledwie jednostki mogą wydać na służbę społeczną.

Według dotychczasowéj praktyki, po takiém oskarżeniu powinny się były posypać protesty, głosy oburzenia, insynuacye, oskarżanie o świętokradztwo, nienawiść do szlachty, socyalizm i... intrygę żydowską. Niedawno podobne widowisko mieliśmy: kiedy ktoś zwrócił uwagę, że bankruci niszczą mienie całego ogółu, dojrzano w tém... obrazę majestatu. Widocznie na wschodzie trzeźwiéj ludzie umieją patrzéć na siebie i na swoje sprawy, gdyż tradycyjna niedorzeczność o kalaniu własnego gniazda, ani razu na świadectwo powtórzoną nie została. Natomiast wielu ziemian ze stron różnych zaczęło rozpatrywać podniesioną sprawę, stwierdzać lub obalać zarzuty „Starego szlachcica." Nareszcie w Nr. 49 tegoż samego pisma znajdujemy taką odezwę:

„Temi dniami w Kamieńcu, pośród towarzystwa zgromadzonego u niżéj podpisanego, zawiązała się ożywiona dyskusya na tle poruszonych w liście „Starego szlachcica." Rezultatem téj dyskusyi był projekt następujący: jako odpowiedź na zarzuty, poczynione przez „Starego szlachcica", postanowiono odpowiedzieć zbiorowém wydawnictwem, któreby zaznaczyło, że nie wszyscy śpią i że myśl zdrowa i chęć do pracy nie wygasła doszczętnie w obywatelstwie kraju „południowo-zachodniego." Program ułożono i spisano na pierwszém zebraniu. Praca zbiorowa wyjdzie pod tytułem: „Z własnéj niwy" i ma wypełnić mniej więcéj następujący program: 1) Opisy miejscowości, 2) Statystyka, 3) Studya etnograficzne, 4) Prawa zwyczajowe u ludu, 5) Opowiadania historyczne, 6) Badania i studya archeologiczne, 7) Belletrystyka, 8) Poezya, 9) Dział gospodarstwa wiejskiego (w ostatnich dwudziestu pięciu latach), 10) Zarys rozwoju przemysłowego, 11) Szkolnictwo, 12) Nasze straty w ostatnich czasach (nekrologia wybitnych osobistości). Do współpracownictwa będą zaproszeni wszyscy znani pisarze naszych prowincyi, z uwzględnieniem młodych sił. Uprasza się wszystkich piszących, a z południowo-zachodniego kraju pochodzących, ażeby, gdyby nawet nie byli prywatnie (z powodu nieświadomości lub przepomnienia) zaproszeni do współudziału, prace swoje nadsyłali pod adresem: *Kazimierzowi Pułaskiemu p. st. Grodek podolski*, siel. Zawadyńcy. — Kazimierz Pułaski."

Postanowienie to, ten zamiar, nie wymagają żadnych objaśnień.

Ludwik Straszewicz.

— Od Muzeum Przemysłu i Rolnictwa otrzymaliśmy następującą odezwę, dotyczącą wydawnictwa *Wielkiéj Encyklopedyi rolniczéj*:

Lat temu szesnaście, grono osób zajmujących się żywo sprawami krajowego rolnictwa powzięło myśl wydania „Encyklopedyi Rolnictwa i nauk związek z niém mających".

Myśl ta, dzięki ludziom dobréj woli, zamieniła się niebawem w czyn, i oto, w lipcu r. 1879 wyszedł zeszyt zamykający to iście pomnikowe dzieło.

Że wydawnictwo, pomimo usterek, nieodłącznych od każdego utworu myśli czy ręki ludzkiéj, odpowiedziało zadaniu, dowodzi fakt wyczerpania poważnego nakładu, jeszcze przed wypuszczeniem go w obieg księgarski.

Dziś, gdy cięższe coraz warunki czynią tém niezbędniejszém naukowe wykształcenie rolnika; gdy, z drugiéj strony, wykształcenie to przychodzi coraz trudniéj, ponowne wydanie *Encyklopedyi Rolniczéj* stało się nieomal koniecznością.

A stało się nią nietylko z powodu zupełnego wyczerpania pierwszéj edycyi, ale i dla tego, że wobec olbrzymiego postępu nauk w ciągu ostatniego dziesięciolecia, edycya owa, w téj, jak była postaci, nie odpowiadała by już obecnéj potrzebie.

W ciągu bowiem tych lat dziesięciu przybyło wiele nader cennych dla praktyki wskazówek, a zarazem zniknęło dużo dawniejszych uprzedzeń.

To téż, przystępując do ponownego wydania *Encyklopedyi Rolniczéj*, Redakcya przedsięwzięła wszelkie środki, aby nietylko uzupełnić braki dawnéj edycyi, ale i poprawić usterki, jakie tam dziś, w obec zmienionych poglądów naukowych, znaleść by się mogły. Przedewszystkiém zaś Redakcya postawiła sobie za główne zadanie: *zestawienie dzieła, mogącego przynieść rolnikom największy praktyczny pożytek*, i w tym celu zamierza opracować wyczerpująco wszystko, co się bezpośrednio do rolnictwa odnosi, traktując natomiast pobieżniéj inne działy, które w poprzedniém wydaniu zbyt wiele zajęły miejsca.

Encyklopedya przeto, w obecnéj swojéj postaci, ma być przeważnie *rolniczą*, ma być *podręcznikiem*, w którym, obok ostatnich wyników badań naukowych, znajdzie rolnik opracowane wyczerpująco praktyczne rady i wskazówki.

Trudne to zadanie ułatwiła nam Redakcya i właściciele dawnego wydania: pierwsza sumienném opracowaniem wielu artykułów, drudzy—ustąpieniem bezinteresownem na rzecz Muzeum prawa własności do prac drukowanych, jak niemniéj licznych klisz, do pierwszego wydania sporządzonych.

Ta cenna spuścizna, przy licznym zastępie ludzi nauki, którzy chętnie współpracownictwo swoje przyrzekli, pozwala mieć nadzieję, że obecna *Encyklopedya Rolnicza* stanie się dla młodszych rolników tém, czém dla starszego pokolenia było pierwsze jéj wydanie.

Komitet redakcyjny Encyklopedyi składają:

Przewodniczący: Prezes Muzeum hr. Krasiński Ludwik. Członkowie: Aleksandrowicz Jerzy, Goltz Adam, Górski Ludwik, Jurkiewicz Karol, Kaczkowski Karol, Kłobukowski Aleksander, Kowalski Tadeusz, Krasuski Józef, Łuniewski Tymoteusz, Natanson Henryk, Plewako Gustaw, Trylski Aleksander. Sekretarz Redakcyi: Rewieński Stanisław.

Encyklopedya wychodzić będzie zeszytami, zawierającemi po 5 arkuszy druku wielkiéj 8-ki, po 10 zeszytów rocznie.

Całość obejmie 6—8 tomów składających się każdy z 10-ciu zeszytów.

Wydawnictwo rozpocznie się z r. 1888, pierwsze jednak zeszyty opóźnią się nieco.

Zwłoka ta wszakże, spowodowana kilkomiesięczną chorobą nieodżałowanéj pamięci dziekana Przystańskiego, nie wpłynie w niczém na bieg wydawnictwa, ponieważ najpóźniéj w drugim roku zapowiedziana ilość zeszytów wyrównaną zostanie.

Cena zeszytu, w Warszawie, wynosić będzie kop. 50, roczna więc przedpłata na Encyklopedyą wyniesie rubli 5. O przesyłkę pocztową, względnie do ceny dzieła kosztowną (zeszyty wysyłane być muszą w opaskach rekomendowanych) odnosić się należy do ekspedycyi.

Redakcya *Encyklopedyi* mieści się w gmachu Muzeum: Krakowskie-Przedmieście 66. Skład główny i ekspedycya w Redakcyi *Gazety Rolniczéj*, Warecka 7, dokąd téż i przedpłatę wnosić wypada.

— W „Gazecie Świątecznéj" czytamy:

Dwie nagrody.

Z pieniędzy, jakie przy Nowym Roku z przedpłaty na Gazetę Świąteczną (a więc od części ogółu) się zbiorą, przeznaczamy **rubli 150** na dwie nagrody, jedna zapewne w ilości 100 r., druga—50 r. Zresztą podział tych pieniędzy pozostawiamy sędziom, którzy przyjmą na siebie ocenę prac ubiegających się o nagrodę. Teraz zastrzegamy tylko, iż *jedna z nagród* przeznaczona będzie za powiastkę; *druga*—za artykuł czyli pisanie pouczające.

Przytém nagrody mają być zasądzone tylko za prace, które odpowiedzą wszystkim następującym warunkom:

1) będą ułożone i napisane zupełnie zrozumiale dla wiejskich i miejskich czytelników;

2) napisane umiejętnie, poprawnie, i przydatne do drukowania w Gazecie Świątecznéj bez żadnych zmian i poprawek;

3) nie będą zbyt długie: powiastka może zajmawać 200, a najwyżéj 1000 wierszy druku (po 40—43 litery na wiersz), artykuł zaś 150—800 takichże wierszy;

4) będą napisane z własnéj głowy pisarza (a więc nietłómaczone z obcego języka i nieprzypisywane z jakiéj książki lub gazety).

5) Co do *powiastki*, ta powinna być zajmująca od początku do końca, a zarazem pod jakimkolwiek względem pożyteczna. Gdyby znalazły się dwie dobre i równéj wartości powiastki, a jedna z nich była zabawna, rozśmieszająca czytelnika, to nagroda na korzyść jéj pisarza wypadnie.

6) Co do *artykułu*, winien on być także napisany w sposób zajmujący dla wszystkich zarówno czytelników. Może to być opis dotyczący jakiéjkolwiek nauki (1), albo odkrycia, wynalazku, pracy, zwyczajów, obyczajów, wychowania, sposobu życia, gospodarstwa domowego, spraw i potrzeb dzisiejszych, urządzeń prawnych i t. d. Musi jednak opierać się na gruntownéj znajomości rzeczy. W razie wyboru dwóch artykułów jednakowéj wartości, pierwszeństwo będzie przyznane krótszemu.

Rękopisy ubiegające się o nagrodę powinny być napisane wyraźnie, nie zbyt drobno i nie zagęsto. Należy je przysyłać bez podpisu autora, tylko trzeba przy nagłówku oznaczyć, czy to jest „powiastka", czy „artykuł". Razem z rękopisem powinna być przysłana osobna koperta zapieczętowana, a kryjąca w sobie imię, nazwisko i miejsce zamieszkania pisarza. Na wierzchu téj koperty winien być powtórzony nagłówek powiastki lub artykułu. Koperty dołączone do tych prac, które sędziowie uznają za niezdatne do druku, spalimy bez rozpieczętowania.

Powiastki i artykuły uznane za zdatne do drukowania w Gazecie Świątecznéj, a nienagrodzone, będziemy spożytkowywali wmiarę możności i za opłatą od wiersza staną się one własnością wydawnictwa naszego.

Ostatnim terminem do nadsyłania rękopisów będzie 1 marca 1888 roku. *Kazimierz Promyk*,

pisarz Gazety Świątecznéj.

---

(1) Np. fizyki, chemii, geologii, botaniki, zoologii, geografii, etnografii, historyi, prawa i t. d.

NEKROLOGIA.

† **Michał Kruszewski**, zdolny lingwista, pracujący głównie dla slawistyki, zmarł młodo w Kazaniu w końcu listopada 1887.

† **Jan Jędrzejewicz** urodził się w Warszawie w 1835, kształcił się w gimnazyum realném tamże w czasie najświetniejszego rozwoju zakładu tego. Uniwersyteckie studya odbył w Moskwie i Würzburgu. Od r. 1862 osiadł w Płońsku jako lekarz, założył własne obserwatoryum astronomiczne, zawarł stosunki z podobnemi dostrzegalniami w Cesarstwie i zagranicą; inicyatywą swą i przykładem przyłożył się do zaprowadzenia stacyi meteorologicznych w różnych punktach kraju. Prace swe naukowe i popularyzacyjne, dotyczące kwestyi lekarskich i przyrodniczych (o praktyczném zastosowaniu analizy spektralnéj do celów lekarskich, o chronicznym katarze kiszek, o zapaleniu mózgowo - rdzeniowém i t. p.) pomieszczane były w *Medycynie*, *Klinice*, *Pamiętniku fizyograficznym*, *Przyrodzie i Przemyśle*, *Wszechświecie*, *Wędrowcu* oraz w pismach francuskich i niemieckich. Najznakomitszą pracą jego jest „Kosmografia“, wydana w r. 1886 z zasiłku Kasy imienia Mianowskiego. Zmarł dnia 19 grudnia 1887.

† **Stanisław Przystański**, syn lekarza b. wojsk polskich, urodził się w Warszawie 20 września 1820 r.; nauki szkolne rozpoczął w liceum warszawskiém a skończył w gimnazyum szczebrzeszyńskiém; w roku 1837 przeszedł na kursa dodatkowe pedagogiczne w Warszawie, skąd po roku pobytu wysłany został do uniwersytetu petersburskiego na wydział fizyczno - matematyczny. Ukończywszy w r. 1842 studya ze stopniem kandydata, powrócił do Warszawy i otrzymał posadę nauczyciela matematyki i fizyki w II-ém gimnazyum na Nowolipkach; w pięć lat potém dostał się do gimnazyum realnego na nauczyciela tych samych przedmiotów, a przytém wykładał fizykę w szkole sztuk pięknych. Następnie nauczał w Instytucie szlacheckim. Gdy w r. 1857 otwarta została Akademia medyko-chirurgiczna, objął w niéj katedrę fizyki, którą zajmował przez lat trzy. W 1860 mianowany był dyrektorem Instytutu gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa; na tém stanowisku pozostawał do r. 1862, kiedy Instytut przeniesiono do Puław. Wówczas powołano go na wice-dyrektora wydziału naukowego w ówczesnéj komisyi rządowéj wyznań religijnych i oświecenia publicznego; brał więc tu czynny udział w opracowaniu nowéj ustawy o wychowaniu publiczném, a mianowicie przy organizacyi Szkoły Głównéj w War-

szawie i politechnicznéj w Puławach, a potém w Łodzi. W r. 1866 został profesorem fizyki w Szkole Głównéj, pełnił te obowiązki do r. 1872. W r. 1873 wziął udział w wydawnictwie Encyklopedyi Rolniczéj, pisując tu artykuły z zakresu fizyki; w 1874 objął obowiązki dyrektora nowoutworzonego Muzeum przemysłowo-rolniczego, oraz zwierzchnika Szkoły handlowéj prywatnéj, w r. 1879 zostaje jednym ze spółredaktorów Encyklopedyi Wychowawczéj, a prócz tego zajmuje liczne inne stanowiska. W piśmiennictwie dał się poznać tylko jako sprawozdawca z ruchu naukowego w dziedzinie fizyki, jako tłómacz i pedagog. Przełożył „Zasady geometryi“ Clairauta (Warsz. 1856, 2-e wyd. 1857), pod jego kierunkiem studenci akademii medyko-chirurgicznéj dokonali przekładu Fizyki Ganota (Warszawa 1860, 2-e wydanie 1865). Ułożył podręcznik „Trygonometryi prostokreślnéj“ (Warsz. 1859); napisał rzecz „O akustyce sal przeznaczonych na liczne zebrania“ (Warsz. 1861). Udawszy się dla poratowania zdrowia za granicę, zasłabł i umarł w Wiedniu 30 listopada 1887. Zwłoki przywieziono do Warszawy i pochowano na cmentarzu Powązkowskim.

POSTANOWIENIE.

W wychodzącéj w Warszawie w języku polskim gazecie *Dziennik dla wszystkich* pod redakcyą Henryka Perzyńskiego, zamieszczony został w nr. 282 z d. 5 (17) Grudnia r. b. artykulik p. t. „Zajście.“ W artykuliku tym powiedziano, iż d. 4 (16) Grudnia w godzinach popołudniowych, przy przejściu przez ulicę Muranowską, na roznosiciela opłatków z koszykiem, w którym się téż opłatki znajdowały, a który pokryty był serwetką z wyszytym na niéj srebrnym krzyżem, żydzi ciągle spluwali, a gdy wskutek tego roznosiciel udzielił kilku z nich moralną nauczkę, kilkudziesięciu żydów tłumnie rzuciło się na niego i pobiło go sromotnie, przyczém koszyk z opłatkami rozdeptany został przez napadających. Na krzyk pobitego nadbiegła policya, która odprowadziła główniejszych awanturników do cyrkułu. Z otrzymanego przezemnie raportu warszawskiego ober-policmajstra z d. 8 b. m. okazuje się, iż opisany przypadek nie wydarzył się w żadnéj miejscowości m. Warszawy. Z powodu tego, biorąc pod uwagę, iż wspomniana wiadomość, opisująca czelny napad żydów na chrześcianina i podeptanie przez nich przedmiotów religijnych, może bez potrzeby drażnić uczucie religijne miejscowych

chrześcian i rozbudzać w nich nienawiść do żywiołu żydowskiego ludności miejscowéj, co z kolei może odbić się niepomyślnie na spokoju publicznym, uznaje za konieczne postanowić i postanawiam: Z mocy udzielonéj mi w myśl prawa z d. 20 Września 1876 r. władzy, redaktora gazety *Dziennik dla wszystkich*, za umieszczenie wyżéj wymienionéj fałszywéj wiadomości, skazać na karą pieniężną w sumie rs. 1,000, w razie zaś niemożności zapłacenia takowéj, na trzy miesiące aresztu i zakomunikować o tém dla bezzwłocznego wykonania warszawskiemu ober-policmajstrowi.

Warszawa, d. 8 Grudnia 1887 r.

Na oryginale podpisano:
warszawski generał-gubernator generał-adjutant *Hurko.*

SPROSTOWANIE.

W zeszycie grudniowym 1887 r. na str. 552 w wierszu 4 od dołu zamiast ***skarpieć***, ***skarpać***, należy czytać ***skapieć***, ***skapać***.



Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**

OGŁOSZENIE.

„KRAJ“ (listopad 1887. NN. 45, 46, 47 i 48). *Artykuły wstępne*: Atrybucye władzy administracyjnéj w Królestwie polsk.; Wiec poznański; Projekt przymierza austro-rosyjskiego; W sprawie dozorów kościelnych; Znaczenie najnowszego przesilenia we Francyi. *Korespondencye*: z Zagrzebia, z Rusi hal., z pod Krakowa, z Równa, z Londynu, z pow. Telszewskiego, z Waszyngtonu, z Bruksell, z Dorpatu. *Sprawy bieżące*: Memoryał łódzki; Przeciw cudzoziemcom: Sprawy szkolne; Walny wiec poznański; Jeszcze jeden obserwator; Katolickie Tow. Dobroczynności w Petersburgu; Sprawy nadbałtyckie; O żydach; Nadużycia i samorząd; Dyskusya nad listem starego szlachcica; Czechowie jako rozjemcy; List kardynała. *Dział polityczny*. Słowo wstępne: W sprawie memoryału łódzkiego; Międzypaństwowe stosunki europejskie; Wiec ludowy; Nowy środek germanizacyjny; Potajemny kongres: Dokument od dr. K. Waliszewskiego; Stanowisko duchowieństwa w Poznańskiém; Jedno z ostatnich rozporządzeń. *Ziemie i kolonie słowiańskie*: Listy z Krakowa, Lwowa, Rusi hal., Belgradu, górnego Szlązka, Berlina, Poznania, Wiednia, Paryża, Budapesztu, Ameryki, Lublany. Zofii i t. d. *Z prowincyi*: listy z pow. Dynaburskiego, Żytomierza, Mścisławia, Kazania, Piotrkowa, Kijowa i t. d. *Dział ekonomiczny*. — *Przegląd literacki*: Historyografia analityczna—K. Jarochowskiego. Najnowszy zwrot w historyografii polskiéj—M. Kariejewa. Towarzystwo kredytowe ziemskie—J. K. Prawnickiego. Listy o literaturach słowiańskich—Br. Grabowskiego. Z księgi krajobrazów—J. I. Kraszewskiego. Geniusz i obłąkanie—Ad. Mahrburga i t. d. — *Odcinek*: Pod chmurami, obrazek grecki Wołowskiego. Przemysł domowy, obrazek galicyjski I. Franko.

— Karola Lichtańskiego, w jęz. ros. „Podstawy naukowéj budowy państwa i kwestya polska“, str. 422, cena rs. 3. Nabyć można u autora pod adr.: Pańska N. 95, m. 21. Dla kształcącéj się młodzieży i osób pracujących naukowo cena zniża się o połowę i dodaje się bezpłatnie tegoż autora „Spór filozoficzny o probierz prawa“ i w jęz. pol. „Zarysy Antropozofii.

Redakcya chętnie przyjmie na siebie pośrednictwo.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1888 jak dotychczas, na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniej 12 arkuszy druku zawierającemi.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie (tylko w Warszawie) **Rs. 3.**

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Obożna, 5.

Дозволено Цензурою. Варшава 24 Декабря 1887 г.

NOWE KSIĄZKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Października i Listopada 1887 r.

1. **Nowy pogląd kosmogoniczny**. *Aleksandra Pelczyńskiego*. Warsz. 1887. 8-o. str. 19 (z tablicą litograf.).
2. **Pierwyj meżdunarodnyj kongres** po woprosam techniczeskawo promyszlennawo i komierczeskawo obrazowanja, proischodiwszyj wo Francj w Bordeaux, w sientiabrie 1886 g. Petersb. 1887, 8-o str. 66.
3. **Sprawozdanie wydziału czytelni polskiej** akademików górniczych w Leoben z czynności za rok 1886/87. Rzeszów. 1887, 8-o, str. 14.
4. *Walerya Marrené*. **Nowelle i obrazki**. Wydanie 2-e. Warsz. nakł. księgarni T. Paprockiego i S-ki. 1887, 8-o, str. 321.
5. *N. S. Shaler, S. D.*, profesor paleontol. w uniwers. w Harward. **Dzieje ziemi** czyli początki geologii. Przełożył z angielskiego *Henryk Wernic*. Przejrzeli i dopełnili dopiskami *Antoni Slósarski* i *Józef Siemiradzki*. Warsz. nakł. księgar. T. Paprockiego i S-ki, 1888, 8-o, str. VIII + 300+XV (z drzeworytami w tekscie).
6. **Sprawozdanie meteorologiczne** za miesiąc Luty 1887 r. (wyd. Oddział Warszawski Towarzystwa popier. przem. i handlu, Sekcya II). Warsz. 1887, str. 17. — Takież za miesiąc Marzec, str. 16. — Takież za miesiąc Kwiecień, str. 16.
7. *Hipolit Taine*. **Podróż po Włoszech**. Tłomaczenie *Antoniego Sygietyńskiego*. Część II. Florencya i Wenecya. Warszawa nakł. redakcyi „Wędrowca“, 1887, 8-o str. 487 i VI.
8. **Praca i zarobki** przez *H. Fawcetta* członka parlamentu angiels. przełożył *Ignacy Świętochowski* b. Radca Wydz. Adm. w Rządzie gub. Warsz. Warsz. 1887, 8-o str. III+LIX+127.
9. *Marya Konopnicka*. **Cztery Nowele**. Michał Duniak. — Wojciech Zapała. — Ultimus. — Pod prawem. (z portretem autorki). Warsz. nakł. księgar. T. Paprockiego i S-ki, 1888, 8-o, str. 305.
10. **Rzecz o socyalizmie** napisał *Mścisław Edgar Trepka* Doktór filozofii. Warsz. 1888, 8-o. Tom I str. XXVIII + 231, T. II. str. 234. (Cena za oba tomy Rsr. 2 k. 50.
11. **Hodowla nasion buraków cukrowych** w Brzozówce (gub. Kieleckiej, powiecie Stopnickim, stacya pocztowa Stopnica). *Władysława Mayzla* i Sp. Warsz. 1887, 8-o str. 17.
12. **Zaczarowana Magdusia**. Komedyjka w 2-ch aktach przez *Ludwika Niemojowskiego*. Warsz. 1888. str. 42 (cena kop. 15).
13. **Liber mortuorum** monasterii sancti Vincentii ordinis Praemonstratensis wydał *Dr. Wojciech Kętrzyński* Dyr. Zakł. nar. im. Ossolińskich (Odbitka z V tomu dzieła „Monumenta Poloniae historica“). Lwów, 1887, 4-o, str. 51.
14. **Praktyczny sposób ustalenia pisowni polskiej**. (Wyjątek z obszerniejszej pracy jeszcze nie wydanej). Napisał *Filograf*. Warsz. 1887, 8-o str. 65. (Cena 35 kop.).
15. **Sesya sejmowa** 1886/7. Napisał *Stanisław Starzyński*. Lwów, 1887, 8-o. kart nlb. 4 + str. 201.
16. *A. Strzelecki* i *H. Kotlubaj*. **Encyklopedja rolnicza** i rolniczo przemysłowa. (Wydawnictwo Redakcyi „Rolnika i Hodowcy“). Zeszyt III. Lit. D. — G. (Dyfteryt u ptactwa domowego. — Gruda wywarowa u bydła). Warsz. 1887 8-o, od str. 401 do 592.